CZARNO NA BIAŁYM

Ziemkiewicz o przedwyborczej histerii „Gazety Wyborczej”

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 42/344 14–20 PAŹDZIERNIKA 2019

Pokręcony świat noblistki Olgi Tokarczuk

SZUKAJ WYDANIA Z PORUSZAJĄCYM FILMEM: „OSTATNI KORESPONDENT”

Mikołaj Iwanow żegna śp. Kornela Morawieckiego

KTO CHCE NAM ZAKAZAĆ JEDZENIA MIĘSA?!

Nowe szaleństwo lewicy

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 42 >

Nakład: 80 tys. egzemplarzy

NA KONCERT

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

ZAPRASZA MECENAS

ORLEN

WARSZAWA

9 GRUDNIA 2019 r.

TEATR POLSKI IM. ARNOLDA SZYFMANA

eprasa.pl 4bfed2fe01

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Przestroga dla Polski

Na szczęście to, co dzieje się na odległych obszarach Syrii, Polski bezpośrednio nie dotyczy. Na polskie bezpieczeństwo nie wpłynie ani decyzja prezydenta Donalda Trumpa, żeby wycofać z terenów sąsiadujących z turecką granicą amerykańskich żołnierzy, ani – co nastąpiło zaraz potem – ofensywa wojsk tureckich na Kurdów. Tak, z tego punktu widzenia cała ta historia bezpośrednio Polski nie dotyczy. A jednak powinna ona rządzącym polskim elitom dać wiele do myślenia.

Jak wiadomo, do tej pory Kurdowie byli bliskimi, być może w całym regionie Syrii najbliższymi, sojusznikami USA. To dzięki nim udało się doprowadzić do zniknięcia z powierzchni ziemi Państwa Islamskiego. Wydawać by się zatem mogło, że zarówno za swoje zaangażowanie po stronie Ameryki, jak i za zasługi w zniszczeniu niebezpiecznego islamistycznego reżimu powinna ich czekać nagroda. Podobnie nie jest tajemnicą, że od lat głównym przeciwnikiem Kurdów jest Turcja – ze względu na liczną mniejszość kurdyjską na swoim terenie tępi ogniem i mieczem wszelkie przejawy kurdyjskiej niezależności i upatruje w tym narodzie główne zagrożenie dla swojej spójności państwowej. Jeśli się weźmie to pod uwagę, wówczas było pewne, że zniknięcie amerykańskich żołnierzy z terenów Syrii oznacza wydanie Kurdów na łaskę i niełaskę (niestety, na pewno na tę drugą) najsilniejszego mocarstwa w regionie. Podejmując decyzję o zabraniu wojska, amerykański prezydent musiał liczyć się z tym, że Turcy natychmiast skorzystają z okazji, że zacznie się inwazja, że na masową skalę jej ofiarami staną się Kurdowie.

Dlaczego zatem to zrobił? Był to zapewne klasyczny przykład wąsko rozumianego egoizmu. Być może taki ruch Donaldowi Trumpowi doradzili specjaliści od wizerunku: w końcu w czasie poprzedniej kampanii obiecał zmniejszenie amerykańskiej obecności na terenach ogarniętych wojną i dlatego przed zbliżającą się nową kampanią prezydencką postanowił dotrzymać słowa. Być może są inne motywy, równie egoistyczne i krótkowzroczne. Sam prezydent Trump wyjaśniał swoje postępowanie w sposób wielce osobliwy, odwołując się mianowicie do… braku zaangażowania Kurdów w II wojnie światowej. „Kurdowie walczą o swoją ziemię. Jak napisał dziś ktoś w bardzo mocnym artykule, nie pomogli nam w czasie II wojny światowej, nie pomogli nam np. w Normandii" – słowa te niczego nie tłumaczą, brzmią jak ponury żart.

Jaki z tej historii płynie zatem morał? Niezbyt wesoły. W sytuacji wyboru między własnym egoistycznym interesem, choćby był on tak ograniczony jak dążenie do drugiej kadencji, a losem swoich zewnętrznych przyjaciół amerykański prezydent bez wahania poświęci tych drugich. W przypadku konfliktu interesów wybierze swój, a nie swoich najbliższych, choćby i najbardziej oddanych, sojuszników. To właśnie powinno dać do myślenia tym polskim politykom, którzy sądzą, że ścisła więź ze Stanami Zjednoczonymi jest jedynym sposobem zabezpieczenia polskich interesów. Jak się okazuje, takie przekonanie może okazać się łatwo złudne, ci zaś, którzy mu hołdują, mogą w chwili próby, tak jak Kurdowie, zostać wystawieni do wiatru.

Powie może ktoś, że Polacy to nie Kurdowie i że nie powinno się porównywać sytuacji niepodległego państwa do losów mniejszości narodowej, która na niepodległość się nie wybiła. Naprawdę? Przecież, jak napisałem, Kurdowie byli do tej pory najwierniejszymi sojusznikami Amerykanów, ci zaś, wskutek egoistycznego rozumienia swoich korzyści, wydali ich na pewną śmierć. Dlatego porównywać jak najbardziej wolno. I zastanawiać się, w jaki sposób nie uprawiać polityki bezalternatywnej. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 4bfed2fe01

TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
KTO CHCE NAM ZAKAZAĆ JEDZENIA MIĘSA?!

KRAJ

20 ROZMOWA Z PROF. WOJCIECHEM ROSZKOWSKIM
POLSKA MA DUŻO SIŁY MORALNEJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
REDUTA MICHNIKA

28 PIOTR SEMKA
WAŁĘSA JAK KULA U NOGI

30 KAMILA BARANOWSKA
CIĘŻAR POPARCIA

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
MŁOT NA SEKSEDUKATORÓW

34 WOJCIECH WYBRANOWSKI
CO SIĘ CZAI W CZAJCE

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
POLOWANIE NA KAPELUSZNIKI

KULTURA

38 KRZYSZTOF MASŁOŃ
NOBEL DLA OLGI TOKARCZUK

40 PIOTR GOCIEK
TEN BIEDNY JOKER

42 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM JAROSZYŃSKIM
ŚREDNICCY NA FALACH ETERU

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 GRZEGORZ KUCHARCZYK
PRYMAS KONTRREWOLUCJONISTA

52 MIKOŁAJ IWANOW
NASZ KORNEL

54 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
DIALOG I WSPÓLNOTA

HISTORIA

57 DODATEK SPECJALNY
PRAWO I PAMIĘĆ

ŚWIAT

74 WITOLD REPETOWICZ
TRUMP ODPOWIE ZA TURECKĄ AGRESJĘ

78 PIOTR WŁOCZYK
ROZTRZASKAĆ GŁOWĘ Z MIŁOŚCI

EKONOMIA

80 ROZMOWA Z BARTOSZEM MARCZUKIEM, WICEPREZESEM POLSKIEGO FUNDUSZU ROZWOJU
PPK SĄ JAK LOKATA NA 100 PROC.

82 TOMASZ CUKIERNIK
POLSKA TRACI, ROSJA ZYSKUJE

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
MODA NASTOLATKÓW

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
NOBEL POTRZEBNY JAK TLEN

KONDOLENCJE

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

Pana Profesora

Jana Szyszko

Rodzinie i Bliskim składamy wyrazy najgłębszego współczucia oraz wspieramy Ich modlitwą

„WIECZNY ODPOCZYNEK RACZ MU DAĆ PANIE...”

Grupa Energa

KONDOLENCJE

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

Jana Szyszko

profesora nauk leśnych i byłego ministra środowiska, wielkiego miłośnika zwierząt i przyrody.

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia Rodzinie i Bliskim w imieniu Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim

składa

Ryszard Legutko

eprasa.pl 4bfed2fe01

KONDOLENCJE

Z głębokim żalem żegnamy

ŚP.

prof. Jana Szyszko

naukowca i polityka,

ale przede wszystkim dobrego człowieka,

kochającego przyrodę

i zabiegającego o jej dobro w Polsce.

Rodzinie i Bliskim
wyrazy szczerego współczucia

składają
Zarząd i Pracownicy
Państwowego Gospodarstwa Wodnego
Wody Polskie

KONDOLENCJE

Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

prof. Jana Szyszko

wielce zasłużonego dla Polski naukowca,
przyrodnika, polityka.

Rodzinie i Znajomym

składam wyrazy głębokiego współczucia.

Marek Gróbarczyk

minister gospodarki morskiej
i żeglugi śródlądowej
wraz z całym kierownictwem ministerstwa

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z filmem 296430
Nakład 80 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 4bfed2fe01

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wskazywanie paluszkiem

To będzie bolesne, ale Polska musi odejść od węgla" – ogłosił wiceszef Komisji Europejskiej Frans Timmermans. W nowej komisji – stworzonej przez Ursulę von der Leyen – holenderski socjalista nie będzie już odpowiadał za praworządność, lecz za politykę klimatyczną.

Niedawno, jeszcze jako komisarz do spraw praworządności, Timmermans zdążył przeforsować w jeszcze starej komisji skierowanie wniosku do TSUE w sprawie postępowań dyscyplinarnych wobec sędziów w Polsce. – Ci, którzy myślą, że nowa Komisja Europejska będzie miała inne podejście do praworządności niż ja, się zdziwią – zapowiedział również całkiem niedawno. Holenderskiego polityka sprowokowała do takiej tyrady minister z Węgier, która naiwnie wskazywała, że debata na temat środków wymuszania praworządności odbywać się winna w obecności nowego komisarza, którym będzie Czeszka Věra Jourová, a nie w starym składzie z Holendrem jako gniewnym prokuratorem.

Skąd ten zapał i zacietrzewienie? Gdy niedawno odwiedziłem ojczyznę Timmermansa, zadałem to pytanie znajomym obserwującym politykę w Królestwie Niderlandów od lat. Odpowiedzieli, że niegdyś sami Holendrzy mówili, iż są krajem kupców i protestanckich kaznodziei. I był to specyficzny typ duchownego „Domine", czyli kalwiński pastor wygłaszający potępieńcze kazanie z wyciągniętym oskarżycielko palcem. Mocarz Boży wskazujący na grzeszników i grzesznice w ławach kalwińskiego zboru.

– No, ale przecież Niderlandy dawno już się zeświecczyły – ripostowałem niepewnie. „Cóż z tego, skoro nawyk wynajdowania sobie ofiary i piętnowania jej grzechów pozostał u niektórych polityków. Tyle że przeszedł od egzekwowania przestrzegania surowych zasad kalwinizmu do lewicowych norm poprawności politycznej. A Polska – mimo sympatii Timmermansa do polskich wyzwolicieli Holandii w 1944 r. – dobrze pasuje do wskazywania oskarżycielskim palcem. Co więcej, można sobie wmówić, że walcząc o polskie sądy, spłaca się dług zaciągnięty u czołgistów gen. Maczka.

Co więcej – nowa specjalność Holendra, czyli walka z ekologicznymi grzesznikami, daje jeszcze więcej okazji do oskarżycielskich kazań. Nieprzypadkowo grzmiąca w Nowym Jorku na polityków Greta Thunberg też wywodzi się z kraju reformacji. Wizje zwolenników tezy o bliskim klimatycznym kataklizmie doskonale służą do rzucania gromów na węglowych grzeszników. I tak jak straszono ogniem piekielnym, który w razie gniewu Boga spali Ziemię, tak teraz można zapowiadać katastrofy przyrody w sposób pełny eschatologicznej grozy.

Świecki kaznodzieja z Brukseli zapewne już szykuje efektowne kazania. A Polska i inne węglowe uparciuchy nie mają co liczyć na absolucję. ©℗

JAN SZYSZKO (1944–2019)

O szkodnikach drzewostanów w Polsce i na świecie wiedział niemal wszystko. Napisał w swojej ponad 50-letniej karierze badacza użytkowania i ochrony zasobów leśnych ponad 100 publikacji naukowych. Prowadził prywatną stację naukowo-badawczą dla studentów krajowych i zagranicznych.

Nic dziwnego, że z takim zasobem naukowego doświadczenia otrzymywał teki ministra środowiska w rządach: Jerzego Buzka (1997–2001), Kazimierza Marcinkiewicza (2005–2006), Jarosława Kaczyńskiego (2006–2007), Beaty Szydło (2015–2018) i wreszcie na krótko, w gabinecie Mateusza Morawieckiego (2018–2019).

Do polityki wszedł w końcu PRL. W 1987 r. był radnym i członkiem prezydium Miejskiej Rady Narodowej podwarszawskiej gminy Wesoła. W 1990 r., po utworzeniu samorządu gminnego, uzyskał mandat radnego tej miejscowości. Rok potem zapisał się do Porozumienia Centrum. W najtrudniejszym okresie istnienia PC, w 1996 r., został wiceprezesem zarządu głównego tej partii.

Jarosław Kaczyński zawsze dobrze zapamiętywał i politycznie wynagradzał ludzi, którzy byli u jego boku, gdy powszechnie sądzono, że bracia Kaczyńscy to epizod w dziejach III RP. Dla lewicy był wręcz modelowym symbolem reakcjonisty – lubił polowania, spierał się z ekologami i zawsze cenił o. Tadeusza Rydzyka i jego Radio Maryja. Zarzucono mu uprzywilejowanie zakonnika z Torunia. Odpowiadał, że pozwalał wykorzystywać za pośrednictwem swego ministerstwa fundusze, do korzystania z których w Unii zapewnione ma prawo każdy, kto podejmie się wykorzystywania nowych źródeł energii.

W 2019 r. musiał odejść z rządu. Mateusz Morawiecki w ramach resetu z Unią Europejską uznał, że Jan Szyszko może być problemem w relacjach z Brukselą. ©℗

Piotr Semka

DOKĄD ZMIERZA KOŚCIÓŁ? DEBATA

We wtorek 15 października o godz. 17. w krakowskim Klubie Polonia Christiana przy ul. Skawińskiej 13 rozpocznie się debata pod hasłem „Dokąd zmierza Kościół?". Wezmą w niej udział redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy" Paweł Lisicki oraz Krystian Kratiuk, dziennikarz „Polonia Christiana" i portalu PCH24.pl. Spotkanie poprowadzi Tomasz Kolanek (PCH24.pl).

Podczas spotkania zostanie zaprezentowana najnowsza książka wywiad z Pawłem Lisickim: „Czas szaleństwa czy czas wiary?". Wstęp wolny. ©℗ ***(jap)***

eprasa.pl 4bfed2fe01

KONDOLENCJE

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

Prof. Jana Szyszko,

naukowca, ministra środowiska, posła na Sejm RP V, VI, VII i VIII kadencji.
Rodzinie i Bliskim wyrazy głębokiego współczucia

składa

Henryk Kowalczyk, minister środowiska,

wraz ze współpracownikami

KONDOLENCJE

Z ogromnym smutkiem przyjęliśmy wiadomość o nagłej śmierci

ŚP.

Jana Szyszko

Trzykrotnego ministra środowiska
Profesora nauk leśnych, doktora honoris causa
Wybitnego naukowca i nauczyciela akademickiego
Laureata nagrody Papieskiej Akademii Nauk „Nauka dla Pokoju”
Posła czterech kadencji
Prezydenta V Konferencji Stron Konwencji Klimatycznej ONZ
Założyciela i Prezesa Stowarzyszenia
na rzecz Zrównoważonego Rozwoju Polski

Łącząc się w żałobie po stracie dobrego i życzliwego Człowieka zasad i wartości, pasjonata polskiej przyrody i leśnictwa, wyrazy głębokiego współczucia

Najbliższym, Rodzinie i Przyjaciołom

składają

Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy
Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej

eprasa.pl 4bfed2fe01

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Żal się śmiać

Jeśli „specjalny numer na wybory" konkurencyjnego tygodnika bije po oczach okładką podzieloną na czerń i biel i hasłem „Jasny wybór", to w środku może być tylko źle. Albo – może być też jeszcze gorzej. W tym wypadku jest to drugie.

Ukoronowaniem kilkudziesięciu stron przedwyborczej agitacji, równie finezyjnej jak młócka cepem, było w tygodniku „Polityka" (bo o nim oczywiście mowa) opowiadanie political fiction niejakiego Ziemowita Szczerka. Tak, tego, który publicznie żałował, że wskutek uderzenia pioruna w krzyż na Giewoncie nie zginęło więcej katolików.

Serce wyrywa się do czasów, gdy walcząc z tym salonem, można było spierać się z ludźmi na poziomie Jerzego Turowicza

Opowiadanie dzieje się w roku 2023, po kolejnych czterech latach rządów PiS, i jest zdumiewająco nudne. Koncept autora wyczerpuje się na tym, że Polska jest Rosją, nie działa zachodni Internet, zamiast Facebooka trzeba używać VKontakte, w knajpach biją „pedałów", na ulicach policja pałuje, kogo chce… I oczywiście jest cenzura, zresztą wszystkie media przejął albo zniszczył rząd. W sumie: pomysłów, pomijając już ich jakość, starczyłoby zaledwie na fraszkę. Trzy bite blachy wypełniają więc głównie rozmowy bohatera z ukrywającymi się opozycyjnymi „ekspertami", którzy tłumaczą mu, jak straszny błąd popełnili Polacy cztery lata temu, w 2019, nie rozumiejąc prawdziwej natury PiS-owskiego zagrożenia.

Rzecz warta jest uwagi jako dojmujący przykład – niejedyny zresztą – przeraźliwej intelektualnej degrengolady liberalnej lewicy, połączonej z atrofią talentów. Serce wyrywa się do czasów, gdy walcząc z tym salonem, można było spierać się z ludźmi na poziomie Jerzego Turowicza czy księdza Tischnera.

Dziś zastąpili ich Nurowska, Jachira i tacy właśnie jak Ziemowit Szczerek. Uwierzą państwo, że ten człowiek zaistniał w swoim towarzystwie, kiedy cztery lata temu „Wyborcza" wydała jego pompatyczny manifest pod ukradzionym Zoli tytułem „Oskarżam!" – zbitkę wygłoszonych z wielką pewnością siebie, płytkich i już wtedy zdartych stereotypów antypisowskiej propagandy, z których żadnego zresztą czteroletnie rządy Kaczyńskiego nie potwierdziły. Tak, dał tytuł „Oskarżam!" i wydrukowano mu to. Taka elita, jakiego ma Zolę. I taki los ją spotyka, na jaki zasługuje. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Stary człowiek i może

Uważające się za europejskie lewicowo-liberalne elity chętnie szermują hasłami o polskiej nietolerancji, używając jej jako parawanu, za którym mieszczą się wyłącznie stosunek do LGBT i wyznawców gender.

Najciemniej pod latarnią, a nie tylko ostatnie dni kampanii pokazały, że ten demokratyczny obóz zżera gangrena ageizmu – dyskryminacji ze względu na wiek. Oto bowiem lider samozwańczo demokratycznego obozu, Grzegorz Schetyna, podczas konwencji wyborczej swojej koalicji ironicznie nazywał Kaczyńskiego „starszym oderwanym od rzeczywistości", szczególny akcent kładąc na słowo „stary". Dzień później Sławomir Neumann w rozmowie z red. Robertem Mazurkiem tokował dalej o „starszym panu z Żoliborza niszczącym dorobek 30 lat".

Logika prosta: jeśli stary, to nieogarnięty. Dobitniej ujął to ideolog postępowego obozu prof. Markowski w wywiadzie dla „GW", określając lidera PiS mianem „zagubionego we współczesności starego człowieka" i odwołując się do młodego pokolenia, by odebrało Kaczyńskiemu władzę.

Wiele wskazuje, że ageizm liberałów średnio działa, a ów stary człowiek z Żoliborza ogarnia rzeczywistość na tyle sprawnie, by skutecznie walczyć o prymat w polityce. A może to jednak sprawka młodych? Onegdaj Adam Michnik wrzeszczał, by nie oddawać im Polski, później kolejny z lewicowych ideolololo apelował, by wyjechali z kraju, wreszcie Markowski wzywał, by „edukować chamów".

I starsze, i młodsze pokolenie Polaków okazuje się jednak wystarczająco wyedukowane, by znając Orwellowskie: „Ludzie, którzy głosują na nieudaczników, złodziei, zdrajców, nie są ich ofiarami, są ich wspólnikami", pamiętać o Piłsudskim i jego: „Bić k... i złodziei". W polityce czasami to wystarcza. ©℗

eprasa.pl 4bfed2fe01

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Stalinowcy są na świecie

Zawsze mnie zdumiewało, że ludzie, którzy przeżyli piekło zsyłki i sowieckich gułagów, potrafili potem szczerze wielbić Stalina i służyć komunizmowi. Nieco mniej więc mnie dziwi, choć jeży mi się włos na głowie, że dziś, w wolnym świecie, facet z profesorskim tytułem broni polityki Stalina. Wydawałoby się, że świat tę ponurą postać już ocenił i raz na zawsze potępił.

Nie w Italii. Agencja włoskiego episkopatu SIR opublikowała wywiad z profesorem historii współczesnej Giorgio Vecchio z uniwersytetu w Parmie, który potępia rezolucję PE dotyczącą paktu Ribbentrop-Mołotow. Wywiadującego dziennikarza i profesora najbardziej boli, że rezolucja stawia na równi nazizm i komunizm. Dziennikarz twierdzi, że wywołuje to liczne protesty polityków i historyków. Jako żywo protesty były, ale wyłącznie ze strony ludzi Putina.

Profesor twierdzi, że takie porównanie jest niedopuszczalne. Tłumaczy, że sowiecka ideologia, inaczej niż nazizm, nie dążyła do eksterminacji całych „ras" ludzkich. Wyjaśnia, że sowieckie łagry, choć przyniosły śmierć i cierpienia milionom ludzi, miały reedukować więźniów, „co w wielu przypadkach się udało" – odnotowuje z satysfakcją parmeński uczony.

Napad Stalina na Polskę, państwa bałtyckie etc.? Wyraz realizmu i polityki obronnej. Stworzenie „poduszki" ochronnej, bo Stalin wiedział, że go Hitler napadnie. I dalej jako usprawiedliwienie: „Związek Radziecki był otoczony państwami rządzonymi przez autorytarne prawicowe reżimy, które potem były sojusznikami Hitlera: Węgry, Rumunia, Finlandia, Włochy etc.". I oczywiście uwaga, że Sowieci stracili w II wojnie 20 mln żołnierzy, którzy zatrzymali Hitlera pod Stalingradem, „sporo wcześniej niż żołnierze amerykańscy postawili stopę na Sycylii i w Normandii". Generalnie zaś, tłumaczy uczony, za II wojnę odpowiadają ci, którzy w zaślepieniu podyktowali Niemcom po I wojnie zbyt ostre warunki w traktacie wersalskim. To samo mówił Adolf.

Takiej historii nauczają młodych Włochów na uniwersytecie w Parmie. Niech żyje Stalin, ojciec narodów! ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wyjść jak opozycja na Wałęsie

Końcówki kampanii obfitują ostatnio w „gejmczendżery". Państwo, czytając te słowa, będą już bogatsi o wiedzę, jak zakończyły się „najważniejsze wybory w historii III RP", ale ja jeszcze nie wiedząc, strzelę, co mogło pomóc PiS. „Wobec ostatnich prezentowanych wyników różnych sondaży proszę publicznie PO o zwolnienie mnie z danego publicznie słowa, że będę głosował na PO. Chcę wesprzeć Kosiniaka-Kamysza!" – napisał Lech Wałęsa po konwencji Koalicji Obywatelskiej.

Konwencji, na której zarzucił partii nieudolność, a śp. Kornelowi Morawieckiemu zdradę. „Chyba czas na wyrażenie: »wyjść na czymś jak KO na Wałęsie«. Najpierw rozwalił im kluczową konwencję, być może urwał kilka procent, a teraz poparł konkurencję. Chociaż na miejscu Kosiniaka-Kamysza trzymałbym kciuki, żeby poza deklaracją poparcia Wałęsa nic już do wyborów nie mówił" – podsumował sytuację Jakub Majmurek.

Sytuację, która – jak się okazało – po kilkunastu godzinach stała się rozwojowa. „Blady strach padł na partie. Lech Wałęsa usunął wpis o przeniesieniu poparcia z PO na PSL. Na kogo wypadnie, temu bęc ;)" – tweetnął Robert Feluś. A co na to sam noblista? „Pytacie mnie, na kogo będę głosował: odpowiadam – ja z rodziną głosujemy na syna JAROSŁAWA z PO. Chciałbym też, by ludzie z PSL znaleźli się w parlamencie" – stwierdził Lech Wałęsa. To jednak nie wszystko.

„Informuję Państwa, że ze względu na niezwykle ważne wybory do Parlamentu i hejt na konto p. prezydenta Wałęsy, do 14.10.2019 nie będą »wpuszczane« anonimowe konta oraz konta, u których nie można przeprowadzić weryfikacji. Po 14.10.2019 konto będzie bez »kłódki«" – poinformował Mirek Szczerba, rzecznik prezydenta. Już zza „kłódki" przyszły również przeprosiny. „Rodacy, przepraszam, jeszcze raz wyjaśniam. »Dla Was można zrobić wiele, z Wami niewiele«. To słowa Marszałka. Czy jeszcze raz potwierdzą się? Dałem z siebie wszystko w obecnej rzeczywistości" – napisała legenda Solidarności. Czy dała, nie wiem, ale na koniec takie, zupełnie niezwiązane ze sprawą słowa Witolda Głowackiego: „Człowiek się starzeje. Właśnie przyłapałem się na tym, że bardziej niż na same wybory czekam na lamenty liberalnych liderów opinii tuż po tych wyborach". ©℗

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. PAWEŁ GROMADA

ZĘBY W GAZECIE

Piosenkarka Doda postanowiła po latach spełnić jedno ze swoich największych marzeń. Chodzi o zęby. Tak, o zęby. Doda od dziecka, jak twierdzi, marzyła o tym, aby poprawić sobie zgryz. Dlatego zdecydowała się teraz na aparat na zęby. To prawdziwy przełom w jej życiu. Do tego stopnia, że musiała opowiedzieć o tym „Super Expressowi". – Zawsze chciałam założyć aparat, bo miałam problem ze zgryzem, ale zawsze było coś ważniejszego, teledysk albo program. Gdy byłam małą dziewczynką, aparat był czymś, co wykluczało cię z życia społecznego. Na szczęście to się zmieniło. A teraz jestem na etapie, kiedy zdrowie jest dla mnie najważniejsze. To potrwa tylko rok, a chcę mieć to już za sobą – powiedziała tabloidowi. Okazało się, że noszenie aparatu ma też skutki uboczne, których Doda nie przewidziała. Otóż celebrytka chudnie w oczach, bo nie może nic jeść! – Jeśli ktoś chce schudnąć, to jest to najlepsza dieta ekspresowa. Przez pierwsze dwa tygodnie zęby bolą dosyć mocno i nie można gryźć nic twardego, ciągnącego się. Można zapomnieć o mięsie. Je się tylko papkowate rzeczy. Patrzę na swoje nowe zdjęcia i widzę, że jestem chuda. Ważę już tylko jakieś 51 kg. Ale wszystko wraca do normy i właśnie wyszłam z włoskiej restauracji – dodaje na pocieszenie. Doda nie przestaje nas zadziwiać. Nie każdy potrafiłby zrobić newsa z faktu, że ma aparat na zębach! A tu proszę. Można? Można.

CO WYPADA

Tymczasem trenerka wszystkich Polek Ewa Chodakowska poinformowała, że przygotowuje nowy program treningowy dla swoich fanek. Informację tę okrasiła na Instagramie zdjęciem swoich półnagich pośladków. – Nagrywam nowy program treningowy. To będą odjechane ćwiczenia, dzięki którym poczujesz pożar w pośladkach! – napisała Chodakowska, po czym wytłumaczyła obecność swoich pośladków na zdjęciu obok. – Sorry za zdjęcie od d... strony, ale skoro waszym celem ma być okrągły i jędrny poślad, to wypada pokazać, o czym jest mowa – wyjaśniła. Cóż, w show-biznesie każdy pretekst do pokazania tyłka jest dobry, ale mówienie, że tak wypada, to w jakiejkolwiek sytuacji już przegięcie!

JAK ZAGADUJE EDZIA

Edyta Górniak nadal dzielnie uczy się jeździć samochodem, a jej zmagania możemy podziwiać w programie TVN. Stacja w ramach promocji nowego show z Edzią wysłała do niej na rozmowę reporterkę telewizji śniadaniowej, by podpytać, jak piosenkarce idzie nauka jazdy. Otóż idzie tak sobie. Edzia narzeka na zakwasy i ból pleców. Mówi, że instruktorzy ją „rozpraszają i karcą". A ona się biedna zniechęca. – Nie lubię robić rzeczy pobieżnie lub jako tako, żeby się prześlizgnąć. To mnie w ogóle nie interesuje, chcę zrobić wszystko jak najlepiej. Na razie to jest tak daleka droga, że trochę się zniechęcam, mam różne dni – przyznaje. – Dwa pierwsze tygodnie byłam wręcz przerażona. Znalazłam sobie taki sposób, żeby zagadywać moich instruktorów, po to, żeby oni nie mieli szansy mówić mi rzeczy, których ja nie rozumiem – przyznała szczerze. To by tłumaczyło, dlaczego wywiady Edzi są, jakie są. Ona po prostu pytań nie rozumie i próbuje dziennikarzy zagadywać. Tak jak instruktorów!

BYĆ JAK PAULO COELHO

FOT. MAREK MALCZEWSKI/REPORTER

Dominika Tajner, córka byłego trenera naszych skoczków narciarskich, zaistniała w show-biznesie jako czwarta żona Michała Wiśniewskiego. Co prawda od niedawna jest już byłą żoną, ale nie zamierza zmarnować kapitału, który zdobyła. Otóż Tajner Dominika postanowiła zostać kołczem. Jej warsztaty motywacyjne reklamowane są hasłem: „Jestem piękna i świadoma i nie boję się o tym mówić". Udział w nich wziąć można oczywiście za odpowiednią opłatą. Tajner przekonuje, że warto. – Zapraszam wszystkie dziewczyny, facetów też, jak chcecie się poznać na dziewczynach, to tylko u nas – reklamuje. – Jeszcze są wolne miejsca i bardzo serdecznie zapraszam, będziecie bardzo zadowolone – dodaje. Aby zachęcić jeszcze bardziej, Tajner zamieściła też jeden ze swoich motywujących tekstów: „Czasami kurczowe trzymanie się czegoś sprawia nam większą krzywdę niż odpuszczenie". Nie wiemy, jak to możliwe, że na warsztatach są jeszcze wolne miejsca. Przecież takie mądrości warte są absolutnie każdych pieniędzy!

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak tam? Macie jeszcze neta? Majka Ostaszewska straszyła, że jak PiS wygra wybory, to zablokuje nam dostęp do sieci, i musimy przyznać, iż rzeczywiście – jakby zasięg słabszy, sygnał Wi-Fi marniejszy.

Boimy się, że niebawem rząd zamknie nam Fejsa i Insta, a zdjęcia z modnych lokali będziemy musieli rozwieszać na słupach ogłoszeniowych – taka Polska nas czeka w XXI w.

To jednak będzie tylko początek większych represji. Spodziewamy się internowań, delegalizacji wszystkiego, co może kojarzyć się z Europą i postępem, prześladowań waginoosób, środowisk LGBTQWERTY, wegan i rowerzystów.

Zresztą czekamy na oświadczenia kolejnych autorytetów ze świata kultury i sztuki, aby wiedzieć,

jakich prześladowań dokładnie się spodziewać, aby być przygotowanym na każdą ewentualność.

W obliczu nieodsunięcia PiS od władzy postanowiliśmy rozpocząć w naszym korpo tajne podziemne komplety. Wyjaśniamy: chodzi o coś w rodzaju uniwersytetu, o którym nikt nie wie. Of kors nie chce nam się tego robić, ale poczuliśmy, iż musimy stworzyć sobie miejsce, w którym będziemy rozmawiać o prawdziwej, niewypaczonej przez dyskurs katolicko-narodowy historii tego kraju, czytać zbanowanych już wkrótce nieprawomyślnych autorów oraz felietony najwybitniejszych publicystów z postępowej prasy, która – co oczywiste – wkrótce zostanie zamknięta.

Tylko prośba: nie mówcie nikomu, iż na pewno siepacze Kaczafiego będą nam chcieli podrzucić jakiegoś kreta. Of kors nie oznacza to, iż donosicielstwo zawsze jest złe, co to to nie, nie będziemy wyrokować, ale ważne jest też, komu się donosi i na kogo, nie? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

Ostatni korespondent oblężonej Warszawy

Kiedy inni zagraniczni korespondenci (i nie tylko korespondenci) w panice opuszczali stolicę Polski, Julien Bryan, amerykański reżyser, dokumentalista i fotografik, odbywał podróż w drugą stronę. 1 września 1939 r. wsiadł do pociągu jadącego z Bukaresztu do Warszawy. „Latem 1939 roku pojechałem do Europy. W powietrzu czuło się wojnę. W neutralnej Szwajcarii z 2 tysiącami metrów taśmy filmowej i 30 rolkami do zdjęć oczekiwałem na właściwy moment. Tym momentem było podpisanie w Moskwie paktu Ribbentrop-Mołotow" – napisał we wstępie do opublikowanej w roku 1940 książki „Oblężenie", faktograficznego zapisu z oblężonej Warszawy.

Po przekroczeniu granicy Polski jego pociąg został zbombardowany. 5 września dotarł do Warszawy. Najpierw Amerykanina posądzono o szpiegostwo, ale później mu zaufano. List polecający i pomoc prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego pozwoliły Bryanowi dokumentować horror pierwszych dni II wojny światowej.

Film „Ostatni korespondent" w reżyserii Eugeniusza Starky'ego, który można kupić z bieżącym wydaniem „Do Rzeczy", to poruszający obraz, na który składają się m.in. nagrania z września 1939 r. zarejestrowane przez Juliena Bryana. Obraz pokazuje przede wszystkim cierpienia ludności cywilnej. Odwaga „ostatniego korespondenta" pozwoliła zarejestrować okrucieństwo w stosunku do bezbronnych – dzieci, starców, chorych. Okrucieństwo, o którym dzięki Bryanowi świat mógł w 1939 r. usłyszeć, a które dziś trudniej dzięki jego zdjęciom zbagatelizować i zapomnieć.

oprac. raw

Szukaj wydania „Do Rzeczy" z poruszającym filmem dokumentalnym „Ostatni korespondent. Oblężenie Warszawy"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4bfed2fe01

dwaj panowie g

Żegnamy prof. Jana Szyszko. Tak właśnie proszę pisać – upominamy korektę i kolegów dziennikarzy. Śp. Jan zawsze, gdy ktoś odmieniał jego nazwisko i mówił „ministra Szyszki", zżymał się okrutnie i pytał: „A czy ja się nazywam Szyszka? Nie! Szyszko!". Człowiek, którego szanowaliśmy nie tylko dlatego, że tak jak my lubił jeść dziczyznę. Przede wszystkim dlatego, że w odróżnieniu od swych adwersarzy posiadał wiedzę, a nie tylko poglądy.

Kampania, kampania i po kampanii. Można ją podsumować naszym autorskim „the best of". Występu pewnego byłego prezydenta, byłego przywódcy Solidarności i noblisty komentować tu jednak nie będziemy. Swym wyskokiem w sprawie śp. Kornela Morawieckiego wystawił się poza nawias nie tylko rubryki i świata polityki. Także poza granice świata ludzi.

Plotka kampanii. Mariusz Błaszczak możliwym kandydatem na premiera. Ciekawa rzecz, plotka krążyła już dobre sześć tygodni przed wyborami. Co ciekawsze, nikt nie chciał, żeby ujrzała światło dzienne. Najbardziej zatroskani byli ziobryści, którzy powtarzali, że ujawnienie tego faktu może spalić kandydata, którego z radością by wsparli. No i wiecie co? Mleko się wylało, kiedy o rzeczy napisał „DGP" tydzień przed ciszą. Cóż, premier Mateusz też ma swoje wiewiórki.

Największy przebój kampanii. Prawdziwy, tzn. utwór muzyczny. Bez wątpienia popsong „Nowa Lewica", który ozdobił spoty SLD. „Co trzy głowy, to nie jedna / Każde dziecko o tym wie", „Przegnajmy upiory dawnych dni" oraz „Tutaj nie brakuje ciepła / Tu szacunek jest i czas" – śpiewa młoda utalentowana wokalistka. Prywatnie siostra Krzysztofa Śmiszka, partnera Robika Biedronia. Podajemy jednak tę wiadomość na odpowiedzialność „Wyborczej", więc może nie być prawdziwa.

Najlepszy spot kampanii. Dworczyk na spadochronie. Znamy kulisy. Co prawda zaczyna się przed KPRM, ale sam skok jest zagraniczny. Wiewiórki mówią, że minister wykonał go na początku roku w słonecznej Portugalii. Nie jest jednak prawdą, jakoby Dworczyk skakał jedynie za granicą. Znamy ludzi, którzy widzieli go w polskiej szkole spadochronowej.

Podróż kampanii. Testowy skład drugiej linii metra w Warszawie po raz pierwszy dojechał do stacji Księcia Janusza. To ważne osiągnięcie, choć słowo „Księcia" uważamy za niepotrzebne. Czas już był najwyższy, by wszyscy janusze, którzy zdecydowali o losach wyborów, mieli swoją stację. Czekamy na stację Grażyny.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zwierzę hodowlane kampanii. Bez wątpienia koza. Zdechła przecież połowa stada kóz, którymi w ramach projektu proekologicznego zaopiekowały się władze Warszawy. Trudno o piękniejszą metaforę rządów PeŁo. Dzisiaj Warszawa, jutro cała Polska?

Zwierzę domowe kampanii. Pies. A dokładnie jamnik szorstkowłosy Moniki Jaruzelskiej. My tam jesteśmy kociarzami, ale współczujemy nieszczęsnemu zwierzęciu publicznie oskarżonemu o próbę gwałtu na suczce Anny Marii Żukowskiej oraz sikanie jej do butów. W całej tej aferze jest tajemnica, której do tej pory nie wyjaśniono. Chociaż afera była przedmiotem kilku wywiadów: Czy buty stały obok Żukowskiej, czy miała je na nogach?

Zonk kampanii. Fragment piosenki Pawki Kukiza „Miasto budzi się" w spotach wyborczych Peezelu. Nie chodzi nam o to, że powinno być: „Wieś budzi się", bo wieś akurat obudziła się już dawno i w związku z tym zaczęła głosować na PiS, ale o to, że czuliśmy się, jakby Chór Ministerstwa Finansów wystąpił w spocie Ala Capone.

Najlepsza część kampanii. Cisza wyborcza. Nie podzielamy opinii naszych redakcyjnych kolegów, którzy chcieliby ją zlikwidować. Wręcz przeciwnie, uważamy, że cisza wyborcza powinna być rozciągnięta na całą kampanię. Dzięki temu mielibyśmy więcej czasu na czytanie dzieł Olgi Tokarczuk.

Noblistka kampanii. Olga Tokarczuk. Oczywiście w zastępstwie, bo tę kategorię powinien wygrać wąsaty osobnik, o którym – jak wcześniej obiecaliśmy – nie będziemy wspominać. Pani Olga laur otrzymuje za utwór, który akademia noblowska pominęła w swym uzasadnieniu. Zacytujemy go w całości. „Robiliśmy straszne rzeczy jako kolonizatorzy, większość narodowa, która tłumiła mniejszość, jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów". Powyższy utwór powstał w roku 2015 i chyba jest wierszem współczesnym, bo przecież się nie rymuje.

Heroiczny bój kampanii. Nie, nie żaden pojedynek między partiami. Chodzi o toczony do ostatniej chwili bój wewnątrz Konfederacji, żeby nie dopuścić, by na finale kampanii w Polsacie brylował Korwin Krul. Przyznajemy, nie spodziewaliśmy się, że są w Konfederacji tak wielkie pokłady zdrowego rozsądku.

eprasa.pl 4bfed2fe01

No i sami wiecie, jak się skończyło.

Duet męski kampanii. Aleksander Goleń Kwaśniewski wspierający Misia Szaliczek-Kamińskiego. Lubimy fantazjować, ale w najdzikszych snach byśmy tego nie wymyślili.

Duet męsko-damski kampanii. Wspólna konferencja prasowa Kazimierza Budynia Ujazdowskiego i Katarzyny Lubnauer. Tego nie wyśnilibyśmy nawet w najdzikszych snach śnionych wewnątrz najdzikszych snów.

Najlepsza część kampanii. Cisza wyborcza

Peło ma jednak jakiś problem ze zwierzętami. Kiedyś Jan Maria Rokita chciał szarpać cuglami, teraz pod rządami Rafcia Trzaskowskiego w Warszawie zdychają kozy. Kozy wolą płytki grób niż życie pod rządami Rafcia. Znaczy – kozy mają mózgi – w porównaniu.

Bon mot kampanii. „TVN to największa partia opozycyjna", czyli tekst posła Marcina Horały z debaty w tejże pięknej stacji. W punkt. Mamy przy okazji złą wiadomość dla „Wyborczej". W tej sytuacji Czerska jest jedynie drugą co do wielkości partią opozycyjną. Takim medialnym Peezelem opozycji.

Cwaniak kampanii. Bez wątpienia Włodek Czarzasty. Nie tylko wprowadza SLD z powrotem do Sejmu, lecz także czyni to w sposób głęboko przemyślany. Na przykład kiedy pytano go zakulisowo, czy nie boi się rozłamu w klubie po wyborach, bo np. Razem będzie chciało mieć coś swojego, odparł: „Żeby założyć koło, trzeba mieć przynajmniej trzech posłów" i uśmiechnął się demonicznie. Widzicie, Wielki Przewodniczący Czao ma słabość do analiz. I tak układał listy zjednoczonej lewicy, żeby było dobrze.

Tweet kampanii. „Należę do intelektualnej elity tego kraju", czyli odważna wypowiedź Michała Cessanisa, prywatnie partnera Pawła Rabieja. Tweet wkrótce po zamieszczeniu zniknął wraz z całym kontem twitterowym Cessanisa. Słusznie. Intelektualna elita nie powinna się udzielać w miejscu tak plebejskim jak Twitter.

Chcieliśmy też wyjaśnić, że powyższe zdanie Cessanisa wygrywa również w kategorii „szczere wyznanie kampanii". Miał w niej początkowo zwyciężyć Sławek Neumann za taśmy z Tczewa, ale przecież nagrane zostały grubo przed kampanią, więc Sławek został zdyskwalifikowany ze względów regulaminowych – i ch..!

Tekst kampanii. I nie jest to żadne zdanie z oficjalnych występów ani reklamówek rozmaitych komitetów. Tylko zdanie, które słyszeliśmy w ostatnich tygodniach przed głosowaniem z ust rozmaitych polityków Peło, którzy zmuszeni zostali do kampanii face-to-face, to znaczy łażenia po bazarach i spotykania się z ludem. Lud był bardzo niewdzięczny, a wiara w sukces niewielka, dlatego tekstem kampanii zostaje zdanie: „Niech to się już wreszcie skończy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

REBIS

NOWE SPOJRZENIE NA XX I XXI WIEK!

10 tajnych umów, które ukształtowały światową gospodarkę!

Premiera: 8.10.

Klucz do zrozumienia współczesnych konfliktów!

FB/REBIS

www.rebis.com.pl

eprasa.pl 4bfed2fe01

Działania niektórych fanatycznych grup są coraz radykalniejsze i często nielegalne. Na zdjęciu nieudana próba oblania sztuczną krwią budynku brytyjskiego ministerstwa skarbu. Awanturnicy z grupy Extinction Rebellion stracili panowanie nad wężem i oblali czerwoną cieczą siebie samych oraz najbliższe otoczenie

FOT. AARON CHOWN/PA/PAP

Radykałowie na fali

eprasa.pl 4bfed2fe01

Łukasz Warzecha

Trudno wyobrazić sobie apetyczniejszą rzecz niż dobrze przygotowany stek wołowy. Być może powinniśmy się jednak pospieszyć z kosztowaniem tych frykasów, bo totalniacka ekolewica szykuje zamach na mięso – i na wiele innych naszych swobód oraz wolności

Problem mięsa w większej skali pojawił się w świadomości Polaków kilka tygodni temu, gdy świeżo upieczona eurodeputowana Sylwia Spurek zacytowała na Twitterze fragment książki Tobiasa Leenaerta „Jak stworzyć wegański świat": „Musimy doprowadzić do zmian instytucjonalnych, na przykład poprzez tworzenie nowych praw [...]. Musimy sprawić, by produkcja wyrobów odzwierzęcych była trudniejsza i droższa". Problem pojawił się jednak tylko w charakterze ciekawostki, bo pani Spurek jest przez ludzi spoza skrajnej lewicy odbierana jako chodzący mem, jako żywa karykatura fanatycznego lewaka. Nie ma chyba lewicowej głupoty, której Sylwia Spurek nie głosiłaby z całkowitą powagą – co tylko powiększa komiczny efekt. Dlatego jej krucjata w sprawie wegańskich posiłków w Parlamencie Europejskim czy deklaracje w sprawie gwałconych krów wywołują niemal wyłącznie śmiech przeplatany ze stukaniem się w czoło.

Zapewne słusznie. Ale miejmy świadomość, że pani Spurek jest jedynie najbardziej ekstremalnym przypadkiem w ramach ruchu, który już funkcjonuje, ma bardzo konkretne plany i może się poszczycić konkretnymi efektami. Projekt uchwały niemieckich Zielonych na listopadowy zjazd partii zawiera m.in. postulat odejścia od przemysłowej hodowli zwierząt. Część tych pomysłów już odczuwamy lub za moment zaczniemy odczuwać w Polsce.

To nurt lewicowej ekologicznej dyktatury, której założeniem jest, że w niektórych sprawach demokracja po prostu się „nie sprawdza", więc zamiast pozwalać ludziom decydować, trzeba ich najzwyczajniej wziąć za twarz i zmusić do życia zgodnie z wytycznymi mędrców od ekologii. To nie tylko kwestia hodowli zwierząt czy odczłowieczającego, przerażającego hejtu na myśliwych – to również kwestia histerii spod znaku Kościoła św. Grety od Klimatu, norm regulujących przemysłową emisję zanieczyszczewwń czy konstrukcję nowych aut.

PODEJŚCIE „TOP-DOWN"

Książkę, którą cytowała Sylwia Spurek, opublikowało w Polsce wydawnictwo Krytyki Politycznej. Jej autor, Belg, jest współzałożycielem organizacji ProVeg. Podstawą jej działania jest ideologiczny sprzeciw wobec konsumpcji i hodowli zwierząt. Oficjalnym celem jest redukcja takiej hodowli o połowę do 2040 r., ale – jak zaznaczają przedstawiciele ProVeg – ma to być tylko pierwszy krok, bo oczywiście celem ostatecznym jest całkowita rezygnacja z mięsa. ProVeg działa również w Polsce jako oddział międzynarodowej struktury, podobnie jak inne ekologiczne organizacje w rodzaju Vivy, PETA czy Greenpeace. Na swojej polskiej stronie ProVeg umieściło rozmowę z Leenaertem (zilustrowaną zdjęciem bohatera przytulonego do owcy), w której ten mówi m.in.:

„Działanie strategiczne oznacza wybranie tej drogi, która najszybciej i najłatwiej doprowadzi do celu. »Strategiczne« jest dla mnie równoznaczne z »pragmatycznym«. Pragmatyzm oznacza koncentrowanie się na wynikach i w razie potrzeby łamanie w niektórych punktach zasad, jeżeli prowadzi to do nadzwyczajnych rezultatów. Idealistyczne natomiast jest, jeśli najwięcej uwagi poświęca się dotrzymaniu zasad i robieniu zawsze właściwych rzeczy, nawet jeśli nie powoduje to najlepszego skutku dla zwierząt. Co prawda przy obu podejściach możliwe jest pójście za daleko, samo w sobie jednak żadne nie jest złe. W naszej obecnej sytuacji, w której społeczeństwo w dużej mierze jest jeszcze zależne od wykorzystywania zwierząt, potrzeba według mnie znacznie więcej pragmatyzmu. [...] Uważam to za wspaniałe, jak z ProVeg próbujemy wpływać na ludzi na wpływowych stanowiskach. Jest to podejście »top-down«, w którym zwracamy się z naszym przesłaniem do dużych instytucji (cateringi, szpitale, rządy), oraz pragmatyczne, ponieważ dążymy do zmniejszenia do 2040 roku produkcji odzwierzęcej o połowę. Nie jest to nasz ostateczny cel, ale cel realistyczny – i co ważniejsze – łatwiejszy do zaakceptowania dla grona decydentek i decydentów".

Wzmianka o podejściu „top-down", czyli z góry na dół, to kluczowy fragment rozmowy. Mówimy o sytuacji, w której grupa lobbystów, w tym wypadu kierujących się prozwierzęcą ideologią, nie bawi się w przekonywanie większej liczby ludzi do swoich poglądów, ale działa bezpośrednio na duże podmioty polityczne i biznesowe, skłaniając je do narzucania innym

REKLAMA

Instytut Pamięci Narodowej zaprasza na dyskusję wokół książki Władysława Bułhaka

16 października (środa), godz. 17:30

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

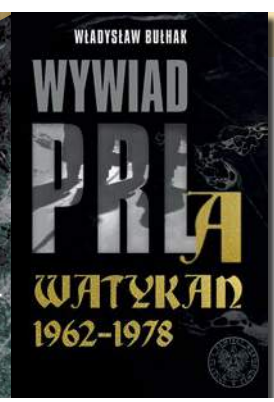

Udział wezmą:

dr Władysław Bułhak – autor, Biuro Badań Historycznych IPN

prof. Andrzej Paczkowski – Instytut Studiów Politycznych PAN

dr hab. Sławomir Cenckiewicz – dyrektor Wojskowego Biura Historycznego

dr hab. Zbigniew Siemiątkowski – Instytut Nauk Politycznych UW

Organizatorzy: Instytut Pamięci Narodowej, Przystanek Historia

Patronat medialny: TVP Historia, WNET.FM, Do Rzeczy, Dzieje.pl

eprasa.pl 4bfed2fe01

własnej wizji świata. Znamy to doskonale z innych firmowanych przez lewicę aktywności. Dokładnie tak samo funkcjonują choćby ruchy miejskie, które wykorzystują instrumenty takie jak budżety obywatelskie albo konsultacje oraz swoje nieformalne kontakty z włodarzami miast o lewicowych inklinacjach, żeby narzucać mieszkańcom własny pomysł na „miasto bez samochodów". Zwykli ludzie budzą się któregoś dnia i z przerażeniem widzą, że zabrano im kolejne miejsca parkingowe i zwężono kolejną ulicę. Tu chodzi o to samo: klient sklepu, który nie ma nic przeciwko jedzeniu wołowiny czy wieprzowiny, któregoś dnia zorientuje się, że jego ulubione mięso jest droższe o 50 proc. – i nawet nie będzie wiedział dlaczego. To właśnie będzie efekt działania „top-down".

Wydaje się państwu, że to fantasmagoria? Bynajmniej – weźmy przykład jajek. Z półek kolejnych sklepów, sieciowych i nie tylko, zniknęły same z siebie jajka od kur z hodowli klatkowej, a zastąpiły je jajka z hodowli ściółkowej lub „ekologicznej". Rzecz jasna wyraźnie droższe, a wcale nie lepsze. Twierdzenia, że jajka od „szczęśliwych" kur, które stłoczone są nie w klatkach, tylko poza nimi, są smaczniejsze lub zdrowsze, to bujda. Nie dowiodły tego żadne badania. To nadal hodowla przemysłowa. Sieciom nikt oczywiście rozporządzeniem nie zabronił sprzedaży jajek od kur klatkowych. Po prostu dzięki lamentom „animalsów" pojawiła się okazja, żeby skroić klientów na kasę, bo przecież wyższa cena wyjściowa i etykietka „eko" to wyższa marża sklepu, więc sklepy z tej okazji skorzystały, ogłaszając, że są bardzo czułe na los drobiu i wycofują z oferty jajka od kur klatkowych. Miejmy przy okazji świadomość, że organizacja Leenaerta i w tej sprawie walczy.

A jednak argumenty „zdrowotne" pojawiają się również w przypadku agresywnej promocji weganizmu. Weganie mają być rzekomo odporniejsi, pogodniejsi, lepiej się czuć, a jedzenie mięsa ma szkodzić. Z badaniami szkodliwości tego czy innego produktu wiadomo, jak jest. Wystarczy prześledzić, jak zmieniała się opinia „naukowa" na temat wpływu masła. Jednak solidne, przekrojowe badania to co innego, a tak się składa, że takie się właśnie pojawiły. Pod koniec września Bradley Johnston z Uniwersytetu Dalhousie w Nowej Szkocji w Kanadzie i Gordon Guyatt z Uniwersytetu McMastera w Ontario, także w Kanadzie, opublikowali obszerne, przekrojowe badanie, oparte na 54 tys. przypadków, z którego wynika, że nie ma żadnej znaczącej korelacji pomiędzy spożyciem mięsa a chorobami serca, cukrzycą lub rakiem. Można zatem spokojnie zajadać się stekami i kotletami.

EKOLOGICZNE BEZPRAWIE

Przy czym Leenaert to i tak cienki Bolek w porównaniu z radykałami klimatycznymi i prozwierzęcymi, którzy wydają się być na fali wznoszącej. Najbardziej znana jest organizacja Extinction Rebellion (XR), która chce walczyć o gwałtowną zmianę w podejściu do klimatu, nie licząc się z konsekwencjami, które musiałoby z sobą nieść spełnienie ich żądań. XR to awanturnicy, którzy balansują na granicy prawa, a często je po prostu łamią. Podczas niedawnego protestu klimatycznego w Warszawie zaznaczyli już swoją obecność, blokując nielegalnie rondo w centrum miasta i wywołując potężne korki. W Londynie kilka miesięcy temu przyklejali się do ciężarówek, paraliżując kilka mostów nad Tamizą i korkując dokumentnie całe miasto, a niedawno usiłowali oblać 1800 litrami sztucznej krwi budynek brytyjskiego Ministerstwa Skarbu. Okazali się przy tym tak nieporadni, że szybko utracili kontrolę nad pojazdem strażackim, z którego korzystali, oraz nad wężem i oblali czerwoną cieczą siebie samych oraz najbliższe otoczenie. W Amsterdamie dopiero co blokowali dojazd do Rijksmuseum.

Uderzenie w rolniczą produkcję zwierzęcą, nawet tylko na poziomie agresywnej propagandy, to dla polskich rolników gigantyczne straty

W rozmowie z „Gazetą Wyborczą" polscy członkowie grupy wprost zapowiadali łamanie prawa: „Nie zadziałały rozmowy na korytarzu w szkole, pisanie wierszy i artykułów, nie zadziałało stanie pod Sejmem, postulaty Młodzieżowego Strajku Klimatycznego też nie zostały spełnione. Jeśli zdecyduję się na nieposłuszeństwo obywatelskie, będę miała poczucie, że zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby zawalczyć o swoją przyszłość" – mówiła „Jadwiga" (żaden z rozmówców nie miał odwagi przedstawić się nazwiskiem). I dalej: „Jeżeli jakaś forma protestu nie zaburza systemu, system może ją zignorować". „Maciek" uzupełniał: „Stawiamy system przed impasem: albo zostaniemy masowo aresztowani, i to zwróci uwagę społeczeństwa, albo będziemy stać w takim miejscu, że nie będzie można nas nie zauważyć". Trzeba zrozumieć, że dla fanatyków z XR my wszyscy normalnie funkcjonujący ludzie jesteśmy częścią „systemu" – a więc wrogiem dopóty, dopóki nie przyłączymy się do ich krucjaty lub nie skapitulujemy przed żądaniami.

Charakterystyczne, że gdy w zachodniej prasie toczy się poważna dyskusja z ogromną liczbą głosów krytycznych wobec coraz radykalniejszych działań klimatystycznych radykałów, w Polsce temat wydaje się w sferze publicznej niemal nie istnieć. Nawet w kampanii wyborczej, która wydaje się idealnym momentem, by go podjąć.

XR ma, jak się okazuje, swój „animalsowski" pododdział: Animal Rebellion. W ubiegłym tygodniu 400 awanturników przez 18 godzin okupowało targowisko Farringdon w Londynie, gdzie sprzedaje się m.in. ryby i mięso, domagając się „przejścia Wielkiej Brytanii na weganizm". Fanatycy twierdzą, że produkcja zwierzęca odpowiada za znaczącą część produkcji metanu, który z kolei ma wpływać na zmiany klimatu. Do tej rzekomej zależności, podważanej przez wielu naukowców, nawiązywała także Sylwia Spurek, stwierdzając, że nie jest naszą prywatną sprawą, co jemy.

Jak tłumaczył mediom rzecznik Animal Rebellion podczas protestu w Farringdon: „Jesteśmy tutaj, aby przekazać rządowi wiadomość, że przemysł będący w centrum kwestii zmiany klimatu musi uzyskać pomoc w przejściu na produkcję żywności roślinnej, tak aby pracownicy wciąż mogli nakarmić swoje rodziny, ale zarazem aby odpowiednio zapobiec katastrofie klimatycznej". Protestujący zorganizowali także czuwanie przy świecach „ku pamięci zwierząt, które straciły życie".

Charakterystyczne, że radykałowie spod znaku XR czy AR wysuwają wzięte z sufitu postulaty, nie tylko nie licząc się z poglądami innych ludzi, lecz także z konsekwencjami. Wypowiedź rzecznika AR pokazuje to wyraźnie: likwidacja hodowli zwierząt (z rybami włącznie) i przestawienie ich na hodowlę roślinną to zrzucenie bomby atomowej na gospodarkę. Sprzedaż wołowiny w Wielkiej Brytanii w 2017 r. przyniosła ponad pół miliarda funtów. Kurczaków – ponad 470 mln funtów. Wieprzowiny – prawie 170 mln funtów, jagnięciny – 160 mln funtów. W 2017 r. na całym świe-

eprasa.pl 4bfed2fe01

cie wyprodukowano 330 mln ton mięsa. Polska jest znaczącym eksporterem mięsa – w 2017 r. wyeksportowaliśmy wołowinę w różnych postaciach za ok. 1,5 mld euro (mięso z niektórych rodzimych hodowli nie ustępuje argentyńskiemu, uznawanemu za najsmaczniejsze na świecie), ale sami Polacy spośród różnych rodzajów mięsa jedzą jej rocznie najmniej. Polscy producenci są generalnie mocno uzależnieni od eksportu. Uderzenie w rolniczą produkcję zwierzęcą, nawet tylko na poziomie agresywnej propagandy, o ewentualnych regulacjach nie mówiąc, to dla polskich rolników gigantyczne straty. W skali świata – straty idące w biliony euro i miliony bezrobotnych.

Można by pomyśleć, że nie ma zagrożenia – wszak rolnicy również stanowią potężne lobby. Nie ma jednak takiego lobby, przeciw któremu nie stanęliby dzielnie fanatycy – a to z fanatykami mamy do czynienia. Tutaj warto wrócić do uśpionego na razie tematu zakazu hodowli zwierząt futerkowych w Polsce, którego głównym promotorem był poseł PiS Krzysztof Czabański. Czabański zresztą w ogóle jest prymusem w tego typu pomysłach. W trakcie ostatniej kampanii wyborczej wspominał, że w ramach MSWiA powinna powstać odrębna służba, zajmująca się łamaniem, jak to określił, „praw zwierząt".

Jednak Czabański nie jest sam. Dwa lata temu w spocie Vivy, jednej ze skrajnie lewicowych organizacji prozwierzęcych, wystąpił sam Jarosław Kaczyński, wygłaszając pogląd, że zakaz hodowli zwierząt na futra to „europeizacja Polski", w zorganizowanie zaś zideologizowanej wystawy przeciwko branży futrzarskiej w Parlamencie Europejskim zaangażowali się europosłowie PiS, m.in. profesorowie Ryszard Legutko i Zdzisław Krasnodębski. W czasie, gdy sprawa zakazu leżała na stole (potem została schowana w obawie przed utratą poparcia na wsi), ze strony jego zwolenników wielokrotnie pojawiał się argument, że przecież futra nie są już niezbędne – człowiek może ubierać się w co innego. Ten sam sposób rozumowania stosują fanatyczni weganie, chcący narzucić światu swój sposób odżywiania się. I oni będą argumentować, że jedzenie mięsa nie jest niezbędne. A w każdym razie mięsa pochodzącego od zwierząt, prawdziwego.

KOMU TO SŁUŻY?

Czy może być mięso „nieprawdziwe"? Otóż – może. I być może tu kryje się klucz do zrozumienia źródeł antymięsnej histerii. Pytanie „cui prodest?" powinno się pojawiać zawsze. To element krytycznej analizy rzeczywistości. Spójrzmy zatem najpierw na histerię klimatyczną i jej konsekwencje choćby dla przemysłu motoryzacyjnego. Europa narzuca od lat producentom aut coraz ostrzejsze normy emisji spalin i produktów spalania. Ten system jest zresztą absurdalnie skonstruowany, bo oceniana jest emisja całej floty produkowanych pojazdów, w przypadku zaś pojedynczych modeli liczy się relacja emisji do pojemności ich silników. Skutek jest taki, że bardziej opłaca się mieć w gamie modelowej przynajmniej jednego potwora, generującego z trzylitrowego silnika kilkaset koni, niż trzy oszczędne auta miejskie z małymi, wolnossącymi silnikami, bo za redukcję proporcjonalnie do mocy w przypadku tego pierwszego modelu zarabia się więcej punktów.

Generalnie jednak unijne normy wymusiły na producentach redukcję pojemności i instalowanie turbosprężarki praktycznie w każdym silniku napędzającym auto większe niż miejskie. W ten sposób z pojemności rzędu 1,2–1,5 litra (czyli stosunkowo niewielkiej) wyciska

REKLAMA

eprasa.pl 4bfed2fe01

się dzisiaj 150–200 koni. Praktycznie nie da się już znaleźć nowego samochodu z wolnossącym (czyli pozbawionym „wspomagania") silnikiem o pojemności większej niż dwa litry. A nawet takie modele można policzyć na palcach jednej ręki. Wszystko to w imię redukcji emisji. Tylko że ubocznym skutkiem pogoni za unijnymi normami jest znacznie mniejsza trwałość i wyższa awaryjność wysilonych, małych silników. Zadbany wolnossący silnik dużej pojemności był w stanie bez poważnej naprawy przejechać spokojnie 200 tys. km albo i więcej. Wysilony silniczek z turbodoładowaniem przy dużym szczęściu pociągnie 150 tys., czasami mniej. Skutkiem „ekologicznej" polityki UE jest więc niższa trwałość aut, czyli częstsza ich wymiana. Czyli więcej zanieczyszczeń związanych z produkcją nowych samochodów. Efekt netto mógłby się okazać mało zachęcający. Ale przecież producenci samochodów i części zyskują na tym, więc ich opór przed nowymi normami jest związany jedynie z tym, żeby mieli czas opracować odpowiednie technologie, umożliwiające osiągnięcie pożądanego przez UE efektu – z ogromnym uszczerbkiem dla trwałości pojazdu.

Zmowa milczenia panuje też wokół korzyści, które płyną z sowitych dotacji dla aut na baterie, bez rządowych pieniędzy będących nadal maleńką niszą. Tropy prowadzą do Demokratycznej Republiki Konga i Zambii – to pierwsze państwo należy do, jak to kiedyś określali amerykańscy neokonserwatyści, krajów upadłych – które zaspokajają łącznie połowę światowego zapotrzebowania na kobalt, pierwiastek niezbędny do budowy baterii litowo-jonowych, stosowanych m.in. w samochodach. Inne technologie budowy akumulatorów dotąd nie wyszły poza fazy testów.

Mamy prawo zakładać, że nacisk na odejście od silników benzynowych na rzecz aut na baterię – wciąż bardzo niepraktycznych, w warunkach wolnego rynku niemal niesprzedawalnych – ma wiele wspólnego z interesami tych dwóch krajów oraz innych dysponentów złóż kobaltu, takich jak RPA, Zimbabwe, Rosja czy Chiny. Podejrzenia mogą być tym większe, że istnieje znacznie wygodniejsza, czystsza – choć też nie bezproblemowa – technologia wodorowa. Wodór zaś można wytwarzać gdziekolwiek, nie ma tu żadnych złóż kontrolowanych przez ten czy inny reżim. Czyżby to był klucz do upierania się przy samochodach na baterię?

Z taką samą podejrzliwością trzeba patrzeć na sprawę walki z hodowlą zwierząt, bo trwają prace nad sztucznym mięsem. Na razie to bardzo kosztowna technologia, polegająca na hodowaniu mięsa na bazie komórek macierzystych, ale w ciągu dekady lub dwóch może się stać znacznie tańsza. Natychmiast pojawiają się, rzecz jasna, wątpliwości dotyczące wpływu takiego mięsa na zdrowie. Skoro za ryzykowne uważa się produkty z żywności genetycznie modyfikowanej, to dlaczego inaczej miano by podchodzić do sztucznego mięsa? Ale te obawy mają zniknąć w konfrontacji z argumentem, że przy produkcji mięsa z komórek macierzystych nie cierpi żadne zwierzę. Pozostaje teraz tylko uważnie obserwować, jaka firma ma patent na najbardziej zaawansowaną technologię wyrobu sztucznego mięsa i najszybciej skorzysta z wegańskiej histerii lub nawet zakazów, które mogą się zacząć pojawiać, żeby zarobić miliardy.

ZAWIESIĆ DEMOKRACJĘ?

Jeśli ktoś sobie wyobraża, że mówimy o niegroźnej modzie, powinien się pozbyć złudzeń. Nadciąga fala fanatyzmu przemieszanego z upodobaniem do autorytarnych rozwiązań. Takie postulaty słychać coraz głośniej. Jeszcze w 2007 r. dwaj naukowcy, David Shearman i Joseph Wayne Smith, opublikowali książkę „The Climate Change Challenge and the Failure od Democracy" („Wyzwanie zmian klimatycznych i porażka demokracji"), w której postawili tezę, że liberalna demokracja nie poradzi sobie z wyzwaniem, którym są zmiany klimatu, trzeba z niej więc zrezygnować na rzecz „łagodnego autorytaryzmu" w formie „rządów ekspertów". Wybrzmiewają tu typowe dla lewicy nuty tęsknoty za przekazaniem władzy grupce namaszczonych mędrców, którzy wezmą wszystkich za pysk w imię wyższych racji.

Wybrzmiewają typowe dla lewicy nuty tęsknoty za przekazaniem władzy grupce namaszczonych mędrców, którzy wezmą wszystkich za pysk w imię wyższych racji

Podobne poglądy wyrażał już niespełna dekadę temu prominentny ideolog i filozof ekologizmu, jeden z twórców panteistycznej doktryny Gai, James Lovelock. Mówił wtedy wprost w jednym z wywiadów: „Nie sądzę, żebyśmy byli dość rozwinięci, aby uporać się ze sprawą tak złożoną jak zmiana klimatu". Wyjaśniał: „Nawet najlepsze demokracje zgadzają się, że gdy zbliża się wojna, na jakiś czas trzeba zawiesić demokratyczne procedury. Mam poczucie, że zmiana klimatu może być sprawą równie poważną jak wojna. Konieczne może się okazać zawieszenie procedur demokracji na pewien okres".

Młody niemiecki naukowiec Frederic Hanusch wydał w 2017 r. książkę „Democracy and Climate Change", w której analizuje odpowiedzi różnych demokratycznych systemów na wyzwania związane ze zmianami klimatycznymi oraz relacjonuje dyskusję, w której centrum jest kwestia, czy demokracja jest w stanie poradzić sobie z tym problemem. To już nie jest marginalny problem – to pytanie całkiem otwarcie stawiane w kręgach klimatystycznych, w publicystycznych dyskusjach, w międzynarodowej prasie, analizowane na konferencjach naukowych. W Polsce, jak to często bywa, ta debata jest całkowicie nieobecna. Prawdopodobnie obudzimy się z ręką w nocniku, gdy uderzą w nas jej skutki.

A przecież jest też tutaj obecny inny element lewicowej narracji – antyrynkowy i antykapitalistyczny. Ten motyw całkiem otwarcie pojawia się w tyradach Grety Thunberg, fotografującej się w koszulce Antify, i jej wielbicieli.

WSPOMNIENIE STEKA

Założona w 1984 r. przez hollywoodzkiego aktora Chrisa DeRose'a organizacja Last Chance for Animals (Ostatnia Szansa dla Zwierząt) działa m.in. poprzez produkcję profesjonalnych, krótkich propagandowych filmów, regularnie nagradzanych na festiwalach „animalsów". W lutym tego roku nagrodę zdobył dwuminutowy film „Casa de Carne" („Dom mięsa"), w którym mężczyzna przychodzący do restauracji zamawia mięsne danie, po czym zostaje przez kelnera zaprowadzony do pomieszczenia, gdzie ma własnoręcznie zadźgać świnkę. Mężczyzna świnkę głaszcze i rezygnuje, ale gdy wraca do stolika, widzi, że jego koledzy jedzą mięso, a na ubraniach mają krew.

To demagogia na najwyższym poziomie, ale niestety – w wielu przypadkach skuteczna. Jeśli nie uświadomimy sobie na czas, że Sylwia Spurek może być folklorem w naszej polskiej skali, ale nie jest unikatem w skali światowej – za jakiś czas może się okazać, że po aromatycznym, soczystym steku wołowym pozostało nam tylko wspomnienie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

Już 29 października 2019 r.
Hotel Bellotto w Warszawie

Konferencja

„Polska hekatomba i walka z polonofobią”

Co tydzień w tygodniku „Do Rzeczy”:

- 16 września – „Zbrodnie sowieckie”
- 23 września – „Zbrodnie nazistów przeciwko Polakom”
- 30 września – „Wołyń i Galicja Wschodnia”
- 14 października – „Ochrona prawa polskiej pamięci”

Szukaj także na DoRzeczy.pl

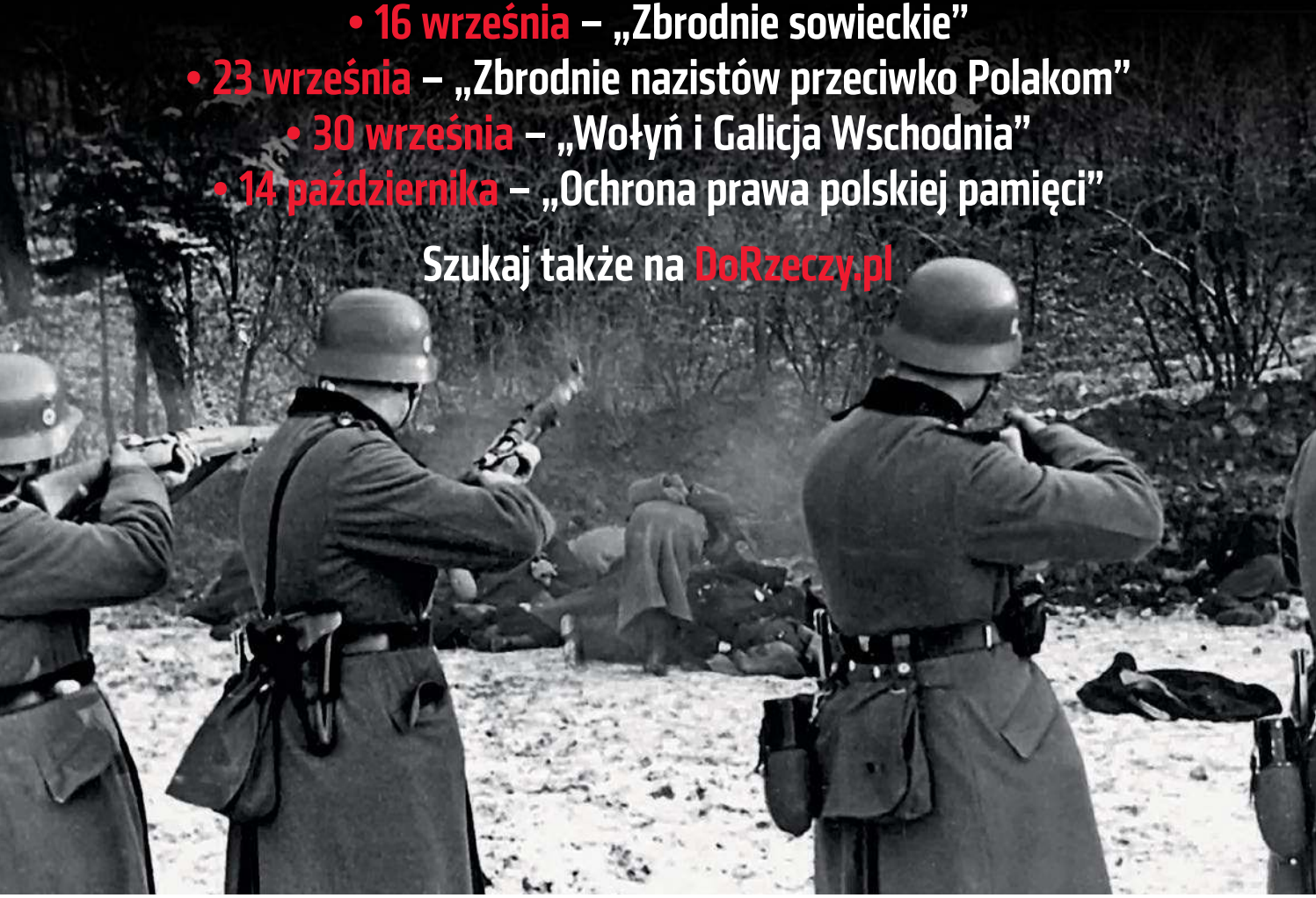

Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Organizatorzy:

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl 4bfed2fe01

Z prof. Wojciechem Roszkowskim
rozmawia Marcin Makowski

Polska ma dużo siły moralnej

MARCIN MAKOWSKI: O jaką stawkę toczy się dzisiaj polityczno-światopoglądowa walka o Polskę?

PROF. WOJCIECH ROSZKOWSKI: Ta wojna, czy też walka kulturowa, toczy się o kształt cywilizacji zachodniej. Szczególnie w Polsce, w kontekście obecnych wyborów, stanowi znaczący epizod globalnego zjawiska sekularyzacji i ucieczki od fundamentów, które stworzyły współczesną Europę. Byłoby dużym złudzeniem sądzić, że obecna opozycja ma choćby zamiar bronić cywilizacji zachodniej. Ba, część jej programu jest dla owej cywilizacji destrukcyjna.

Swoją najnowszą książkę, opowiadającą właśnie o upadku Zachodu, opatrzył pan tytułem „Roztrzaskane lustro". Co oznacza ta metafora?

Można ją rozumieć na kilka sposobów – jednym jest baśń Andersena, w której okruch zła wpadł w oko Kaja i zaburzył jego widzenie rzeczywistości. Przede wszystkim chodziło mi jednak o pokazanie, że elity zachodnie nie mają już instrumentarium, aby same siebie dobrze obejrzeć. Zamiast niego jest wiele prawd, perspektyw, punktów odniesienia. Wszystko stało się względne. Niestety, ten stan mało kogo niepokoi, o czym świadczy to, że w wielu krajach naszego kręgu cywilizacyjnego w wyborach wygrają przywódcy i partie doskonale nijakie, plastikowe i bezpostaciowe. Ich sztandarem stała się „niedyskryminacja", która zaczęła działać przeciw wolności.

To brzmi jak paradoks.

Owszem, dlatego tak trudno zauważyć opinii publicznej, z czym ma do czynienia. W wielu przypadkach Zachód jest jak żaba wrzucona do kotła z wodą, która nie zauważa, że ktoś stopniowo podnosi w nim temperaturę. Mówi się nam, że nie wolno dyskryminować niczego, nawet poglądów. Karta praw podstawowych, art. 21, zupełnie wprost zabrania tego typu zachowań, ale w rzeczywistości jej zapis oznacza brak możliwości krytykowania poglądów, które media, politycy, sądy czy wielki biznes uznają za słuszne. Przykład? Marsze Równości przechodzące przez Polskę w imię tolerancji same często profanują symbole religijne, a nawet mszę świętą. Istnieje wśród elit ciche przyzwolenie na dyskryminację uczuć katolików, bo za ważniejsze uznaje ona prawo mniejszości seksualnych do własnej ekspresji. Mniejszość narzuca zatem większości swoją wykładnię „niedyskryminacji" działającej jednostronnie, co oddala nas od wolności jako takiej.

Żeby było co potłuc, najpierw trzeba to lustro zbudować. W książce stawia pan popularną

Czy to zatem również spór o wartości, a nie tylko o pragmatyczne zachowanie albo przejęcie władzy?

Tak. Często przekrzykując się w kakofonii politycznych sloganów zapominamy, że walczymy o coś więcej. Oczywiście w niedoskonałej postaci, bo w polityce nie ma ideałów, ale to konkretni politycy kształtują prawo, które może kontynuować dziedzictwo, które dało naszemu światłu wielkość, albo je zanegować.

Czy jesteśmy ostatnim pokoleniem, które żyje w epoce zdominowanej przez cywilizację Zachodu?

Prawdopodobnie tak. Symptomy jej rozkładu nasilają się i nie widzę mechanizmu, który znacząco potrafiłby je odwrócić.

w historiografii tezę, że Zachód to synteza greckiej filozofii i demokracji, rzymskiego prawa i logiki oraz judeochrześcijańskiej etyki.

Owszem, tak wygląda kościec naszej kultury, ale trzeba pamiętać, że nie wszystkie jej elementy były konstruktywne. Filozofia grecka to również sofistyka czy hedonizm, Rzymianie z kolei bywali niezwykle okrutni. Niemniej gdy ówcześni intelektualiści spierali się, a niekiedy zabijali, o prawdę i jej definicję, samego jej istnienia nie kwestionowano. Dzisiaj natomiast pojęcia normatywne wyparowują z życia i ze słowników. Już Friedrich Nietzsche pisał, że człowiek żyje „poza dobrem i złem", tworząc przestrzeń dla współczesnego relatywizmu moralnego. Skoro

eprasa.pl 4bfed2fe01

nie ma dobra, nie możemy wartościować poglądów, to dlaczego w ogóle krytycznie oceniamy Holokaust czy Hitlera? I na jakiej zasadzie komunizm i Stalin nie są mierzeni tą samą miarą? A ludobójstwo belgijskiego króla Leopolda II może być jeszcze bardziej zapomniane? Filozofia postmodernistyczna wyeliminowała pojęcie prawdy, dobra i piękna, tymczasem wyprodukowała cały potok słów i tekstów, które niczego do wiedzy o świecie nie wnoszą.

W jaki sposób przez prawie dwa tysiąclecia cywilizacja Zachodu mogła być na podobne pokusy odporna? Co stanowiło o jej sile?

Wspomniałem już o prawdzie, zwłaszcza w ujęciu Arystotelesa, jako zgodności rzeczy z ich rozumowym oglądem, ale o tej sile świadczyło jeszcze chrześcijańskie rozumienie wolności. Już w Księdze Rodzaju czytamy, że człowiek jako stworzenie Boże został obdarowany wolną wolą, która jest warunkiem oceny moralnej jego zachowania.

Czy hasło „strefa wolna od LGBT" jest dla pana oznaką braku szacunku do drugiego człowieka?

Nie, to krytyka ideologii noszącej znamiona myślenia totalitarnego, ponieważ sama wobec siebie wyklucza prawo do jej kwestionowania.

Użył pan słowa „ideologia", tymczasem wielu lewicowo-liberalnych polityków oraz publicystów twierdzi, że nie ma „ideologii LGBT". Mówią: „Walczymy po prostu o prawa człowieka".

To ciekawe, bo „prawa człowieka" zakładają, że przyjmujemy jakąś jego naturę i tożsamość. Jeżeli dzisiaj zaczynamy żyć w epoce – jak niektórzy mówią – posthumanizmu, to do czego owi państwo się odnoszą? Ruch LGBT to kompletna ideologia, redefiniująca oczywiste zdroworozsądkowe prawdy. Zdecydowana większość przedstawicieli gatunku homo sapiens reprezentuje płeć męską albo żeńską. Jeżeli zatem uważa się np., że płeć biologiczna nie ma znaczenia, to jest to założenie kontrfaktyczne. W zależności od badań ok. 1–5 proc. populacji nie ma sprecyzowanej orientacji seksualnej lub posiada orientację homoseksualną. Czy to oznacza, że człowiek jako gatunek nie może być charakteryzowany przez płeć biologiczną? Margines ma wyznaczać normę i punkt odniesienia? Czym to jest, jeśli nie ideologią, która zaczęła korumpować cywilizację chrześcijańską od końca XVIII w.? W końcu to Jan Jakub

FOT. JERZY DUDEK

eprasa.pl 4bfed2fe01

Rousseau stwierdził, że władza sprawowana jest z woli człowieka, nawiązując do greckiej maksymy, że „człowiek jest miarą wszechrzeczy".

Pamiętam taki obrazek, on zresztą jest również w pana książce, gdy kilka lat temu działaczka Femenu weszła na ołtarz podczas mszy bożonarodzeniowej we Francji z wymalowanym na gołym ciele hasłem: „Jestem Bogiem".

Ba, nawet bez tego hasła symbolicznie zrobiła to samo. Weszła na miejsce, na którym dokonuje się cud eucharystyczny, czyli zastąpiła swoim ciałem ciało Chrystusa. Wieki XIX i XX przeszły całą drogę do tego właśnie miejsca. Marksizm, nihilizm, darwinizm, ewolucjonizm, freudyzm. W ten sposób człowiek krok po kroku ze stworzenia boskiego stawał się bytem materialnym, seksualnym, targanym instynktami.

Co jest złego w ewolucjonizmie? Przecież to najbardziej kompletna teoria powstawania i kształtowania się gatunków, którą posiadamy. Ma pan wątpliwości co do ustaleń Charlesa Darwina i jego następców?

Nie kwestionuję teorii ewolucji jako takiej. Wydaje mi się, że niektóre odcinki rozwoju bytów biologicznych faktycznie dają się zilustrować w ten sposób, ale ja patrzę na ewolucję szerzej – wpisując ją w historię wszechświata. W tym przypadku rodzą się przecież wątpliwości co do początku całego procesu. Gdyby założyć, że pierwszy związek organiczny powstał na skutek przypadkowego połączenia dwóch innych substancji, a życie i świadomość powstały w wyniku podobnych przypadków, to zabrakłoby ok. 14 mld lat owych „podziałów i przypadków", aby dojść do stanu obecnego. Ewolucja być może zaszłaby na jakichś odcinkach historii, ale następowały również skokowe zmiany.

Kościół jednak nie kwestionuje ewolucji w kształcie prezentowanym przez współczesną naukę. Mówił o tym nawet Jan Paweł II.

Kościół akceptuje ewolucję rozumianą cząstkowo, ale nie jako zasadę rozwoju świata.

A nie ma pan wrażenia, że cywilizacja chrześcijańska zaczęła podupadać po części dlatego, że wchodziła w konflikt z rozsądkiem w rozumieniu dedukcyjnych metod badawczych?

Tak, tu zgoda, ale to nie jest oczywista historia. Często błędnie przypisuje się Kościołowi „grzechy wobec nauki", których nie popełnił, choćby proces Galileusza. On twierdził, że udowodnił teorię Kopernika, ale nie potrafił przedstawić żadnych fizycznych dowodów, chętnie wyciągał z niej jednak wnioski teologiczne. Mówiąc szerzej o wierze i nauce, trzeba dodać, jak potężnym zakłamaniem dzisiejszego dyskursu publicznego jest założenie, że gdy ktoś mówi: „Nie wierzę w Boga", wie coś więcej niż ci, którzy w Boga wierzą. Tymczasem poprawne przeciwstawienie stwierdzenia „Wierzę w Boga" brzmi: „Wierzę w nieistnienie Boga". W obydwu przypadkach mówimy o wierze, a nie o wiedzy i empirii. Kościół musi pamiętać, że choć metoda naukowa jest cennym sposobem poznawania świata, bywa omylna i rozwija się w czasie. Mieliśmy teorię geocentryczną, obecnie mamy heliocentryczną. Była fizyka klasyczna, jej rozwinięciem jest fizyka kwantowa. Dlatego wiara opiera się na fundamentach uniwersalnych i niezmiennych, danych od Boga. Twierdzenie Gödla, stosowane w logice matematycznej, pokazuje nam, że wbrew pozorom nauka szuka podobnego oparcia. Czy w arytmetyce, czy w fizyce cały ciąg rozumowania zależy od przyjętych na początku aksjomatów.

Pamiętam plakat z sowieckim kosmonautą, który będąc na orbicie, mówi: „Boga nie zaobserwowałem".

Do takich sytuacji Jan Paweł II odnosił się w encyklice „Fides et ratio", ukazując ich wewnętrzną niespójność. Fundamentem cywilizacji Zachodu jest koegzystencja wiary i rozumu, a nie ich antagonizm. Metoda scholastyczna opierała się na tym właśnie założeniu.

Święty Anzelm z Canterbury mówił nawet o „wierze szukającej zrozumienia".

To brzmi rozsądnie, a jednak szczególnie dzisiaj widzimy pęknięcie między światami wiary a rozumu, które zaczęły się nieuchronnie od siebie oddalać. Dlaczego? Zabrzmi to jak psychologiczna sprzeczność, ale wynika z pychy i bezradności współczesnych. Pychy, bo sądzi się, że człowiek, korzystając z nieograniczonej wolności, tworzy własną rzeczywistość, a bezradności, ponieważ nie wiadomo, co z tą wolnością ma zrobić i w jakim celu coś stwarzać.

Pisze pan: „Dzisiaj nie tylko nie potrafimy obronić własnych wartości, ale nawet ich zdefiniować".

Tak, ale oczywiście nie chciałbym tego uogólniać. Mówię o mainstreamie, wielkich korporacjach, części świata mediów i polityki, które oddziałują na zwykłych ludzi. New Age, szkoła frankfurcka, postmodernizm – mamy dzisiaj wiele prądów intelektualnych, które metodycznie podważają prawo do twierdzenia, że istnieją obiektywna prawda i obiektywne dobro na świecie, fundując życie w intelektualnej schizofrenii.

Wymieniając w książce ideologie, które uważa pan za groźne, uwzględnił pan wśród nich feminizm. Dlaczego?

Dobrze, że pan zapytał. Feminizm to ruch wielopostaciowy, w jakimś sensie średniowieczny Kościół był „feministyczny", czyniąc z kobiet równe mężczyznom intelektualistki. Ba, sam Jezus – co było ówcześnie niezwykłe – otaczał się kobietami, które nauczał i traktował na równi z apostołami. Dlatego rozróżniam feminizm, który usamodzielnia kobiety i daje im słusznie możliwość równego rozwoju, od tego, który tak się zradykalizował, że mężczyzn i macierzyństwo zaczął traktować jak wrogów. „Moje ciało to moja własność – wara społeczeństwu od tego". To kolejny element rozkładu cywilizacji Zachodu, czyli totalnej atomizacji natury człowieka, pozbawionego również natury społecznej. Podstawowej świadomości, że nie rodzimy się sami, tylko ze względu na czyjeś działania. Ktoś nas wychowuje, karmi i kształci, a potem daje zatrudnienie albo zasiłek. Człowiek nie jest samotną wyspą, ale istotą społeczną. Dlatego jeśli kobieta mówi: „Dokonam aborcji, bo to moje ciało", to w sensie prawnym do pewnego stopnia ma rację – dziecko rozwija się w obrębie ciała kobiety. Odwołując się jednak do biologii, można dodać: no dobrze, ale kod genetyczny płodu, jego rogówka czy odciski palców są inne od jego rodziców. To odrębna istota, a nie część ciała. Radykalny feminizm woli tego nie dostrzegać.

Twierdzi pan, że upadek Europy objawia się również w narastającym tempie jej dechrystianizacji. Kościoły się burzy, zamienia w restauracje albo po prostu pustoszeją. Z czego to wynika?

Laicyzacja i dechrystianizacja postępują dzisiaj tak szybko po części przez dynamiczny rozwój środków masowego przekazu, a zwłaszcza Internetu i mediów społecznościowych. Coraz łatwiej głosić i promować własne ideologie, a co zrozumiałe, najłatwiej przyswajalne są

eprasa.pl 4bfed2fe01

te, które podaje się w najprostszej formie. Dlatego zamiast stawiającej wymagania religii przyswaja się usypiającą sumienie prostą eschatologię, mówiącą, że można żyć, jak się podoba. Robić, co się podoba, i kochać, kogo się podoba. Wiara i dekalog wypierane są przez ideowy fast food, który szepcze do nas hasłami z reklam: „Zasługujesz na więcej", „Pozwól sobie na spełnianie marzeń", „Niczego nie musisz, wszystko możesz".

Mówiąc uczciwie, doszliśmy do tego momentu również przez błędy, które cywilizacja Zachodu i Kościół w swojej historii popełniały. Które były najbardziej brzemienne w skutki?

Sądzę, że jednym z największych błędów był sojusz ołtarza z tronem w epoce modernizmu. Mowa tutaj o zjawiskach takich jak józefinizm i gallikanizm oraz związaniu Kościoła z państwem narodowym jako ostoją ładu konserwatywnego – nie reagując w porę na tzw. kwestię robotniczą. Kościół był spóźniony wobec zjawiska masowego wykorzystywania siły roboczej dzięki przewadze ekonomicznej wielkiego kapitału. Wiek XIX był niestety czarnym wiekiem chrześcijaństwa. Oczywiście można pamiętać o wielkich świętych i misjonarzach, ale Kościół w wymiarze instytucjonalnym przespał tę epokę i to się dzisiaj mści.

A gdzie dzisiaj widzi pan jego słabości? Krytycy mówią, że za bardzo fiksuje się na punkcie seksualności, a przegapia problemy cywilizacyjne współczesności, np. ekologię.

Poniekąd tak, ale przecież papież Franciszek napisał całą encyklikę na temat ekologii, zwraca również uwagę na pożar Amazonii. Można oczywiście powiedzieć, że papież sobie, a hierarchia sobie, natomiast fiksacja na punkcie seksualności nie jest dziełem Kościoła, tylko freudyzmu oraz jego odnóg i rewolucji seksualnej lat 60. Dzisiaj szczególnie ta strefa życia wymknęła się spod wszelkich norm moralnych, społecznych i biologicznych.

Arcybiskup Marek Jędraszewski stwierdził, że współczesny wróg chrześcijaństwa od strony seksualności to „tęczowa zaraza". Słusznie? Wiele osób stwierdziło, że właśnie przez takie słowa odchodzą od wiary.

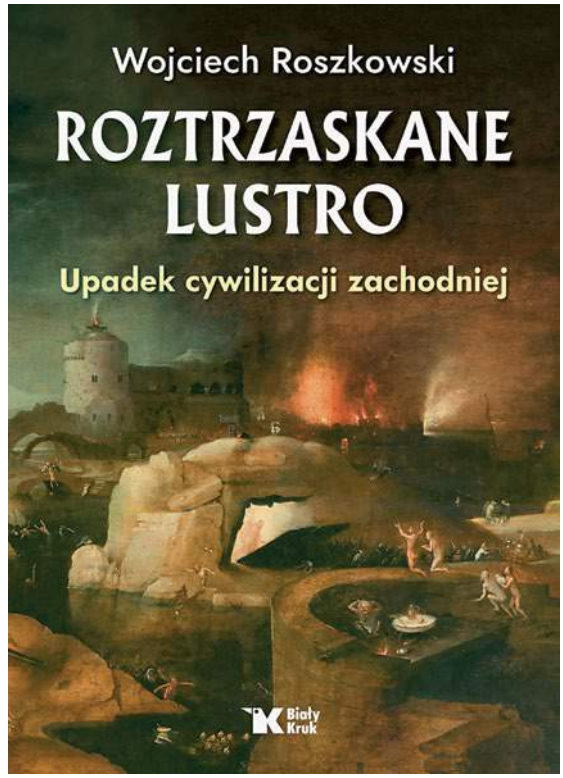

Myślę, że opinia katolicka w Polsce jest czasami jak żaba w kotle, która nie zauważa, że temperatura wody jest już bliska wrzeniu. Dla mnie określenie „zaraza" jest alarmistyczne, ale nie obraża, bo nie dotyczy człowieka, ale zjawiska. Musimy sobie zdawać sprawę, że niektóre z nich są katastrofalne i jeżeli nie będziemy na nie reagować, to się „ugotujemy".

Tylko jak reagować, aby nie odstraszać od Kościoła zbytnim radykalizmem, ale i nie rozmywając prawd wiary? To jest chyba dzisiaj największe wyzwanie: Jak bronić resztek cywilizacji Zachodu mądrze?

To również kluczowe pytanie dla chrześcijaństwa i obawiam się, że nie ma na nie prostej odpowiedzi. Z jednej strony trzeba odważnie bronić doktryny, ale jednocześnie nie będąc antypatycznymi wobec świata. To kwadratura koła, z którą współczesny Kościół sobie nie poradził, bo goniąc współczesność, sam się podczas tej pogoni rozpadł. Wystarczy spojrzeć na pewne nurty, które się do tego przyczyniły, choćby „katolicyzm otwarty". Po drugiej stronie tego spektrum są jednak katolicki rytualizm i rygoryzm. Oba prowadzą donikąd. Dlatego tak ważna jest dzisiaj cnota roztropności i inteligentne rozkładanie akcentów. Jeśli ktoś mówi, że Kościół zaangażował się za bardzo w politykę, bo wskazuje, że nie powinno się głosować na osoby, które nie bronią życia, nie wolno dać się takiemu szantażowi zastraszyć. To są nasze wartości brzegowe i konsekwencje wynikające z prawd wiary, które muszą mieć wpływ na życie społeczne. Inaczej bylibyśmy chrześcijanami bezobjawowymi, czyli tym, do czego chce nas i cywilizację Zachodu zredukować świat.

Swoją książkę „Roztrzaskane lustro" kończy pan nie filozofią, nie historią, ale demografią. Wynika z niej pesymistyczny, wręcz deterministyczny obraz kontynentu i cywilizacji skazanej na powolne starzenie się, wymieranie oraz zastąpienie chrześcijan w Europie wyznawcami islamu.

Niestety, jeśli nic radykalnie nie odwróci trendów prokreacyjnych Europejczyków, to taka przyszłość nas czeka. Nie chciałbym, aby ta rozmowa zakończyła się konkluzją, że jesteśmy skazani na porażkę. Przyszłość nigdy nie jest zapisana bez dróg alternatywnych w teraźniejszości, natomiast wszystko, co mówię i co napisałem, służy jednej rzeczy. Jeśli teraz nie zdamy sobie sprawy z tego, jak poważna jest sytuacja i z jakimi wyzwaniami się mierzymy, to nie obronimy świata, w którym żyliśmy i który ukształtował się przez całe stulecia harmonijnego rozwoju. Zachód nie może odejść do historii bez walki.

Czy Polska ma jakąś rolę do odegrania w tym procesie?

Czasami w publicystyce pojawia się takie optymistyczne założenie, że znowu będziemy przedmurzem chrześcijaństwa i Chrystusem narodów. Wątpię, abyśmy mieli jako naród taką moc sprawczą, ale na pewno jesteśmy „opóźnieni" w drodze do zagłady. Nie oszukujmy się, że Polska nie podlega trendom laicyzacji czy presji zewnętrznej. Przecież to w dużej mierze organizacje międzynarodowe finansują przeróżne marsze i Parady Równości. Na szczęście Polska ma nadal na tyle dużo siły moralnej, aby chociaż we własnych granicach odwrócić postępy erozji cywilizacji chrześcijańskiej. Jedno, co jest dla mnie pewne, to to, że nie możemy przestać się starać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

Reduta Michnika

Rafał A. Ziemkiewicz

Jak środowisko „Gazety Wyborczej" agitowało wyborców na rzecz głosowania przeciw PiS

Ostatnie dni przed wyborami środowisko „Gazety Wyborczej" przeżyło w stanie amoku i histerii. Warto zachować dokumentację tego szaleństwa – wypełnione apokaliptycznymi przepowiedniami numery gazety, „przedwyborczą" jednodniówkę rozdaną w milionie egzemplarzy i kolejne czarne księgi rządów PiS, których rzuceniem na szalę próbowała spółka Agora odwrócić nieuchronną klęskę swoich politycznych faworytów.

Historia zna wiele wypadków skutecznego wprawienia społeczeństwa w stan histerii za pomocą propagandy. Grając na emocjach, wzbudzając poczucie zagrożenia albo rozbudzając nadzieje, niejednokrotnie skutecznie popychano społeczności do pożądanych zachowań. Zdarzało się także przeciwnie, że wpychano je w apatię i obezwładniano. Można także wskazać wiele przykładów propagandowych kampanii, które zamierzonego skutku nie przyniosły, spłynęły po społeczeństwie, nie burząc jego spokoju.

Żeby jednak propaganda zignorowana przez masy wprawiła za to w histerię samych propagandystów? To sytuacja bezprecedensowa.

Tymczasem z kolejnych agitacyjnych materiałów „Gazety Wyborczej" widać, że świat, w którym żyją jej redaktorzy, odkleił się zupełnie od rzeczywistości. Polska, o której „Wyborcza" w swej darmowej jednodniówce odkrywa „Prawdę, którą kryją", to kraj sterroryzowany, gdzie „każdy może być w każdej chwili aresztowany i skazany" jednoosobową decyzją Zbigniewa Ziobry. Świat „prawicowego, nacjonalistycznego i autorytarnego reżimu", w którym „prawa mniejszości nie są już chronione", o czym orzeka w milionie rozdawanych przed wyborami egzemplarzy modelka Anja Rubik. Świat, w którym ludzie żyją w nędzy, bo szaleje drożyzna, nie mają gdzie mieszkać, bo rząd nie spełnił obietnicy wybudowania 100 tys. tanich mieszkań, i masowo umierają na izbach przyjęć zdemolowanej przez władzę służby zdrowia –

FOT. ANDRZEJ HULIMKA

a jednocześnie reżim pławi się w aferach i obdarowuje wyciśniętymi z poddanych milionami księdza z Torunia, którego publikacja kreuje jednocześnie na cynicznego chciwca i szalonego fanatyka.

O wszystkim tym „Gazeta" informuje, łamiąc informacyjny monopol państwowej telewizji. Jej szef, Jacek Kurski, uchwycony przez fotografa z miną Mussoliniego w ataku bólu zęba, zdobi pierwszą stronę w otoczeniu niebieskich pasków z „Wiadomości", na ostatniej uzupełniają przekaz konterfekty Michała Rachonia, Adriana Klarenbacha i Danuty Holeckiej, zaprezentowanych jako „naczelni propagandyści TVP". Ponieważ powszechnie wiadomo, że szef TVP jest rodzonym bratem faktycznego szefa „Gazety Wyborczej" (z powodów personalnych ambicji poprzednika formalnie od lat utrzymywanego w randze „pełniącego obowiązki"), trudno nie podejrzewać w tej okładce szczególnego, osobistego szaleństwa – nie Kaczyński, nie żaden z prominentnych ministrów i działaczy, tylko właśnie brat obsadzony zostaje w roli złego demiurga? No, ale mieści się to w szczególnej logice przedwyborczej publikacji, przeznaczonej, zgodnie z zapowiedziami, do rozdania w małych miejscowościach, tam, gdzie ludzie czerpią wiedzę o świecie z TVP i gdzie gazeta warszawskich salonów zwykle nie dociera. Oto dziennikarze (zgodnie z zapowiedzią, to oni mieli osobiście jechać tam ją rozdawać) z Warszawy, niczym dawni narodnicy, zstępują między lud, ogłupiony przez propagandę TVP, aby go oświecić.

Można to wzmożenie „Wyborczej" analizować ze smakiem, poziom po poziomie. Już założenie, że wyższe poparcie dla PiS niż dla „opozycji demokratycznej" na prowincji jest skutkiem „ogłupienia przez TVP", oparte jest na stereotypowym i raczej pogardliwym wyobrażeniu jej jako miejsca odciętego od takich wynalazków jak dekodery satelitarne, kablówki i Internet. Nawet gdyby jednak, to jednodniówka miałaby jakiś pozór sensu, gdyby rzeczywiście, zgodnie z butnymi zapowiedziami, informowała odciętych od informacji ludzi o jakichś ukrytych mechanizmach władzy, kulisach „reżimu" czy jego sekretach. Jaki jednak sens ma „odkłamywanie" takich dziedzin jak „drożyzna rządów PiS", „katastrofa służby zdrowia" czy obecność polityków PiS na rocznicy Radia Maryja, o czym sama znienawidzona TVP informowała dość wyczerpująco? Czy naprawdę redaktorzy z Czerskiej sądzą, że ludzie na prowincji nie wiedzą, jakie są u nich ceny na targowiskach i w sklepach, i muszą ich w tym edukować inkrustujący jednodniówkę antypisowskimi złotymi myślami celebryci, którzy jeśli w ogóle robią osobiście zakupy, to częściej w wolnocłowym niż w osiedlowym warzywniaku?

Niewykluczone, że na tak zadane pytanie otrzymalibyśmy mimo wszystko na Czerskiej odpowiedź twierdzącą. Przedwyborcze akcje gazety – zarówno wspomniana jednodniówka, jak i kolejne czarne księgi rządów PiS, a nie inaczej zapewne będzie z zapowiadanym na wyborczy weekend specjalnym dodatkiem demaskującym „władzę" – są popisem marketingowej nieudolności i zarzucenia jakiejkolwiek logiki. Mniejsza już o to, że wbrew zapowiedzi „fakty zamiast propagandy" jest dokładnie odwrotnie: przedwyborcze publikacje są po prostu „agregowaniem" wstępniaków felietonów i wywiadów, którymi „walczy" gazeta z „państwem PiS" od czterech lat, praktycznie w 100 proc. wypełnia je publicystyka z redakcyjnego recyklingu, z rzadka ilustrowana jakimiś ramkami czy infografikami. Samo w sobie jest to zdumiewające – ponosząc techniczne koszty tych publikacji, jakby zupełnie „odpuściła" „Wyborcza" ich stronę redakcyjną, pożałowała na rzetelny research, dotarcie do konkretnych danych, które, być może, mogłyby do kogoś przemówić.

Co jednak ważniejsze, wznawia „Wyborcza" w ten sposób propagandę, o której nieskuteczności przekonuje się od lat. Przekonuje się, ale nie wierzy. Najwyraźniej jedyną przyczyną, że ataki te nie przyniosły PiS żadnej szkody, którą potrafi środowisko przyjąć do wiadomości, jest ta, że oskarżenia nie zostały wykrzyczane wystarczająco głośno i w wystarczająco mocnych słowach.

Gdyby Jarosław Kurski i jego ludzie zechcieli porozmawiać z kimś znającym się na tych sprawach, usłyszeliby, że jest odwrotnie. Ich problem polega nie na tym, że mówili za cicho, używali za słabych określeń, tylko wręcz przeciwnie – że, mówiąc potocznie, już dawno „przefajnowali" i stale zaostrzając retorykę, tracą powagę coraz bardziej.

Niedotrzymanie wyborczej obietnicy wybudowania do 2019 r. 100 tys. mieszkań może być zarzutem wobec PiS, ale na pewno nie wtedy, jeśli nazywa się to „aferą". Podobnie nie uzna żaden Polak za „aferę" dotacji przyznanej fundacji o. Rydzyka na projekt toruńskiej geotermii, nawet ten, kto nie wie, że fundacja przeszła wymaganą prawem procedurę, spełniła wymagania, a sąd – wtedy jeszcze bynajmniej nie „PiS-owski" – uznał, że pozbawienie jej tej dotacji przez rząd PO-PSL było decyzją polityczną i bezprawną.

Nawet tam, gdzie PiS ewidentnie został przyłapany na czymś nagannym,

FOT. TRAX

eprasa.pl 4bfed2fe01

histeryczny ton, w który z punktu uderzała „Wyborcza", neutralizował skutecznie potencjalne szkody. Przykładem sprawa „Małej EmiE", która w tekstach atakujących sędziów działających dla opozycji korzystała z inspiracji i informacji poufnych od pracowników Ministerstwa Sprawiedliwości. Umiejętnie rozegrana mogła ośmieszyć PiS i jego „nowe kadry", ale nadymana do rangi „masowego prześladowania niezależnych sędziów" przez „mafijny układ działający pod skrzydłami Ziobry" ośmieszyła raczej „demaskatorów". Mimo to w przedwyborczych publikacjach „Wyborcza" nie dokonuje żadnej korekty przekazu, przeciwnie, ze śmiertelną powagą usiłuje wmówić, że niezrównoważona hejterka i kilku jej znajomych to sprawa na miarę afery Watergate, podobnie jak podtrzymuje, że postawienie przez prokuraturę zarzutów ulicznym awanturnikom z paragrafu o zakłócanie legalnego zgromadzenia (nawiasem, odrzucanych przez sympatyzujące z opozycją sądy pod pretekstem „znikomej szkodliwości społecznej") to „masowe represje" i „terrorystyczne zastraszanie działaczy opozycji".

Skrajnym przykładem, jak głęboko w swej agresji zabrnęła redakcja z Czerskiej w krainę absurdu, jest tom cyklicznej czarnej księgi poświęcony spustoszeniom dokonanym przez PiS w ekologii. „Wyciąć, wystrzelać, zabetonować!" – krzyczy podtytuł, a oskarżycielska publicystyka z ostatnich lat, zgromadzona w środku, kreśli wizję podobną do bajki wszech czasów Johna Tolkiena: niszczenia krainy hobbitów przez mściwego Sharkeya – Sarumana, bez żadnego sensu ani pożytku, tylko po to, by ją zniszczyć. Reżim PiS morduje tu dziki i inną zwierzynę, wycina drzewa, tak samo jak zły czarodziej z baśni z czystej nienawiści do Polski i jej mieszkańców.

Być może na głębokiej prowincji, na którą kierują się z agitacją w ostatnich dniach przed wyborami, znajdą pracownicy „Wyborczej" odbiorcę na tyle niezorientowanego, że nie dotarło do niego, iż propaganda o rzekomym wycinaniu drzew była całkowitym „montażem", opartym na starych zdjęciach i informacjach o wycinkach „deweloperskich", niemających nic wspólnego z przyjętym przez PiS rozporządzeniem upraszczającym procedury wycięcia drzewa na prywatnej posesji. Ani że sanitarny odstrzał dzików wynikał z unijnych procedur powstrzymywania tzw. afrykańskiego pomoru świń i spotkał się z uznaniem stosownej agendy Komisji Europejskiej, co zresztą swego czasu jak nożem uciął zakończyło „proekologiczne" manifestacje. Obawiam się jednak, że nawet taki czytelnik skwituje doprowadzoną do absurdu egzaltację autorów czarnej księgi śmiechem.

Trudno doprawdy sądzić, aby całe to histeryczne zaangażowanie mogło wpłynąć na zmianę przez kogokolwiek wyborczych preferencji. Zresztą z niektórych zachowań liderów środowiska widać, że w gruncie rzeczy nie o to im chodzi. Wszystko zdaje się wyjaśniać tytuł kolejnej czarnej księgi, z przedwyborczej środy: „Zanim PiS wygra wybory – żebyście wiedzieli".

A więc: kierownictwo gazety lewicowo-liberalnego salonu samo nie wierzy, że zdoła cokolwiek osiągnąć, chodzi tylko o to, żeby „im" powiedzieć, wygarnąć w oczy – „dać świadectwo sprzeciwu". Cóż, powinni się teraz doprawdy zawstydzić ci, którzy redakcji Adama Michnika i jemu samemu odmawiali polskości.

Gdyby spółka Agora była normalną firmą, powinna kierownictwo redakcji swego flagowego tytułu nie tylko zwolnić dyscyplinarnie, lecz także podać do prokuratury z paragrafów o niegospodarności i świadomym działaniu na szkodę spółki. Gazeta, którą – jak nieopatrznie przyznał sam Michnik – odcięcie przez nowy rząd od państwowych pieniędzy „straszliwie uderzyło po kieszeni", w ostatnich latach chudnie w oczach, zamyka dodatki i oddziały regionalne, stale zwalnia, grupowo i indywidualnie, kolejnych pracowników, wyprzedaje drukarnie i nieruchomości. A jednocześnie trwoni ostatnie pieniądze na wydrukowanie miliona egzemplarzy propagandowej ulotki wyborczej, na koszt jej rozwiezienia i rozdystrybuowania w odległych zakątkach kraju, na w żaden sposób niezwiększające sprzedaży ani wpływów dodatki. Co więcej, i jedno, i drugie jest tak źle zrobione, że przeciwskuteczne.

Gdyby spółka Agora była normalną firmą, powinna kierownictwo redakcji swego flagowego tytułu nie tylko zwolnić dyscyplinarnie, lecz także podać do prokuratury z paragrafów o niegospodarności i świadomym działaniu na szkodę spółki

Dzięki poczynionym w lepszych czasach inwestycjom Agora ma wprawdzie dochodową sieć kin i firmę reklamy zewnętrznej, inaczej jej gazeta dawno już by przestała wychodzić. Jednak nie jest to przecież studnia bez dna.

Tego postępowania nie da się wyjaśnić inaczej niż psychologią. Dzięki mediom społecznościowym możemy wniknąć w stan ducha szalejących „autorytetów" opozycji, na przemian apelujących do narodu i całego świata o „powtrzymanie nadchodzącej katastrofy", wmawiających samym sobie, że wciąż jeszcze jest nadzieja, i zaraz potem depresyjnie zapewniających, że wybory „i tak będą sfałszowane", nawet jeśli nie w sensie dosłownym, to w sensie „sfałszowania preferencji społecznych" poprzez „propagandę PiS-owskich mediów i księży" (choć przez cztery lata stałym motywem opozycji było triumfalne obwieszczanie, że „PiS-owskich mediów i księży" nikt nie słucha, a „rząd dusz" nad społeczeństwem sprawują TVN, RASP i „Polityka".) Trudno się spodziewać, że w samym sercu liberalnego salonu nastroje były inne.

„Gazeta Wyborcza" ma chyba jednak szczególny kompleks. Kompleks wywołany świadomością, że to ona w dużym stopniu przyczyniła się do samodzielnych rządów PiS. Kiedy w ostatniej przedwyborczej debacie w roku 2015 nadspodziewanie dobrze wypadł Adrian Zandberg, redaktorzy z Czerskiej zapomnieli o politycznych kalkulacjach i żywiołowo rzucili się ze wsparciem dla Partii Razem. W efekcie młoda lewica uzyskała dostęp do budżetowej dotacji – ale kosztem koalicji SLD i Palikota, która o włos nie przekroczyła progu wyborczego. To właśnie zmieniło sejmową arytmetykę i sprawiło, że 37,5 proc. głosów PiS przełożyło się na ponad połowę mandatów.

Jeśli jednak obecne wizerunkowe, a być może i finansowe samobójstwo gazety uważanej ongi za poważną i profesjonalną ma być swoistą ekspiacją za tamten grzech, to najgorzej wymyśloną z możliwych. Tak już czasem bywa, że kiedy chcemy komuś zaszkodzić, działając w skrajnym zaślepieniu i histerii, niechcący mu pomagamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

TO CO UJRZAŁA ZMIENIŁO WSZYSTKO

NIEPLANOWANE
UNPLANNED

W KINACH OD 1 LISTOPADA

Film na podstawie bestsellerowej książki

SOLI DEO GLORIA RELEASING ASHLEY BRATCHER "UNPLANNED" BROOKS RYAN ROBIA SCOTT MUSIC BY STEPHEN BLAKE KANICKA
EXECUTIVE PRODUCERS ANNA REDMON EDITED BY PARKER ADAMS PRODUCTION DESIGNER CHRIS ROSE DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY DREW MAW PRODUCERS CHRIS JONES JOE KNOPP PRODUCED BY DARYL LEFEVER
CARY SOLOMON CHUCK KONZELMAN EXECUTIVE PRODUCER MICHAEL LINDELL WRITTEN AND DIRECTED BY CARY SOLOMON & CHUCK KONZELMAN BASED ON THE BOOK UNPLANNED BY ABBY JOHNSON

©2018 SOLI DEO GLORIA RELEASING, LLC.
ALL RIGHTS RESERVED

WWW.NIEPLANOWANEWPOLSCE.PL

RAFAEL FILM

MIKAEL

www.Rafaelfilm.pl/nieplanowane

/FilmyKtoreZmieniajaZycie

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

Wałęsa jak kula u nogi

Piotr Semka

Burza, którą swymi obraźliwymi wypowiedziami na konwencji PO wywołał Lech Wałęsa, to coś nowego

Niegdysiejszy lider Solidarności od lat obraża bohaterów walki z komunizmem. Jednak tym razem tolerancja na wyskoki Wałęsy skończyła się wraz z kłopotami kampanijnymi Platformy. Satysfakcję z wpadki Wałęsy zademonstrowała dodatkowo lewica.

„Robią z niego bohatera, a on w środku, stan wojenny, atakują nas, a on kozak zakłada Solidarność Walczącą. Co to było? Zdrada! Zdrajca. Taka jest prawda, ale wybaczmy mu. Nie mówiłem o tym, bo wiedział, że niedużo potrafi. Olaliśmy to" – te słowa Wałęsy na wiecu Platformy na temat Kornela Morawieckiego nazajutrz po jego pogrzebie nie wyszły Wałęsie na zdrowie.

Nie tylko wysadziły medialnie w powietrze ostatnią przed wyborami konwencję PO. Po raz pierwszy w samej Platformie zaczęto gniewnie pytać, kto wpadł na pomysł ściągnięcia skandalisty z Gdańska. Lista polityków PO, którzy musieli dystansować się od nienawistnej tyrady, jest imponująca. Swoje zakłopotanie wyrażali Grzegorz Schetyna i Małgorzata Kidawa-Błońska. Bogusław Sonik wprost ogłosił, że wystąpienie Wałęsy źle wpłynie na notowania Koalicji Obywatelskiej. Nawet Jarosław Wałęsa zdystansował się od tyrady ojca: „To nie był moment na takie słowa" – ocenił w rozmowie z Wirtualną Polską.

Jednak w tle wszystkich tych opinii tkwiła pośrednia krytyka Grzegorza Schetyny; zarzut, że na czas nie zorientował się, że Wałęsa od dawna kojarzy się z obciachem. Tyle że kuluary sztabu PO huczące od krytyki Schetyny pomijały jeden problem: dlaczego wyskoków „Lecha" nie dopuszczano do wiadomości tak długo.

Sam Wałęsa zareagował na te rozliczenia w PO w swoim stylu – neurotycznie i mściwie. Na Facebooku zamieścił deklarację, że aby ukarać Platformę, zmienia faworyta w wyborach. „Wobec ostatnich, prezentowanych wyników różnych sondaży, proszę publicznie PO o zwolnienie mnie z danego publicznie słowa, że będę głosował na PO. Chcę wesprzeć Kosiniaka-Kamysza". Tyle że lider PSL odrzucił fawory Wałęsy od razu i poradził mu, by lepiej przeprosił rodzinę Morawieckiego. Kolejna gorzka pigułka dla ambicjonata z ulicy Polanki.

Wreszcie rzecznik Wałęsy ogłosił o wycofaniu oświadczenia o poparciu PSL. Zapewne syn Jarosław przypomniał ojcu, ile ryzykuje, idąc na wojnę z PO.

Irytację przebiegiem całej afery Wałęsa odreagował w końcu w środę rano, w wywiadzie dla Radia ZET. Znów zaatakował Kornela Morawieckiego: „Nie przeproszę. Był zdrajcą i zdrajcą pozostanie". Przy okazji oskarżył Platformę o nieudolność w walce z PiS.

Na pytanie, kogo poprze – wspomniał jedynie własnego syna startującego z list

eprasa.pl 4bfed2fe01

PO. Którego chwilę potem oskarżył, że dystansując się od słów ojca o Morawieckim, „uległ propagandzie mediów". Nie zapomniał też wypomnieć Schetynie działalności w Solidarności Walczącej.

STARE PORACHUNKI

Burza wokół występu Wałęsy na konwencji PO zbiegła się z udanym comebackiem Aleksandra Kwaśniewskiego w kampanii zjednoczonej lewicy. Na konwencji w Katowicach był fetowany jako symbol pojednania „trzech pokoleń lewicy". Były prezydent został przywitany na scenie konwencji lewicy przy wtórze jego hitu disco polo „Ole, Olek!" z kampanii prezydenckiej w 1995 r. Wówczas Kwaśniewski wygrał z Wałęsą w II turze.

Tym chętniej zwolennicy Lewicy porównywali występy obu bohaterów sprzed lat na dwóch niemal równoległych konwencjach. Damian Syjczak, wiceszef młodzieżówki SLD, pisał: „Różnica między wczorajszym wystąpieniem prezydenta Kwaśniewskiego na konwencji Lewicy a dzisiejszym Wałęsy jest kolosalna. Kwaśniewski mówił o przyszłości, o nowoczesnym państwie dobrobytu, w którym chcemy żyć. Wałęsa oskarża PO, że nie rozliczyła PiS".

Robert Maślak, kandydat Lewicy z Wrocławia, wskazywał: „Akolici Platformy nawet z haniebnych słów Wałęsy o śp. Kornelu Morawieckim, którego nazwał zdrajcą, próbują robić zaletę. Jak dobrze, że na konwencję Lewicy był zaproszony A. Kwaśniewski. Nie trzeba było się wstydzić".

Były prezydent z obozu SLD wyraźnie zachwycony jest aurą politycznej drugiej młodości. W obecnej kampanii Lewicy czuje się jak ryba w wodzie. Towarzyszy kandydatom na spotkaniach i wspiera ich w terenie. Symboliczny był widok Kwaśniewskiego u boku Macieja Gduli, syna Andrzeja Gduli – byłego kierownika wydziałów KC PZPR i doradcy lewicowego prezydenta w latach 1995–2005.

Jeśli głosy triumfu na lewicy i kpiny z Wałęsy dotarły do adresata – to wywołać mogły u gdańskiego noblisty podwójną wściekłość. Po pierwsze przypomniały o porażce z Kwaśniewskim z 1995 r. Po drugie musiały uzmysłowić Wałęsie, że jego długoletnie „wzmacnianie lewej nogi" i jego hołdy dla Jaruzelskiego niewiele zmieniły w niechęci Lewicy wobec „małpy z wąsami", jak nazwał niegdyś Wałęsę Jerzy Urban.

Gdy tylko Lewica stanęła ponownie na nogi – odkurzyła własnego bohatera w postaci Kwaśniewskiego. A Wałęsę z chęcią oddaje Platformie jako kłopot i symbol obciachu.

Sam Kwaśniewski nie powstrzymał się od kpin z rywala z 1995 r. Zapytany o polityczne zygzaki najsłynniejszego elektryka okrutnie zakpił: „Mam nadzieję, że do końca przedwyborczego tygodnia Lech Wałęsa poprze Lewicę".

PAŁKA NA BRACI K.

Mało kto pamięta, że w III RP był już okres, gdy Wałęsa był niepotrzebny żadnej sile politycznej. Tak było w latach 1995–2005. Postkomuniści nie tylko trzymali się z daleka od przegranego byłego prezydenta, lecz także na dodatek skwapliwie ujawnili fakt zaboru przez Wałęsę akt „Bolka" i ich oddania z licznymi brakami.

Unia Wolności, a potem Platforma także trzymały się wtedy na dystans od Lecha, gdyż wszyscy mieli dość jego despotyzmu. Powrót do pompowania na nowo Wałęsowskiego ego nastąpił wraz z wojną na linii Donald Tusk – bracia Kaczyńscy. Wałęsa mający własne porachunki z bliźniakami był dla Platformy wygodnym sojusznikiem w walce z PiS. Ten sojusz miał dla PO swoją cenę – zmusił Tuska, a potem Schetynę do promowania Jarosława Wałęsy i zamykania oczu na egotyczne wyskoki jego ojca noblisty. Akceptowano zamianę byłego lidera Solidarności w politycznego trolla. Po wygranej 2015 r. toksyczny i ziejący nienawiścią Wałęsa był opozycji jeszcze bardziej potrzebny. I tym chętniej oklaskiwano go nawet wtedy, gdy mówił absurdy i rzeczy haniebne. A sam Wałęsa zaczął zachowywać się coraz dziwaczniej. Zwyczaj noszenia koszulek „Konstytucja" (a raczej OTUA, bo tyle wystawało spod marynarki) przekroczył wszelkie granice, gdy Wałęsa wybrał się tak ubrany na pogrzeb George'a Busha seniora. Jeszcze dziwaczniej były prezydent wygląda w pomarańczowych okularach, choć tłumaczy to zaleceniem lekarzy.

Na wystąpienie Wałęsy internauci odpowiedzieli memami. Jeden z nich pokazuje dawnego lidera Solidarności z Małgorzatą Kidawą-Błońską na „Titanicu"

Problem psychologiczny, który dręczy solidarnościowego prezydenta, najtrafniej zdefiniował były działacz opozycji Krzysztof Nowak. „Im bardziej Lech Wałęsa zbliża się do kresu życia, tym bardziej wpada w panikę, że jego wizerunek jest tak niedobry. I tym głośniej chce wykrzykiwać swoje prawdy, oburzając się co pewien czas, że jest niesłuchany. Nic dziwnego, że gdy trafiła mu się okazja występu na kluczowej konwencji PO, wykrzyczał swoje irytacje. Samemu mając na sumieniu zdradę swych kolegów po Grudniu '70 – na zasadzie odreagowania – o zdradę oskarża innych".

Lech Wałęsa z uporem wypiera ze swojej pamięci współpracę z SB. Głosi, że jego teczka znaleziona w willi gen. Czesława Kiszczaka jest prowokacją PiS. I dalej brnie w obrażanie innych.

MALEJĄCA UŻYTECZNOŚĆ

Lewica już zademonstrowała, że Wałęsę tolerowała tylko w czasie swojej dekoniunktury i jako młot na kaczystów. Platforma, po latach odwracania oczu od dziwactw „Lecha" – zaczyna odkrywać, że były prezydent jest bardziej obciążeniem niż wartością dodaną w kampanii. Tym bardziej że ten ruga ją za brak zwycięstwa nad kaczyzmem.

Młodzi, którzy w tych wyborach pójdą pierwszy raz do urn – po prostu nie znają innego Wałęsy niż aroganckiego megalomana z Gdańska. Dla nich podstawą dla oceny Wałęsy są jego zdjęcia z Kiszczakiem z Magdalenki czy ilość zamawianego alkoholu w Arłamowie. Film Andrzeja Wajdy o Wałęsie, który miał na nowo zbudować mit stoczniowca herosa, zniknął z pamięci młodych z szybkością każdego filmu schodzącego po jakimś czasie z ekranów.

Na tym tle legenda choćby Kornela Morawieckiego czy Anny Walentynowicz budowana jest na znacznie silniejszych podstawach. Jeden z publicystów „Polityki" nazwał aroganta z warszawskiej konwencji PO „nieznośnym, zakochanym w sobie cieniem Lecha Wałęsy". Kto nauczył tego cienia przekraczania kolejnych granic w arogancji? Na to pytanie nikt nie kwapi się już odpowiadać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

Aktorka Maja Ostaszewska na manifestacji przed Pałacem Prezydenckim FOT. TOMASZ URBANEK/EAST NEWS

Ciężar poparcia

Kamila Baranowska

Jeszcze niedawno partie prześcigały się o to, kto ma więcej gwiazd w komitecie honorowym. Dzisiaj celebryci swoim politycznym zaangażowaniem bardziej szkodzą, niż pomagają. O czym najboleśniej przekonała się opozycja

Pięć dni przed wyborami aktorka Maja Ostaszewska stwierdziła w programie Tomasza Lisa, że jeśli PiS znów będzie rządził, to „prawdopodobnie zabierze wolny dostęp do Internetu". – Zabierze dostęp do wolności słowa – oznajmiła. Dzień później inna gwiazda, wokalista Tymon Tymański, zabłysnęła równie głęboką analizą polityczną, prezentując swój nowy utwór, zatytułowany „Pislam", w którym śpiewa m.in.: „Witajcie w państwie wyznaniowym / witajcie w skansenie moherowym / Pobudka, ksenofobio i rasizmie / witajcie w narodowym socjalizmie". Teledysk do piosenki to miks scen z III Rzeszy i współczesnej Polski. – To mój obywatelski obowiązek – tłumaczy wokalista, pytany o motywy swojego politycznego manifestu.

Tymon Tymański niechcący zdefiniował problem, który mają dziś partie ze wspierającymi je artystami. Ci ostatni odkryli bowiem, że jako obywatele i ludzie cieszący się rozpoznawalnością i sympatią z racji wykonywanego zawodu mają obowiązek politycznego zaangażowania. Angażują się więc z zapałem, co opozycji, którą tak ochoczo wsparli, przyniosło w tej kampanii same opłakane skutki. W sytuacji, gdy Koalicja Obywatelska przyjmuje taktykę łagodzenia przekazu i twarzą swojej kampanii robi Małgorzatę Kidawę-Błońską z jej hasłem: „Współpraca, a nie kłótnie", radykalnie antypisowski przekaz wspierających ją środowisk artystyczno-celebryckich wprowadzał nie tylko dysonans poznawczy, lecz także rujnował zwyczajny kampanijny przekaz. W społecznym odbiorze opozycja i jej sympatycy są traktowani jako całość.

Najbardziej spektakularna była zorganizowana m.in. przez Zbigniewa Hołdysa kampania profrekwencyjna pod hasłem: „Nie świruj, idź na wybory", w której znani i lubiani (wśród nich m.in. Wojciech Pszoniak, Janusz Gajos, Olgierd Łukaszewicz, Anna Nehrebecka, Krystyna Janda), naśladując ruchy osób niepełnosprawnych umysłowo namawiały do głosowania w wyborach. Oświadczenie w tej sprawie wydało Polskie Towarzystwo Psychiatryczne, interweniował rzecznik praw obywatelskich, skrytykowała ją większość dziennikarzy i komentatorów. Politycy Koalicji z Kidawą-Błońską na czele zarzekali się, że z kampanią nie mają nic wspólnego. Co z tego, skoro i tak zostali w nią wplątani? Ostatecznie całą akcję wygaszono, zmieniając najpierw jej hasło na: „Nie wygłupiaj się, idź na wybory".

ŚMIECH ZAMIAST STRACHU

Opozycji nie pomogły również niezliczone wywiady, w których kolejni aktorzy i celebryci opowiadali, jak bardzo czują się prześladowani i jak bardzo zabierana jest im wolność, i jak upada w Polsce demokracja. Klasykiem są już słowa aktorki Magdaleny Cieleckiej, która opowiadała w „Newsweeku", że jadąc tramwajem, czuje się jak „żydowskie dziecko w czasie okupacji, dziecko, które jest wystraszone i wie, że nie powinno w tym tramwaju być". Podobnie jak wypowiedzi aktora Jacka Poniedziałka o „biednym, otumanionym »500 plus«, tanio kupionym pseudodumą rodem z paska »Wiadomości« 40 proc. narodzie".

O zaangażowaniu Mai Ostaszewskiej w obronę: puszczy, dzików, karpi, wiewiórek, a także kobiet, niepełnosprawnych, nauczycieli i wszystkich, którzy akurat protestowali przeciwko PiS, krąży już w sieci cała masa memów. Równie twórcze są Krystyna Janda i Agnieszka Holland. Janda ostatnio wyliczała, że rządy PiS, które definiuje jako „odradzający się nacjonalizm", odebrały jej „radość życia, spokój, poczucie bezpieczeństwa, poczu-

eprasa.pl 4bfed2fe01

cie wolności, sprawiedliwości i prawdy". Ostatni popis reżyser Agnieszki Holland to postulat, by w ramach walki o obecność kobiet w polityce odebrać na trzy kadencje prawa wyborcze mężczyznom.

Skala absurdu tych wszystkich opowieści i prześciganie się w tym, kto pójdzie dalej i oskarży PiS o gorsze zbrodnie, powoduje, że mało kto już traktuje je poważnie. Może poza najbardziej zatwardziałymi wyborcami anty-PiS spod znaku KOD. Liderzy Platformy wiedzą jednak, że samym radykalnym elektoratem wyborów się nie wygrywa, że trzeba przekonać tzw. normalsów. W tych zaś coraz dalej idące wynurzenia celebrytów wzbudzają częściej śmiech niż strach.

Zdaniem dr. Sergiusza Trzeciaka, eksperta ds. komunikacji strategicznej, to, czy obecność celebryty w kampanii przyniesie korzyści, zależy od wielu czynników. – Partie zwykle liczą, że znane, popularne osoby z silną marką osobistą mogą przekonać ludzi nieinteresujących się na co dzień polityką – wskazuje. I podsuwa analogię z biznesem. – Jeśli firma przygotowuje dużą kampanię reklamową, to robi badania postrzegania ambasadora marki, jeśli wzbudza on kontrowersje albo kojarzy się jakiejś grupie negatywnie, to robienie go twarzą kampanii jest ryzykowne. W polityce działa to podobnie – mówi.

Z punktu widzenia celebryty sprawa też wcale nie jest oczywista, bo często za polityczne opowiedzenie się po którejś ze stron gwiazdy płacą swoją cenę. – Z jednej strony polityczne zaangażowanie daje dodatkową możliwość ekspozycji, z drugiej wystawia takiego celebrytę na jeszcze większy hejt, z którym i tak na co dzień się boryka. Gdybym miał doradzać, czy z punktu widzenia gwiazdy warto się angażować, to radziłbym się zastanowić nad tym trzy razy – podkreśla. Rzeczywiście, wiele gwiazd skarżyło się na utratę kontraktów reklamowych czy ról filmowych i teatralnych ze względu na to, że zaczęły się kojarzyć politycznie.

Osobną kwestią jest pytanie, czy aktorzy, wokaliści, blogerki modowe i inni celebryci powinni tak ochoczo udzielać wywiadów na tematy polityczne, skoro – jak często później wynika z ich wypowiedzi – słabo się w nich orientują. – Rozmawiałem kiedyś z pewną celebrytką, która opowiadała mi, że chce głosować na Konfederację, bo podoba jej się Zandberg. Jeśli to jest tego typu poziom wiedzy o polityce, to może lepiej nie robić z celebrytów autorytetów w tej dziedzinie – komentuje dr Trzeciak.

POWRÓT NA ŚCIANKĘ

To się powoli zaczyna zmieniać. Jeszcze kilka, kilkanaście lat temu partie polityczne prześcigały się w prezentowaniu swoich honorowych komitetów poparcia, na których pełno było nazwisk mniejszych i większych gwiazd, artystów i aktorów. Dzisiaj nie wychylają się już tak bardzo z pokazywaniem, kto z nimi sympatyzuje, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za to, co taki celebryta może powiedzieć lub zrobić. – Wyborcy coraz częściej patrzą na to z przymrużeniem oka, na zasadzie: może to dobra aktorka, ale co ona wie o polityce – potwierdza dr Trzeciak.

Może zatem okazać się, że samo środowisko artystyczno-celebryckie, chcąc nie chcąc, przyczynia się do powrotu do pewnej normalności. Czyli sytuacji, w której aktorzy są od grania, wokaliści od śpiewania, a celebryci od brylowania na ściankach. A nie od robienia polityki, bo to, jak się okazuje, nikomu nie wychodzi na dobre. Ani im samym, ani partiom, którym chcą pomóc, ani polityce jako takiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 4bfed2fe01

Protest pod Sejmem inicjatorów obywatelskiej ustawy „Stop Pedofilii", 17 lipca 2019 r. FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

Młot na seksedukatorów

Maciej Pieczyński

„PiS chce zakazać seksedukacji!" – tak można streścić świeckie oburzenie celebrytów, przerażonych obywatelskim projektem ustawy znanej pod nazwą „Stop Pedofilii". To dezinformacja – partia Kaczyńskiego radykalnym zapisom jest niechętna. I proponuje własne rozwiązania

Chcecie takiej Polski!??? Według obywatelskiego projektu zmian w Kodeksie karnym za edukację seksualną należy karać więzieniem […]. Nowe regulacje dotknęłyby wszystkich tych, którzy w związku z pracą edukują o seksie i seksualności ludzi poniżej 18. roku życia […]. W praktyce oznacza to, że wszystkie osoby zajmujące się edukacją seksualną wśród młodych miałyby być zagrożone karą więzienia. Głosujmy tak, by do tego nie doszło!" – ten alarmistyczny wpis opublikowała na Instagramie Anja Rubik, jeszcze przed wyborami. Nic dziwnego – skandalizująca celebrytka, autorka kampanii edukacyjnej „#SEXEDPL" oraz podobnie zatytułowanego książkowego zbioru „rozmów o dojrzewaniu, miłości i seksie", zgodnie z zapisami projektu mogłaby się obawiać konsekwencji prawnej. – Prawo nie działa wstecz, więc za już wydaną książkę nie groziłaby kara. Jeśli jednak Anja Rubik chce nadal namawiać nieletnich do wykonywania czynności seksualnych, to gdyby nasz projekt w obecnym kształcie wszedł w życie, powinna by się nią zająć prokuratura – przyznaje Mariusz Dzierżawski, pełnomocnik komitetu inicjatywy ustawodawczej „Stop Pedofilii", członek zarządu fundacji Pro – Prawo do Życia, która patronuje projektowi.

Święte (właściwie świeckie) oburzenie Anji Rubik podzieliły inne gwiazdy polskiej popkultury, również znane z liberalnego podejścia do kwestii światopoglądowych. W tym dziennikarka Kinga Rusin, piosenkarka Julia Wieniawa, modelka Natalia Siwiec, aktorka Roma Gąsiorowska czy trener fitness Daniel „Qczaj" Kuczaj. „Anja, za to, co zrobiłaś, w normalnych warunkach dostałabyś odznaczenie państwowe. Jeżeli ta ustawa przejdzie, »w uznaniu zasług« dostaniesz 3 lata więzienia! Dokąd zmierzamy?" – pytała Kinga Rusin. „Przerażające" – skomentowała Roma Gąsiorowska.

„Rozumiem, że te 3 lata również dla tych, co w parafialnych salkach prowadzą indywidualne lekcje?!" – insynuował Qczaj. Celebryta, znany z prowadzenia wirtualnych treningów fitnessu i występu w „Tańcu z gwiazdami", pytał retorycznie: „Co się z tym krajem dzieje?! Zabierają dotacje na telefony zaufania dla młodzieży, zabierają prawo do solidnej edukacji… Kochani! 13.10., błagam". Wymowa zarówno wpisu Anji Rubik, jak i podzielających jej obawy celebrytów, była jednoznaczna i można ją streścić następująco: „Zły PiS chce nas wsadzać do więzienia za mówienie o seksie, więc zagłosujmy tak, by odsunąć PiS-owców od władzy!". A przecież sama autorka książki „#SEXEDPL" zaznaczyła, że jest to… obywatelski projekt ustawy. Partia rządząca nie ma z tym projektem nic wspólnego. Wręcz przeciwnie – PiS niejednokrotnie już dowiódł, że ostrożnie, a czasem i niechętnie odnosi się do radykalnych inicjatyw prawicy światopoglądowej.

OBURZENIE MIŁUJĄCYCH WOLNOŚĆ

Pierwsze czytanie rzeczonego projektu ustawy zaplanowane zostało na 15 października. Gdyby Jarosławowi Kaczyń-

eprasa.pl 4bfed2fe01

skiemu, zgodnie z obawami Anji Rubik, zależało na karaniu seksedukatorów więzieniem, wątpliwe, by przekładał prace nad projektem na posiedzenie odbywające się już po wyborach. Fundacja Pro – Prawo do Życia protestowała nawet przeciwko przełożeniu pierwszego czytania. W rozmowie z „Do Rzeczy" Mariusz Dzierżawski łagodzi ton. – Być może partia rządząca uznała, że to zbyt kontrowersyjny temat, aby zająć się nim przed wyborami – twierdzi.

– PiS już na przykładzie projektów dotyczących zakazu aborcji pokazał, jak traktuje obywatelskie inicjatywy związane z obroną wartości konserwatywnych – uważa z kolei Kaja Godek z fundacji Życie i Rodzina. Działaczka pro-life, do niedawna polityk Konfederacji, pracowała przy projekcie składanym jeszcze za czasów PO-PSL „Stop Pedofilii". – Dla seksedukatorów zakaz zachęcania dzieci do współżycia to zakaz edukacji seksualnej. W ten sposób sami przyznają, że te zajęcia służą namawianiu nieletnich do rozpoczynania aktywności seksualnej – komentuje Godek.

Ponadto zastanawiać może oburzenie zazwyczaj „miłujących wolność" celebrytów na oddolną inicjatywę obywatelską. Umiłowanie społeczeństwa obywatelskiego kończy się tam, gdzie społeczeństwo to zaczyna wyznawać poglądy konserwatywne. Pod projektem podpisało się 260 tys. osób.

„Kto publicznie propaguje lub pochwala zachowania o charakterze pedofilskim, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2" – czytamy w treści projektu. Tej samej karze miałby podlegać ten, kto „publicznie propaguje lub pochwala podejmowanie przez małoletniego obcowania płciowego". A jeśli robiłby to za pomocą „środków masowego komunikowania", to mógłby zostać skazany na trzy lata więzienia. Kolejny zapis może dotyczyć edukatorów seksualnych: „Kto propaguje lub pochwala podejmowanie przez małoletniego obcowania płciowego lub innej czynności seksualnej, działając w związku z zajmowaniem stanowiska, wykonywaniem zawodu lub działalności związanych z wychowaniem, edukacją, leczeniem małoletnich lub opieką nad nimi albo działając na terenie szkoły lub innego zakładu lub placówki oświatowo-wychowawczej lub opiekuńczej, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3".

Projekt pozytywnie zaopiniował instytut Ordo Iuris. „Ograniczenie kontaktu małoletnich z treściami rozbudzającymi ich seksualność i prezentującymi podejmowanie czynności seksualnych jako wyłącznie kwestię indywidualnej decyzji i wyrażonej zgody, może sprzyjać zapobieżeniu seksualizacji dzieci i będzie pomagało w kreowaniu pozytywnych wzorców edukacyjnych zawartych chociażby w programie wychowania do życia w rodzinie" – czytamy w treści analizy przygotowanej przez instytut.

– Możemy spierać się o wysokość kary, ale seksualizacja dzieci powinna być penalizowana – komentuje Magdalena Olek, p.o. dyrektor Centrum Prawa Międzynarodowego Instytutu Ordo Iuris. Na jednym z lewicowo-liberalnych portali można przeczytać, że w myśl proponowanych przepisów odpowiedzialność karna mogłaby grozić nawet nauczycielce biologii, która wyjaśniałaby uczniom liceum, na czym polega rozmnażanie płciowe i jak się zabezpieczyć przed niechcianą ciążą. – To absurdalna teza. Kara groziłaby nie za nauczanie, ale za propagowanie, czyli zachęcanie kogoś do podjęcia konkretnych zachowań. Prawo bardzo wyraźnie rozgranicza te dwie kwestie – komentuje Olek.

BRAK DIALOGU I KONTROWERSJE

Projekt wywołuje jednak kontrowersje nie tylko wśród celebrytów, zafascynowanych ideą nieskrępowanej edukacji seksualnej, lecz także w środowiskach prawicowych. Politycy PiS zapewniają, że nie ma jasnego stanowiska partii w tej sprawie. Już na samym początku projekt „Stop Pedofilii" poparła Anna Maria Siarkowska. – Nie można zlekceważyć projektu, pod którym podpisało się ćwierć miliona obywateli, rodziców, zaniepokojonych istotnym zagrożeniem, jakim jest seksualizacja dzieci – komentuje poseł PiS w rozmowie z „Do Rzeczy".

Ma jednak sporo uwag do autorów ustawy, przede wszystkim natury prawnej. – Ustawa penalizuje zachęcanie do seksu osób małoletnich, czyli osób poniżej 18. roku życia. A przecież współżycie jest legalne już od 15. roku życia. W przedziale 15–18 lat nie mamy zatem do czynienia z pedofilią – mówi poseł Siarkowska. Jej zdaniem ustawa wymaga dopracowania. – Penalizacja promocji zachowań, które są legalne, nie tylko nie rozwiąże problemu, lecz wręcz może posłużyć lewicy jako zręczne narzędzie do walki z szeroko rozumianą prawicą. Nasi przeciwnicy będą mogli mówić, że chodzi nam jedynie o to, by karać więzieniem wszystkich, którzy myślą inaczej – uważa Anna Maria Siarkowska.

Jej zdaniem twórcy inicjatywy nie dbają również o to, by zdobyć dla swoich pomysłów poparcie partii rządzącej. – Nie zrobili nic, aby posłom PiS wytłumaczyć założenia ustawy, w tym te, które są uważane przez niektórych za kontrowersyjne. Podobna sytuacja miała miejsce w przypadku przygotowanych przez te same środowiska projektów antyaborcyjnych, zakładających m.in. karanie kobiet. Wtedy również nie próbowano nawiązać dialogu z PiS. Powstaje pytanie: Co jest tak naprawdę celem twórców projektu? Czy chcą realnych zmian, czy może chodzi tylko o to, by móc znowu krzyczeć, że „PiS nie broni wartości konserwatywnych"? – mówi Siarkowska.

– PiS zrobi z projektem, co zechce. Moje ponad 20-letnie doświadczenie w rozmaitych inicjatywach społecznych dotyczących obrony życia i rodziny jest takie, że posłowie ignorują wolę obywateli, jeśli nie jest ona dla nich korzystna. Owszem, nie prowadzimy rozmów z posłami PiS, ale to oni sami powinni zainteresować się projektem, cieszącym się poparciem kilkuset tysięcy Polaków – komentuje Mariusz Dzierżawski. Jednocześnie broni zapisu o penalizacji propagowania seksu wśród małoletnich. – Szesnasto-, siedemnasto- i osiemnastolatkowie też są atakowani przez seksedukatorów! – mówi.

INNE POMYSŁY

Posłowie PiS mają jednak również własną wizję walki z seksualizacją dzieci. Poseł Siarkowska w zeszłym tygodniu zaprezentowała w Sejmie projekt ustawy, który penalizuje przedstawianie dziecku bez wiedzy i zgody rodziców treści dotyczących ludzkiej płciowości lub współżycia płciowego.

Zgodnie z jego zapisami placówki oświatowe czy organizacje społeczne miałyby obowiązek uzyskania indywidualnej zgody od każdego rodzica na uczestnictwo dzieci w zajęciach z zakresu edukacji seksualnej. W przypadku, gdyby taka zgoda nie została wyrażona, szkoła lub organizacja musiałaby zapłacić karę grzywny do wysokości stukrotności pensji minimalnej. – To będzie skuteczne narzędzie dla rodziców do egzekwowania swoich rodzicielskich praw odnośnie do wychowania dzieci – mówi poseł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

Co się czai w Czajce

Wojciech Wybranowski

Oczyszczalnia Ścieków „Czajka" pochłonęła miliony złotych. A koszty dalej rosną. Przybywa też pytań o to, czy władze Warszawy rzeczywiście dopełniły wszystkich obowiązków w tej sprawie

Ruszyły prace nad wyeliminowaniem awarii kolektorów w Oczyszczalni Ścieków „Czajka" w Warszawie. Chodzi o urządzenia przesyłające ścieki z położonej po lewej stronie Wisły części Warszawy do znajdującej się na prawym brzegu oczyszczalni. Awaria, do której doszło 27 sierpnia br., spowodowała, że do rzeki wypuszczono (do 20 września według informacji przekazanych przez Główny Inspektorat Ochrony Środowiska) ponad 3 mln m sześc. nieoczyszczonych ścieków komunalnych zawierających substancje z gospodarstw domowych, zakładów przemysłowych i wody deszczowe. – Wyniki wskazują na przekroczenie wielu wartości granicznych dobrego stanu ekologicznego – informowała wówczas Agnieszka Borowska, rzecznik prasowa GIOŚ.

Przez wiele godzin po awarii władze Warszawy nie informowały o niej ani opinii publicznej, ani instytucji. Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Warszawie uważa, że opóźnienie uniemożliwiło skuteczne wdrożenie procedur ostrzegawczych dla mieszkańców miasta, ale też działań mogących zmniejszyć ewentualne zagrożenie epidemiologiczne i ekologiczne. Bierność stołecznego magistratu w tej sprawie to tylko wierzchołek góry lodowej.

PROKURATURA SPRAWDZA

Warszawscy śledczy Prokuratury Okręgowej na Pradze prowadzą śledztwo mające ustalić, czy w zarządzaniu Czajką doszło do niegospodarności. Chodzi nie tylko o sposób eksploatowania i konserwowania urządzeń w oczyszczalni ścieków, lecz także o jej modernizację i rozbudowę.

Po awarii oczyszczalni okazało się, że władze nie tylko o tym nie mówiły. Przed opinią publiczną ukryły również

eprasa.pl 4bfed2fe01

fakt, że od listopada ubiegłego roku nie działa spalarnia osadów (jej budowa kosztowała ok. 450 mln zł). I resztki osadów zamiast być spalane, są wywożone „w Polskę", a miesięczny koszt takich operacji sięga ok. 1,7 mln zł. W tej sprawie Główny Inspektorat Ochrony Środowiska złożył zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa do Centralnego Biura Antykorupcyjnego.

– W ramach kontroli okazało się, że spalarnia będąca częścią tej inwestycji została warunkowo otwarta w 2013 r. Warunkowo, bo było ok. 100 usterek. Usterki usuwano przez trzy lata – mówiła Agnieszka Borowska w rozmowie z portalem TVP.info. – Efekt był taki, że wykonawcy odebrali pieniądze za realizację tej wielkiej inwestycji, a po kontroli dokumentów przez inspektorów okazało się, że przez te wszystkie lata spalarnia funkcjonowała tylko przez połowę czasu. Natomiast przez resztę czasu była w permanentnej awarii.

Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Toruniu zawiadomił z kolei Prokuraturę Krajową o możliwości popełnienia przestępstwa porzucenia odpadów ściekowych na polach w województwie kujawsko-pomorskim. Niedawno na terenach rolnych i leśnych odkryto tam spore ilości niewłaściwie zabezpieczonych odpadów mogących pochodzić właśnie z warszawskiej oczyszczalni.

Niezależnie od tego GIOŚ zlecił przeprowadzenie kontroli w firmie, która wywoziła odpady z Oczyszczalni Ścieków „Czajka" oraz powiązanych z nią firm zajmujących się tzw. utylizacją osadów ściekowych.

PAN PŁACI, PANI PŁACI...

Budowa Oczyszczalni Ścieków „Czajka" w Warszawie, która zakończyła się w 2012 r., była jedną z największych stołecznych inwestycji współfinansowanych ze środków Unii Europejskiej. Kosztowała w sumie około 3,7 mld zł. Szybko jednak się okazało, że ewentualne błędy popełnione przy jej rozbudowie, położeniu rur dostarczających ścieki oraz nadzorze nad funkcjonowaniem całej struktury mogą zamienić inwestycję w studnię pochłaniającą coraz więcej pieniędzy.

Już wiadomo, że koszty naprawy awarii w Oczyszczalni Ścieków „Czajka" będą znacznie wyższe niż te, które podał pod koniec września podczas konferencji prasowej prezydent miasta Rafał Trzaskowski. Informował wówczas, że do 24 września wydano ok. 7 mln zł na ustalenie przyczyny awarii kolektorów, a szacowane przez miasto koszty usunięcia awarii miały wynieść dodatkowo około 12–13 mln zł. Tymczasem, jak wynika z umowy na naprawę układu przesyłowego, którą 2 października Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji podpisało z wykonawcą – Inżynieria Rzeszów SA, usunięcie awarii będzie kosztować ok. 23 mln zł netto.

Do tych kwot trzeba dodać też 41 mln zł – tyle kosztowała budowa zleconego przez premiera Mateusza Morawieckiego zastępczego rurociągu umieszczonego na moście pontonowym na Wiśle. Dopiero interwencja szefa rządu spowodowała, że wyciek ścieków do Wisły został zatamowany. Utrzymanie zastępczego rurociągu do czasu wyeliminowania awarii kolektorów Czajki – wstępnie szacowana data to 15 listopada – kosztować będzie łącznie kolejne 2 mln zł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PATRONAT: DO RZECZY, DO RZECZY PORTAL DORZECZY.PL

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

eprasa.pl 4bfed2fe01

Agnieszka Niewińska

Polowanie na kapeluszniki

W jajecznicy, na maśle czy w śmietanie? To pytanie zadają sobie zwłaszcza grzybiarze z zachodniej Polski, która grzybami obsypana została we wrześniu. Jeśli pogoda nie zawiedzie, to na grzybobranie będzie można też ruszyć na wschodzie

W październikowy weekend, kiedy ulice miast pustoszeją, gęsto robi się w borach i zagajnikach. – Na drogach przecinających las samochód przy samochodzie, między drzewami pełno grzybiarzy – opowiada Alicja, warszawianka, która w ubiegłym tygodniu wybrała się na pierwsze w tym roku grzybobranie w lasach między Otwockiem a Karczewem. – Mimo tego, że do lasu dotarłam dopiero ok. godz. 14 i wielu grzybiarzy już wracało z pełnymi wiadrami, to nie było problemu, żeby coś jeszcze znaleźć. Wróciłam z całkiem sporą liczbą podgrzybków. Gdybym wybrała się z samego rana, to kto wie, ile mogłabym nazbierać – dodaje.

FLAKI ZE SZMACIAKA

Grzybne rekordy już padły. Borowik gigant ważący prawie 3 kg ukrywał się w Wielkopolsce, w lesie w okolicach Złotowa. Były też rekordy ilościowe. Mistrzostwa w zbieraniu grzybów w Korzybiu na Pomorzu wygrała Danuta Mothke z Reblina. Zebrała 26 kg grzybów.

– W tym roku najlepszy moment na zbieranie grzybów był między 15 a 30 września. Niektórzy grzybiarze wpadali wręcz w rozpacz, bo nie byli w stanie zebrać wszystkich grzybów, które napotkali na swojej drodze. Sytuacja wciąż jest dobra, a nawet bardzo dobra w Puszczy Noteckiej, w województwach lubuskim, śląskim, pomorskim, zachodniopomorskim czy kujawsko-pomorskim. Do tej pory wysypu grzybów nie było we wschodniej Polsce, ale jeśli sprawdzą się prognozy pogody, to za tydzień lub dwa udane grzybobranie będą mieli mieszkańcy województw mazowieckiego, podlaskiego, lubelskiego czy podkarpackiego – mówi Marek Snowarski, mykolog, autor atlasów grzybów.

Nie wróży z fusów, bo jest również grzybowym synoptykiem. Od kilku lat

FOT. MAREK MAUSZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 4bfed2fe01

prognozuje, gdzie i kiedy możemy się spodziewać wysypu grzybów. – Jestem chyba jedynym w Polsce synoptykiem grzybowym. Moje przewidywania są oparte na twardych danych. Od lat monitoruję wysp grzybów w Polsce, potencjał grzybowy poszczególnych terenów, zbieram także dane od informatorów, czyli grzybiarzy. Opracowałem model matematyczny, dzięki któremu mogę obliczyć prawdopodobieństwo wystąpienia wysypu grzybów – opowiada Marek Snowarski. – Chociaż z takimi przewidywaniami jest trochę tak jak z prognozą pogody, to mogę powiedzieć, że moja grzybowa prognoza dość dobrze się sprawdza. W tym roku trafnie przewidziałem, że to druga połowa września będzie szczytem grzybowego sezonu – dodaje.

Prognozy grzybowego synoptyka można znaleźć na stronie grzyby.pl. Im cieplejsze barwy na mapie, tym więcej na danym terenie grzybów. W serwisie nie brakuje też relacji grzybiarzy, którzy zdradzają, gdzie, co i ile okazów udało im się upolować.

Paweł Kosin, leśnik z Nadleśnictwa Daleszyce, przyznaje, że w tej chwili w lasach jest więcej grzybów niż grzybiarzy. – Po pierwszych przymrozkach zapał grzybiarzy nieco opadł, tymczasem w świętokrzyskich lasach wciąż można znaleźć borowiki, dużo podgrzybków, rydze czy opieńki – wylicza Paweł Kosin.

Zaznacza, że nie da się wskazać takich miejsc, w których grzyby na pewno znajdziemy. – Duże znaczenie mają doświadczenie i intuicja. Można jednak się nauczyć, w jakich miejscach grzyby lubią rosnąć. Częściej masowo rosną w lasach we wczesnym stadium sukcesji niż w wielowiekowych puszczach. Często największy wysyp owocników występuje w lasach, w których prowadzona jest gospodarka leśna – dobrym przykładem są np. Bory Tucholskie. Grzyby lubią rosnąć przy drodze, a nawet na drodze – bo w tych miejscach co jakiś czas przejedzie ciągnik, który zruszy ziemię, na którą spadnie więcej deszczu czy dotrze do niej więcej słońca, bo nie jest osłonięta koronami drzew, a to sprzyja rozwojowi grzybni i wykształcaniu przez nią owocników. Wybrane gatunki grzybów lubią rosnąć także w towarzystwie konkretnych gatunków drzew, niejako z nimi współpracując i tworząc mikoryzę. Czerwonego koźlarza można znaleźć pod topolami osikami, brązowego – pod brzozami, maślaki lubią rosnąć w młodych sosnach, borowiki są bardziej towarzyskie i rosną pod różnymi gatunkami drzew – wylicza leśniczy Paweł Kosin.

Sam jest zapalonym grzybiarzem, a z koszykiem do lasu zdarza mu się chodzić nawet dwa razy dziennie. – Kiedy zaczyna się grzybowy sezon, na drugi plan schodzi nawet druga moja pasja, czyli bieganie – opowiada. Grzyby zbiera nie tylko w sezonie. – On się nie kończy wraz ze złotą polską jesienią. Doświadczeni grzybiarze wiedzą, że grzyby rosną w lesie nawet zimą, tyle że inne gatunki niż latem czy jesienią. W grudniu czy styczniu przynoszę z lasu np. boczniaki. Badania pokazują, że 90 proc. Polaków zbiera sześć–siedem gatunków grzybów, a tych jadalnych jest o wiele więcej. Jestem fanem szmaciaka gałęzistego, któremu zmieniono nazwę na siedzeń sosnowy. To grzyb, który przypomina wyglądem rafę koralową albo mózg. Świetnie smakuje w jajecznicy, można też przyrządzić z niego grzybowe flaki. Mamy też jadalne muchomory – np. muchomora czerwieniejącego, który jest bardzo smacznym grzybem. Nie polecam jednak eksperymentowania z grzybami niedzielnym grzybiarzom, lepiej poprzestać na tych sześciu–siedmiu gatunkach, które się zna, niż narazić się na zatrucie – przestrzega leśniczy.

Kto ma wątpliwości, ten może się ze zbiorem zgłosić do stacji sanepidu. – Dzisiaj były dwie osoby: z kaniami i opieńkami – mówi grzyboznawca z Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej we Wrocławiu, który udziela porad grzybiarzom. – Najwięcej osób z grzybami przychodzi do nas między połową września a połową listopada. Rocznie udzielamy 100–150 takich porad – mówi grzyboznawca.

MYKOFOBY I MYKOFILE

Sezon grzybowy to także sezon doniesień o Polakach na emigracji, którzy wybrali się na grzyby i musieli zapłacić za to wysoki mandat. Na przykład w Holandii z lasu publicznego można wynieść co najwyżej kilka grzybków. Pełne wiadro może zostać uznane za wynoszenie runa leśnego z lasu, a za to można zapłacić nawet 500 euro mandatu. W Holandii nie ma tradycji zbierania grzybów i nikt ich w lesie nie szuka.

– Etnolodzy dzielą narody na mykofobiczne i mykofilne. Polacy, podobnie jak chyba wszystkie narody słowiańskie, to mykofile. Mamy tradycję zbierania grzybów, wykorzystywania ich jako pokarmu obok innych darów lasu. Poza Słowianami grzyby zbierają chociażby Francuzi czy Włosi. W Szwajcarii czy w Niemczech nie jest to zjawisko masowe. Na grzyby chodzą ich znawcy. W Niemczech obowiązują nawet ograniczenia co do liczby grzybów, które można z lasu wynieść. Mykofobami są z kolei Anglosasi. W tych krajach nie ma tradycji zbierania grzybów. Kojarzą się one z czymś trującym i niejadalnym. Anglosasi w kuchni korzystają co najwyżej z pieczarek kupionych w sklepie – opowiada Marek Snowarski.

INSTYNKT ŁOWCY

Nad Wisłą to nie leśne służby, lecz inni grzybiarze mogą nam popsuć humor na grzybobraniu. – Żaden grzybiarz nie lubi dzielić się z innymi swoimi miejscówkami. Kiedy wracam z pełnym koszem i jestem pytany, gdzie znalazłem tyle grzybów, to zwykle mówię tylko, w jakim kompleksie leśnym byłem, nie zdradzam, gdzie dokładnie znalazłem najlepsze okazy. Kiedy grzybiarz idzie do lasu, włącza się w nim instynkt łowcy. Każdy chce być w lesie skuteczny. Grzyby najlepiej zbiera się w ciszy i samotności. Chyba żaden grzybiarz nie lubi, gdy mu ktoś zagląda do koszyka – opowiada Paweł Kosin.

Marek Snowarski podkreśla, że choć grzyby zbiera od dziecka i bardzo to zajęcie lubi, to w sezonie do lasu wybiera się kilka, a nie kilkanaście czy kilkadziesiąt razy, tak jak niektórzy miłośnicy grzybobrań. – W tym roku byłem na grzybach dwa–trzy razy. Zamarynowałem 14 słoików grzybów, przygotowałem trzy słoiki suszonych i wystarczy.

W tym roku zgromadził już poważne zapasy grzybów. – Część zjadamy od razu – w jajecznicy, smażone na maśle. Kanie żona smaży jak kotlety schabowe. Z reszty robimy zapasy. Małe, najładniejsze grzyby marynujemy w occie, kapelusze borowików mrozimy – rozmrożone świetnie nadają się do jajecznicy. Zamrażamy też porcje obgotowanych grzybów, sporo suszymy, bo suszone grzyby są najbardziej aromatyczne. Polska kuchnia stoi grzybami i w każdej książce o polskiej kuchni znajdziemy mnóstwo przepisów z grzybami – wylicza leśniczy Paweł Kosin. Przyznaje też, że wszystkich zebranych przez siebie grzybów nie jest w stanie zjeść czy zmieścić w zamrażarce, więc obdarowuje nimi innych. – Mój wujek mawia, że za pieniądze w Polsce dużo można załatwić, ale za grzyby jeszcze więcej – żartuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

Jest już lepiej

Krzysztof Masłoń

Olga Tokarczuk laureatką Literackiej Nagrody Nobla! Po Henryku Sienkiewiczu, Władysławie Reymoncie, Czesławie Miłoszu i Wisławie Szymborskiej jest to piąty Nobel dla literatury polskiej, co sprawia, że możemy się poczuć potęgą w tej dziedzinie, bo mimo że ranga tego wyróżnienia ostatnimi laty zmalała, to jednak ze swoją ponadstuletnią tradycją pozostaje najważniejsze w świecie

Z powodu Nobla dla 57-letniej autorki „Ksiąg Jakubowych" oszalał ze szczęścia jej liczny fan club wierny pisarce od lat 90. zeszłego wieku, gdy wydała swoje pierwsze książki, takie jak „Podróż ludzi Księgi", „E.E.", „Prawiek i inne czasy". Sam trwałym sentymentem obok „Prawieku" darzę jej „Dom dzienny, dom nocny" i to, co pisała Olga Tokarczuk tak mniej więcej do „Gry na wielu bębenkach", czyli do początku XXI w. Później było coraz gorzej – oczywiście moim zdaniem. Czytając książki Tokarczuk, odnosiłem bowiem wrażenie, że wciąż przebywam w tym samym postmodernistycznym świecie (czy śmietniku), niezależnie od tego, gdzie i kiedy toczy się akcja poszczególnych utworów. Naturalnie nie jest to przypadłość wyłącznie powieści i opowiadań tej pisarki, ale ich banalizm i najzwyczajniejsza nuda czyniły je nieznośnymi. Dlaczego na przykład nie stworzyła w swych licznych przecież książkach ani jednej pełnokrwistej postaci, zaiste nie wiem.

„REALNA UTOPISTKA"

No dobrze, ale jakim cudem jej „Księgi Jakubowe" – rozwlekła historia z XVIII w. z protagonistą w osobie Jakuba Franka, samozwańczego proroka, twórcy żydowskiej sekty od jego nazwiska nazwanej frankistami, z których większość przyjęła katolicyzm – cieszyły się ogromnym powodzeniem, bijąc rekordy sprzedaży (w Polsce sprzedano je w 150-tysięcznym nakładzie). Nie, żadnego cudu tu nie ma; w naszej literaturze mainstreamowej wszystko jest możliwe. Nagrodzone nagrodą Nike „Księgi…" obwołane zostały wielkim wydarzeniem literackim, zanim się jeszcze ukazały. A Olga Tokarczuk stała się autorką coraz bardziej popularną i cenioną już nie tylko w Niemczech, gdzie zresztą swego czasu wyraźnie nie poznał się na niej Reich-Ranicki, lecz także w Szwecji, na co zwracam uwagę, bo obserwując to zjawisko, już cztery lata temu stwierdziłem, że nie zdziwię się, gdy za kilka lat otrzyma Nobla, a interesuje mnie jedynie, co wtedy powie o Polsce i Polakach. Zważywszy na to, co rzekła po powtórnym otrzymaniu Nike, można było być pełnym najgorszych przeczuć.

Przypomnę w tym miejscu, że gwiazda naszej literatury ogłosiła wtedy wszem wobec, że Polacy w swoich dziejach robili „straszne rzeczy" jako „kolonizatorzy, właściciele niewolników i mordercy Żydów". Pisarka ubolewała przy tym, że „wymyśliliśmy sobie historię Polski jako kraju niezwykle tolerancyjnego, otwartego, jako kraju, który nie splamił się niczym złym w stosunku do swoich mniejszości". Jako żywo nie zetknąłem się z taką anielską wersją dziejów ojczystych, chyba że za takie potraktujemy, piękne zresztą, rojenia niektórych naszych romantyków. Jednak od krytycznego spojrzenia na własną historię do bicia się w piersi za nie swoje grzechy wiedzie daleka droga.

Pozycję Olgi Tokarczuk wzmocniła Agnieszka Holland, kręcąc film „Pokot" według książki zatytułowanej „Prowadź

eprasa.pl 4bfed2fe01

swój pług przez kości umarłych". Znana reżyserka doszukała się w niej znamion kryminału, według autorki miał to być „thriller metafizyczny". Być może… Metafizyki nie dostrzegłem, ale to pewnie moja skaza. Kinga Dunin zauważyła kiedyś, że „gdziekolwiek pojawi się Olga, natychmiast skupia wokół siebie ludzi, którym każe dyskutować. I nigdy nie wiadomo, po czyjej stronie stanie. Z równym zapałem włącza się w organizowanie wiejskiego festynu i międzynarodowego festiwalu opowiadania. Nie boi się używać brzydkich słów, takich jak feminizm czy polityka. Jest sygnatariuszką rozmaitych listów w wielu społecznie istotnych kwestiach – od integracji europejskiej do dyskryminacji mniejszości. Przypomina nam tym samym, że do roli pisarza należy nie tylko pisanie, lecz także codzienne zaświadczanie temu, co się pisze".

To ładnie, ale ta pisarka, a od dłuższego czasu „realna utopistka", nawołuje do stworzenia alternatywnego, lepszego świata. Taką heterotopię przedstawiła 10 lat temu na łamach „Krytyki Politycznej". W takim miejscu, „innym niż świat, który znamy", odrzuca się m.in. darwinizm, a współzawodnictwo zastępuje altruizmem; „nie ma mowy o zabijaniu i zjadaniu. To są partnerzy, bliscy. [...] od najwcześniejszych lat dzieci uczą się języków innych gatunków, a na uniwersytetach istnieją katedry psychologii międzygatunkowej".

Co w ogóle wiemy o psychologii zwierząt? „Czy nie wydawało wam się nigdy – pyta Olga Tokarczuk – że zwierzęta mają maski, że gdzieś za uszami schowano troki albo zamki, którymi zostały przymocowane, i że te maski są tak samo zagadkowe, enigmatyczne – i w pewien sposób emblematyczne – jak maski ludzi? Kto więc kryje się pod postacią kota sąsiadów i kim jest ta wesoła suczka yorka, którą codziennie widuję na klatce schodowej? Kim jest świnia, kura i krowa?". Zawstydziwszy nas, bo – rzeczywiście – zagadnienie „Kim jest kura?" nie zostało dotąd odpowiednio zgłębione (chyba że za wyczerpujące uznamy sofistyczne rozważania o tym, co było pierwsze: jajko czy kura), autorka „Momentu niedźwiedzia" podważa następnie rozpowszechnioną tezę, jakoby podstawową komórkę społeczną tworzyć miały więzy krwi, czyli rodzina, a szeroko pojmowane związki krwi tworzyły naród. W heterotopii „bliskimi krewnymi" będą ludzie podobnie myślący i wyznający te same idee. Zatem „rodziny" stworzą np. „trzy przyjaciółki plus partner jednej z nich, bo wszyscy pasjonują się makrobiotyką" albo „jedna starsza kobieta i jej dwanaście kotów".

W heterotopii rozmnażanie nie będzie premiowane żadnym becikowym. Trzeba będzie natomiast przekonać społeczność, w której się żyje, że stać nas na dziecko i że je utrzymamy. Rodzicielstwo w tym świecie to przywilej, a narodziny będą, oczywiście, kontrolowane. O związkach między seksem a posiadaniem dzieci się zapomni. Seks będzie służył przyjemności i „budowaniu więzi", zaś wzorowymi staną się rodziny bezdzietne. Generalnie sprawę rozwiąże powszechna czasowa sterylizacja, w niektórych przypadkach zawieszana. Dla religii nie będzie miejsca w sferze publicznej. Mówić się będzie o niej tak jak obecnie o seksie właśnie – to przecież także kwestia intymna. Relacjonowanie tego, jak heterotopianie poczynać sobie będą ze śmiercią i co stanie się ważnym elementem spoiwa wznoszonych w przyszłości mostów, dróg i domów, daruję sobie i czytelnikom. Wizje Olgi Tokarczuk w tym miejscu wydają mi się nadto śmiałe.

DWIE NAGRODY

Oczywiście te i inne pomysły na życie łatwo obśmiać. Jednak – krzepi Tokarczuk – „skoro można pomyśleć, że może być lepiej, to znaczy, że jest już lepiej". To „lepiej" bywa jednak zakłócane. Choćby przez katastrofę smoleńską i jej skutki. W 2010 r. utyskiwała pisarka nad tym, że „Kościół katolicki zagarnął natychmiast przestrzeń zbiorowego przeżycia, sprowadzając je do religijnej, polsko-katolickiej retoryki i zapominając przy tym, że istnieją też inne, pozareligijne formy przeżywania żałoby" i że „sale koncertowe i teatry, gdzie nie-katoliccy Polacy mogliby dać wyraz swojemu smutkowi, pozostały zamknięte". Tak jakby akurat Kościół je pozamykał.

Niemniej jednak – konstatowała Olga Tokarczuk – „sytuacja smoleńska pokazuje, jak na bardzo kruchych i anachronicznych fundamentach jest zbudowane nasze społeczeństwo. Obraz demokratycznego, nowoczesnego społeczeństwa wydaje się być tylko cienką warstwą, pod którą buzują irracjonalne energie plemienne, które na dodatek zaczynają być wykorzystywane do bezwzględnej politycznej walki. Piszę to ze smutkiem, zupełnie nie czując się częścią tej wymuszonej wspólnoty. A przecież też mieszkam w tym kraju i jestem częścią tego społeczeństwa. Wierzę jednak, że takich jak ja jest wielu". Mam nadzieję, że i ci ostatni, i ta wspólnota, poza którą chce pozostawać noblistka, cieszą się z przyznanej Oldze Tokarczuk nagrody. Widząc w niej nagrodę dla Polski.

Nobel wieńczy niejako honory, które od dawna spływały na pisarkę. W zeszłym roku otrzymała The Man Booker International Prize za książkę „Bieguni", w 2017 r. – Międzynarodową Nagrodę Literacką samorządu Sztokholmu za „Księgi Jakubowe", w latach 2008 i 2015 polską nagrodę Nike. W bieżącą politykę noblistka angażuje się raczej niebezpośrednio, ale wystarczyło tego, co zdarzyło się jej powiedzieć i napisać, by zetknąć się z falą hejtu, a z drugiej strony z aktami wręcz strzelistymi. W każdym razie, gdy parę dni temu otrzymała odznaczenie „Zasłużony dla Powiatu Kłodzkiego" (gratulujemy wyczucia chwili), też spotkała się z wyrazami niechęci. I już tylko wspomnę, że niemal tuż przed ogłoszeniem noblowskiego werdyktu minister Gliński musiał tłumaczyć się Monice Olejnik z tego, że nie udało mu się książek Olgi Tokarczuk doczytać do końca. Nie można wykluczyć, że gdyby władzę przejęli z powrotem platformersi i ich akolici, znajomość utworów autorki „Ksiąg Jakubowych" stanie się obowiązkowa.

Noblowskie jury nagrodziło Olgę Tokarczuk za – jak usłyszeliśmy – „narracyjną wyobraźnię, która z encyklopedyczną pasją pokazuje przekraczanie granic jako funkcję życia". Ponadto pisarka ta „nigdy nie postrzega rzeczywistości jako czegoś stałego i danego raz na zawsze. Jej powieści zbudowane są na napięciu między kulturowymi sprzecznościami: natura kontra kultura, rozsądek kontra szaleństwo, mężczyzna kontra kobieta, dom kontra wyobcowanie".

Po zeszłorocznym skandalu, gdy nie przyznano Nobla w dziedzinie literatury, w tym roku przyznano dwie nagrody. Oprócz Olgi Tokarczuk uhonorowano austriackiego prozaika i dramaturga Petera Handkego (ur. 1942), znanego także z filmowej współpracy z Wimem Wendersem za – znów zacytujmy – „wpływową twórczość, która z językowym geniuszem eksploruje peryferia i specyfikę ludzkiego doświadczenia".

Ciekawe, że przewodniczący Komitetu Noblowskiego Anders Olsson zapowiedział wcześniej, że przerwa w przyznawaniu literackiej nagrody przyczyni się do poszerzenia jej perspektywy, m.in. przezwyciężenia europocentryzmu. Stało się dokładnie odwrotnie. Dla literatury polskiej akurat z pożytkiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

Joker w filmie Phillipsa to tylko ilustracja tezy, że jeśli będziemy bić dzieci i przywiązywać je do grzejnika, to nic dobrego z nich nie wyrośnie FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ten biedny Joker

Piotr Gociek

Wszystko, co dobre w filmie „Joker", zostało zapożyczone. Wszystko, oprócz aktorskiej kreacji Joaquina Phoenixa

Joaquin Phoenix dwoi się i troi na ekranie, wykonując kawał kapitalnej, nikomu niepotrzebnej roboty. Schudł na potrzeby roli 25 kg. Pewnie dostanie Oscara, który należy mu się od dawna. Inna sprawa, że jeśli tak się stanie, to będzie to przypadek podobny do casusu Martina Scorsese. Autor wielu znakomitych, ponadczasowych filmów nagrodzony został przecież nie za „Taksówkarza", „Wściekłego byka" czy „Chłopców z ferajny", ale za cudzy film nakręcony po swojemu, czyli „Infiltrację", remake gangsterskiej historyjki z Hongkongu.

Nie bez powodu wywołuję nazwisko Scorsesego. Gdyby nie jego filmy, „Joker" by nie istniał. Nie tylko cała warstwa wizualna została zaczerpnięta z klasyki wyprodukowanej w latach 1973–1981 (takie ramy wskazuje sam reżyser), lecz także historia pokazana na ekranie jest de facto wariacją na temat „Króla komedii", dziwnego, drażniącego i zapomnianego filmu Scorsesego (wciąż godnego uwagi).

Jednak po kolei.

POŁAMANY CZŁOWIEK W BEZLITOSNYM ŚWIECIE

Każdy komiksowy bohater potrzebuje swego „origin story" – skąd się wziął, jakie jest źródło jego mocy, jak je w sobie odkrył i dlaczego postanowił tę moc wykorzystać w ten, a nie inny sposób. Kapsuła ratunkowa z małym Supermanem lądująca na Ziemi, Peter Parker ukąszony przez radioaktywnego pająka i zmieniający się w Spider-Mana – wiecie, co mam na myśli. To samo dotyczy komiksowych łotrów. Joker, nemezis Batmana, psychopata bez sumienia, za to z chorym poczuciem humoru, też ma swoją „origin story". Akurat średnio ciekawą: swój upiorny wygląd zyskuje po wpadnięciu do toksycznych chemikaliów. Supermocy nie posiada, jest po prostu genialnym i wielce kreatywnym zbrodniarzem, coś jak prof. Moriarty, śmiertelny wróg Sherlocka Holmesa (Pamiętajmy, że i Batman jest bohaterem bez niezwykłego wrodzonego daru, on stał się tym, kim jest, dzięki wytężonej pracy nad sobą i dzięki fortunie rodziny Wayne'ów).

Rywalizacja Batmana i Jokera, analizowana na wiele sposobów (także jako uosobienie wojny postu z karnawałem), nie jest w filmie Todda Phillipsa obecna, bo jest to film o narodzinach Jokera. Chociaż wywiedziony z komiksowej mitologii, to trzyma się jednak jak najdalej od dróg, którymi chadzają zwykle autorzy produkcji inspirowanych komiksami. To nie jest film przygodowy, to nie jest film fantastyczny, to nie jest komedia, to nie jest film dla nastolatków czy dla całej rodziny. „Joker" Phillipsa ma inne ambicje:

eprasa.pl 4bfed2fe01

to dramat nieszczęśliwego, połamanego człowieka w bezlitosnym, wrogim świecie. Gotham przypomina na ekranie Nowy Jork z „Taksówkarza". Miasto zła, w którym strajkują śmieciarze, królują bezkarni bandyci, na wszystko brakuje pieniędzy, a o głosy tłumu ubiegają się odrażający bogacze.

Arthur Fleck (Joaquin Phoenix), niespełniony komik żyjący z matką, klepie biedę. Zarabia jako klaun do wynajęcia na promocjach przed sklepami i na dziecięcych oddziałach szpitalnych. Wieczorami wpatruje się w telewizor i marzy o tym, by wystąpić w programie „This is the Life", prowadzonym przez Murraya Franklina (Robert De Niro). To nie tylko marzenie o sławie, lecz przede wszystkim o akceptacji. Fleck czuje się samotny, odrzucony, niedoceniany. Wychowywał się bez ojca. A jednocześnie jest przekonany o swojej wyjątkowości. O tym, że jego przeznaczeniem jest sprawianie, by ludzie się uśmiechali.

Mamy tu do czynienia z imitacją wspomnianego wcześniej „Króla komedii". W filmie Martina Scorsesego z roku 1982 gwiazdą telewizji był Jerry Lewis (jako Jerry Langford), zaś aspirującym sfrustrowanym komikiem, który prześladuje swego idola – Robert De Niro (jako Rupert Pupkin). U Todda Phillipsa to De Niro wchodzi w buty Langforda, a Phoenix w buty Pupkina. Warto porównać w obu filmach scenę, kiedy główni bohaterowie przygotowują się do swego przełomowego występu. Tych podobieństw jest dużo więcej. Także z innymi filmami epoki. Fleck/Joker to też trochę Sonny z „Pieskiego popołudnia" (grał go Al Pacino) Sidneya Lumeta, a trochę Travis Bickle z „Taksówkarza" (zatem znów trop De Niro/Scorsese).

MARKSIZM DLA UBOGICH

O ile jednak bohater „Taksówkarza" sięgał po przemoc, by ponury świat naprawić, ze szlachetnych pobudek, o tyle bohater „Jokera" to ofiara okoliczności. Szybko się dowiadujemy, że Fleck zmaga się z chorobą psychiczną, gdy się denerwuje, dotykają go nieopanowane ataki śmiechu, łyka garściami rozmaite leki i stawia się na regularne konsultacje u opiekunki z ośrodka pomocy społecznej. Fleck jest chory, chory jest świat wokół niego, znikąd nadziei. Dlaczego? Lewicowi krytycy składają ręce do oklasków: to wstrętne społeczeństwo, nieczuła władza i odrażający bogacze odpowiadają za los

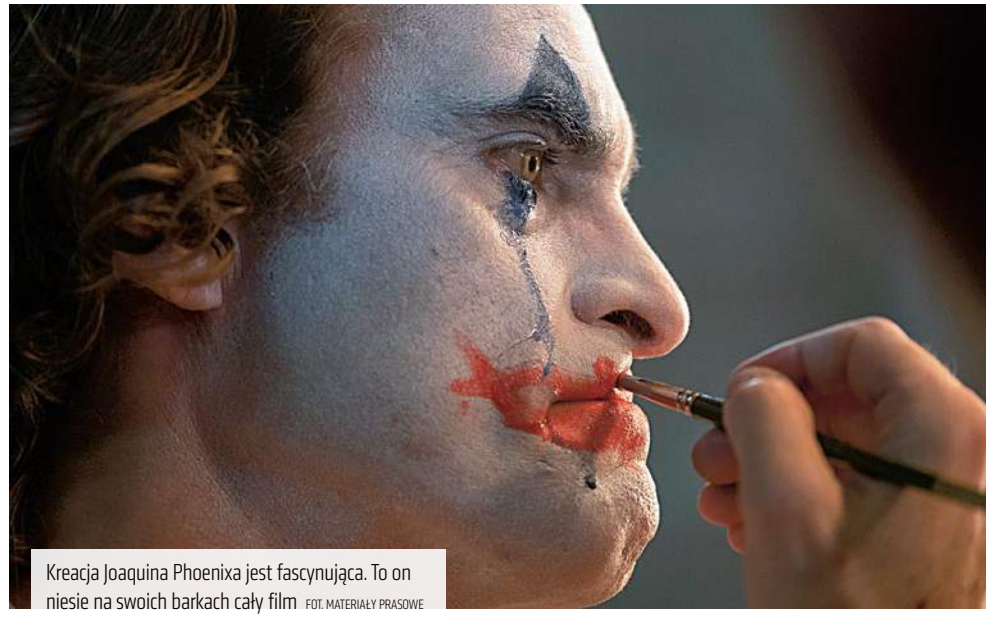

Kreacja Joaquina Phoenixa jest fascynująca. To on niesie na swoich barkach cały film FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jokera. Wszak „człowiek bardziej ku dobru dąży niż ku złu, tylko warunki nie pozwalają mu" – jak prawił Bertold Brecht. Winę za grzechy Jokera ponoszą inni.

To teza nieprawdziwa i niebezpieczna. Fleck/Joker staje się w filmie symbolem buntu uciskanych przeciw klasie rządzącej. Marksizm dla ubogich, na wątłych zresztą podstawach, bo gdybyż choć Joker był prześladowany, bo ukradł kawałek chleba. Nie. Powiedzmy wprost – to świr. Historię o jego niewinności jury festiwalu w Wenecji wyróżniło Złotymi Lwami. Cóż, nie mam wątpliwości, że gdyby prawdziwy tłum przyszedł wymierzać sprawiedliwość prawdziwym burżujom, to samochody i wille tych jurorów płonęłyby równie szybko jak wieżowce Trumpa. Łatwo być kawiorowym rewolucjonistą, pozostając za zasłoną z celuloidu. Rzeczywistość jednak skrzeczy: nie bez powodu amerykańska armia ostrzegła żołnierzy, by idąc do kina na „Jokera", zachowywali szczególną ostrożność. Na wpadek, gdyby jakiś uzbrojony psychopata chciał wymierzać sprawiedliwość społeczną, tak jak Fleck i jego naśladowcy w filmie Phillipsa.

SŁABO JAK NA ARCYDZIEŁO

Kreacja Joaquina Phoenixa jest fascynująca. To on niesie na swoich barkach cały film, bardziej jeszcze, niż ostatnio miało to miejsce w przypadku „Ad Astra" Jamesa Graya, w którym jedyną siłą przeprowadzającą widza przez wątłą fabułę jest Brad Pitt. W „Jokerze" też dzieje się niewiele: Fleck doznaje upokorzeń, które prowadzą go do odkrycia nowej drogi: przemoc go wyzwoli. Wytrawny artysta zrobi coś z niczego, więc mamy tu kilka momentów, które są pokazem aktorskiego geniuszu.

A jednocześnie, gdy porównujemy tę kreację z Jokerem Jacka Nicholsona z filmu „Batman" Tima Burtona czy rolą Heatha Ledgera w „Mrocznym rycerzu" Christophera Nolana, widzimy, że jest to mimo wszystko rola mniej ciekawa. Co było dotąd siłą tej postaci w komiksie i na ekranie? Joker był zawsze symbolem zła, które jest niewytłumaczalne, jak żywioł natury. Robił to, co chciał, bo chciał, a ścieżki, którymi chadzał jego chory umysł, były niezbadane. Pradawne zło, ciemna strona ludzkiej natury, spersonifikowana i niepokonana, bo zawsze powracająca, by znów czynić rzeczy straszliwe.

Joker w filmie Phillipsa to tylko ilustracja tezy, że jeśli będziemy bić dzieci i przywiązywać je do grzejnika, to nic dobrego z nich nie wyrośnie. Trochę słabo jak na arcydzieło, prawda? A tego słowa niektórzy używają. Bijmy brawo Phoenixowi za jego pracę, bo na to zasługuje. Jednak poza tym „Joker" to tylko zgrabna podróbka dobrego kina. W dodatku niemądra.

★★★☆☆☆
TODD PHILLIPS
„JOKER"
USA 2019

wyst. Joaquin Phoenix, Robert De Niro, Frances Conroy

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

Z Krzysztofem Jaroszyńskim, satyrykiem, reżyserem i producentem PR i TV
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Średniccy na falach eteru

TOMASZ Z. ZAPERT: Nie obawiał się pan powracać na antenę radiową z cyklicznym słuchowiskiem? Czas takich programów chyba przeminął wraz z rozwojem telenowel.

KRZYSZTOF JAROSZYŃSKI: Po pierwsze, to nie jest do końca takie pewne. Po drugie, dla typu humoru, który chcę zaprezentować, nie bardzo jest miejsce na szklanym ekranie. Obszar telewizyjnej satyry został niemal kompletnie zagospodarowany przez kabarety. Aby tam zaistnieć, trzeba być bardzo wyrazistym, mówiąc delikatnie. Tymczasem to, co pragnę zaproponować, jest raczej łagodne i dobrotliwe. To pełna ciepła humoreska obyczajowa, oparta na nieporozumieniach, kontrastach i pomyłkach. Trudno mi przypuszczać, żeby z „Rodziną Średnickich. Mały Świat 21" – bo tak audycja się nazywa, od nazwiska jej bohaterów – zaprzyjaźniła się publiczność gustująca w dość agresywnej formule telewizyjnej. Ufam, że przyciągnę do odbiorników osoby spragnione humoru subtelniejszego. Ludzi, których męczą kabaretony nafaszerowane bieżącymi sprawami społeczno-politycznymi.

Dawni słuchacze Trójki, do których się zaliczam, tęsknią za „Rodziną Poszepszyńskich" Macieja Zembatego, „Kocham pana, panie Sułku" Jacka Janczarskiego tudzież parodią Sienkiewiczowskiej „Trylogii" w interpretacji kabaretu Elita. Dlaczego radio na kilka dekad zarzuciło emisje seryjnych słuchowisk satyrycznych?

Na pewno cezurą dla rozrywki w radiowej Trójce stał się stan wojenny. Rozbił silną i wszechstronną ekipę satyryków związanych z Programem III Polskiego Radia. Niektórym „umundurowana władza" zabroniła wstępu do rozgłośni, inni w tym ponurym czasie sami zamilkli, względnie znaleźli nowe zajęcia, a wielu… bardzo wielu niestety odeszło przedwcześnie na zawsze. W latach 90. nastąpiła ogromna ekspansja telewizji komercyjnej, hołdującej rozrywce importowanej. Kupowano formaty programów popularnych na Zachodzie, produkując ich krajowe wersje. Z rozmaitym skutkiem. W końcu jednak moda – jak każda – zaczyna się przejadać. Przynajmniej niektórym. Pomyślałem zatem, że może pora na powrót do starych wypróbowanych wzorców humoru. Sympatycznego, bardziej wysmakowanego, osadzonego w naszych realiach. Taki był impuls powołania do życia „Rodziny Średnickich". Może po prostu mój temperament bardziej sprzyja wysublimowanej rozrywce radiowej niż agresywnej satyrze telewizyjnej. A może tylko się starzeję? Radio bardzo lubię, w Trójce debiutowałem i terminowałem jako autor.

U schyłku dekady „socjalizmu z ludzką twarzą towarzysza Gierka" po lekcjach w podstawówce gnałem do domu, by zdążyć posłuchać emitowanej o godz. 13 „Powtórki z rozrywki", w której m.in. słuchałem pańskich monologów.

Niewykluczone, że jeszcze kiedyś z „Dziennika trenera" oraz „Poradnika pedagoga" utkam książkę. Na razie jednak – dopóki sił, energii i inwencji wystarcza – zamierzam skoncentrować się na rzeczach nowych. To dla autora znacznie bardziej satysfakcjonujące od robienia remanentów.

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

Niegdyś sam miał pan kontakt z mikrofonem. Nie kusi, by zaistnieć w „Rodzinie Średnickich"? Choćby w charakterze narratora.

Scenariusz serii przypomina trochę podglądanie przez dziurkę od klucza czy raczej podsłuchiwanie sąsiadów, znajomych lub nieznajomych. Komentarz wydaje się zbyteczny. Prawdę powiedziawszy, nie jestem wielbicielem własnego głosu. Znacznie lepiej moje teksty wypowiadają aktorzy.

Pisał pan pod konkretnych?

Mam ulubionych aktorów komediowych, z którymi łatwo się dogaduję, toteż główne role małżonków Średnickich powierzyłem Hannie Śleszyńskiej oraz Pawłowi Wawrzeckiemu. Wiele lat pracowaliśmy wspólnie przy komediowym serialu telewizyjnym pt. „Daleko od noszy". Cieszy mnie niezmiernie, że przyjęli kolejną ofertę współpracy. Pisanie pod artystów zaprzyjaźnionych jest dla twórcy dużo łatwiejsze, gdyż zna ich poczucie humoru, charakter, dynamikę, sposób wypowiadania się...

eprasa.pl 4bfed2fe01

Ekstrawaganckiego sąsiada Emila gra zawsze znakomity Marian Opania, doskonale wypadający również na falach eteru. A młodzież występującą w słuchowisku wybrałem z listy – skądinąd stosunkowo krótkiej – podsuniętej mi przez dobrze zorientowanych w naszym narybku aktorskim.

W niemal każdym z odcinków „Daleko od noszy" pojawiał się, mówiąc po hollywoodzku, special guest star.

Bardzo bym chciał, żeby także odwiedzał „Rodzinę Średnickich", lecz najpierw trzeba – jak to się fachowo określa – sformatować ten projekt. Pierwsze odcinki – niespełna 20-minutowe – są pewnego rodzaju eksperymentem. Próbą dopasowania tego, czego najbardziej bym oczekiwał i czego oczekuje słuchacz. Dokładnego opisania charakteru głównych postaci. Dopiero kiedy zakorzenią się one w świadomości, radiosłuchacze je zaakceptują i – mam nadzieję – polubią, przyjdzie ewentualnie czas na rozszerzenie obsady.

Nazwisko bohaterów ma sugerować, że należą do przedstawicieli rodzimej middle class?

Oczywiście. Tutaj nie ma żadnych niedomówień. Umiejscowiłem akcję w środowisku przeciętnych, normalnych ludzi i chciałem, aby to się od razu słuchaczom narzucało. Co nie znaczy, że zwykli ludzie nie mogą mieć niezwykłych przygód…

Radionowele, choćby „Matysiakowie" czy „W Jezioranach", stanowiły zazwyczaj rezultat – że tak powiem – pracy kolektywnej…

Istotnie, na ogół za takimi przedsięwzięciami stoi zespół. Tym bardziej jest to wyzwanie dla mnie, na ogół działającego w pojedynkę. Regularność tej pracy mnie nie przeraża, jestem przyzwyczajony do pisania terminowego. Powiem więcej – konieczność poddania się rygorowi systematyczności nie tylko mi nie przeszkadza, lecz także samodyscyplinuje. Poza tym od lat funkcjonując w rozrywce, dorobiłem się pokaźnego archiwum, gdzie przechowuję najprzeróżniejsze projekty, pomysły, żarty, powiedzenia, bon moty nigdy albo nie w pełni wykorzystane. To w znacznym stopniu ułatwia mi teraz konstruowanie życiowych perypetii „Rodziny Średnickich".

W przeciwieństwie do telewizji mamy do wykorzystania jedynie dźwięk. W eterze jest za to wydatnie więcej przestrzeni dla wyobraźni niż na ekranie, gdzie wszystko mamy podane na tacy. Jakakolwiek by to była taca... Niepowtarzalny czar radia wyraża się i w tym, że każdy ze słuchaczy może inaczej postrzegać wykreowaną w studiu rzeczywistość. To jest właśnie magia i wielka zaleta radia.

Lejtmotyw muzyczny słuchowiska nawiązuje do Kabaretu Starszych Panów.

Autor oprawy muzycznej Zbigniew Stelmasiak wplótł do sygnału słuchowiska ułamek piosenki Jerzego Wasowskiego i Jeremiego Przybory „Rodzina, ach rodzina". Ufam, że ów wpadający w ucho cytat stanie się znakiem rozpoznawczym słuchowiska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Krzysztof Jaroszyński – satyryk od przeszło 40 lat. Karierę zawodową zaczynał w radiowej Trójce, gdzie m.in. pisał teksty dla legendarnego magazynu „60 minut na godzinę". W latach 1977–1992 współautor i wykonawca w kabarecie Pod Egidą. Scenarzysta popularnego sitcomu „Daleko od noszy". Premierowe odcinki słuchowiska „Rodzina Średnickich. Mały Świat 21" emitowane są w każdy czwartek o godz. 13 na antenie Programu III Polskiego Radia.

REKLAMA

Prestige MJM · UNITED TALENT AGENCY · REGENT WARSAW HOTEL · RMF Classic · wprost · Do Rzeczy · Gazeta Bankowa · T3 · WP · cgm.pl · STRÖER · VIXON · PRESS SERVICE · pap · TVS · TV Toruń · pro-art

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Co ksiądz ma pod sutanną

Bez przebieranek nasza kinematografia straciłaby wiele ze swego uroku. Za sanacji publika zaśmiewała się do łez, oglądając Dymszę w mundurze rosyjskiego policmajstra, Bodo w kostiumie amerykańskiej seksbomby „krajowego wyrobu" czy Smosarską w męskim garniturze i pod krawatem. Za komuny triumfy święcił Mikulski, na którym uniform oficera Abwehry leżał lepiej niż na prawdziwym Niemcu. Piekło transformacji umilał zaś Kondrat, podszywający się pod pułkownika Urzędu Bezpieczeństwa.

Gdyby film miał coś wspólnego z życiem, można by pomyśleć, że udawanie kogoś innego jest w Polsce postawą nader rozpowszechnioną. Wyobraźmy sobie ten koszmar: socjopaci podający się za polityków, politycy wcielający się w dziennikarzy, dziennikarze aspirujący do miana intelektualistów, o tchórzach zgrywających chojraków nie wspominając. I tylko największe ofermy, w rodzaju Piszczyka z „Zezowatego szczęścia", mogłyby się obawiać zdemaskowania. Reszta robiłaby kariery w stylu Nikodema Dyzmy, wierząc w słuszność porzekadła: „Kogo udajesz, takim się stajesz". Brrr!

Daniel, bohater „Bożego Ciała", robi za duchownego, choć w rzeczywistości jest chłopakiem z poprawczaka. Owszem, ponadprzeciętnie religijnym, ale żadne seminarium nie przyjęłoby kolesia z wyrokiem. „Każdy z nas może być kapłanem Chrystusa" – zapewnia ksiądz, opiekujący się wyrzutkami społeczeństwa. Gdyby wiedział, że zostanie zrozumiany dosłownie, może ugryzłby się w język.

Resocjalizacja przez pracę fizyczną na drugim końcu Polski mało uśmiecha się upadłemu młodzieńcowi. Przypadek, w postaci niedyspozycji miejscowego proboszcza, sprawia, że umiera Daniel, a rodzi się „ksiądz Tomek". I jak tu nie wierzyć, że szata tworzy człowieka? Impostor, ukrywszy tatuaże pod sutanną, coraz bardziej wczuwa się w rolę. Wygłasza poruszające kazania, śpiewa jak natchniony, zdradza talenty terapeuty. W odróżnieniu od poprzednika spróbuje zmierzyć się z traumą rodzin, które straciły bliskich w tragicznym wypadku. Przy okazji będzie musiał zetknąć się z lokalnymi układami („Proszę księdza, taki mamy tutaj klimat") oraz zajrzeć w głąb własnej, grzesznej duszy.

Wieści, że „Boże Ciało" płynie na antyklerykalnej fali, okazały się fałszywe. Komasa nie drwi z Kościoła ani z prowincjuszy (strach pomyśleć, co zrobiłaby z takim materiałem Szumowska!). Powściągnął temperament, którego erupcja zaszkodziła „Miastu 44" i – co najważniejsze – znalazł idealne medium w osobie Bartosza Bieleni. Nie wiem, czy będzie Oscar, serial i amerykański remake, lecz przenikliwe spojrzenie kapłana – samozwańca – zapamiętam na długo. ©℗

★★★★★☆

REŻ. JAN KOMASA
„BOŻE CIAŁO"
POLSKA 2019

wyst. Bartosz Bielenia, Eliza Rycembel, Aleksandra Konieczna

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „IKAR. LEGENDA MIETKA KOSZA"

Rak zabrał przedwcześnie utalentowanego artystę, którego postać przypomina w swym najnowszym filmie Maciej Pieprzyca. Kosz zmarł w roku 1973. Fani jazzu wiedzą, kto zacz, dla innych „Ikar" będzie niespodzianką. Jednocześnie z filmem ukazuje się książkowa biografia pianisty i kompozytora, którego u Pieprzycy zagrał koncertowo Dawid Ogrodnik. Brakującą muzykę zaś dopisał Leszek Możdżer. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Ikar. Legenda Mietka Kosza", reż. Maciej Pieprzyca, wyst. Dawid Ogrodnik, Cyprian Grabowski, Wiktoria Gorodeckaja, Polska 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Czarownica 2", reż. Joachim Rønning, USA 2019***
- ***„Zombieland: Kulki w łeb", reż. Ruben Fleischer, USA 2019***
- ***„Rzeka", reż. Emir Baigazin, Norwegia/Kazachstan 2018***
- ***„Portret kobiety w ogniu", reż. Céline Sciamma, Francja 2019***

eprasa.pl 4bfed2fe01

Obojętni barbarzyńcy

Rumuński szkielet wypada z szafy, lecz zdezorientowana publika nie wie, czy się śmiać, czy płakać. Oto młoda pani reżyser, impulsywna zarówno w pracy, jak i w życiu prywatnym, szykuje plenerowy spektakl o jednym z haniebnych epizodów II wojny światowej: masakrze Żydów z Odessy. Gdyby była Polką, ani chybi urządziłaby performance polegający na ponownym spaleniu stodoły z Jedwabnego. Na zapomnianą tragedię nakłada się wspomnienie przewrotu z 1989 r. Aktorzy – naturszczycy, biorący udział w artystycznej prowokacji, w większości dobrze się bawią. Osobnik narzekający, że rekonstrukcja ma „antyrumuński wydźwięk", nie znajdzie u nich posłuchu. Z obojętnością przyjmują też rzucanie w twarz „potomkom szlachetnych Rzymian i Daków" oskarżeń o współudział w niemieckich zbrodniach i stawianie pod pręgierzem marszałka Antonescu. Obiecane zderzenie z historią okaże się drobną stłuczką.

★★★☆☆☆
REŻ. RADU JUDE
„NIE OBCHODZI MNIE, CZY PRZEJDZIEMY DO HISTORII JAKO BARBARZYŃCY"
RUMUNIA 2019

wyst. Ioana Iacob, Alex Bogdan, Alexandru Dabija

Film ma dobre momenty, ale jest przydługi, podobnie jak jego tytuł, i nafaszerowany cytatami od Babla do Wittgensteina. Erudycyjne popisy zamiast wzmacniać, osłabiają przekaz. Radu Jude grzeszy brakiem odwagi. Jeśli faktycznie chciał wstrząsnąć sumieniem rodaków, to powinien wystąpić z otwartą przyłbicą, zamiast chować się za kobietą i formułą docudramy. Asekuranci nigdy świata nie podbiją. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CHYTRY DWA RAZY TRACI

★★★★☆☆
REŻ. NICK HAMM
„DESPERAT" („DRIVEN")
USA 2018, DYSTR. MONOLITH

wyst. Jason Sudeikis, Lee Pace, Judy Greer

Kolejna z modnych w ostatnim czasie przypowiastek, w których oszuści są sympatyczni, a stróże prawa antypatyczni. Jim Hoffman (Jason Sudeikis) to mały przekręciarz, przyłapany przez FBI na szmuglowaniu kokainy. Zmuszony do współpracy z biurem szuka grubych ryb, które mógłby wystawić żądnym awansu i pochwał agentom. Pada na Johna DeLoreana (świetny Lee Pace), projektanta samochodów (tak, to on stworzył auto, które udawało wehikuł czasu w „Powrocie do przyszłości"). Prowokacja staje się przedmiotem głośnej rozprawy sądowej, ale sam film jest najciekawszy, gdy mamy okazję porównać obu głównych bohaterów. Obaj to uroczy przekręciarze, choć na różną skalę. Hoffman ledwie wiąże koniec z końcem, DeLorean obraca setkami milionów dolarów. Zgadnijcie, komu ujdzie na sucho? Skromny film z niezłym aktorstwem, ale ma wadę: jest za mało drapieżny. Może to wina materiału wyjściowego – Hoffman i DeLorean to żadni królowie podziemia, ot, para gości, którym jakoś w życiu nie wyszło. ©℗

GORĄCZKA ARABSKIEJ NOCY

★★★☆☆☆
REŻ. GUY RITCHIE
„ALADYN" („ALADDIN")
USA 2019
DYSTR. GALAPAGOS

wyst. Mena Massoud, Will Smith, Naomi Scott

Nowa wersja klasycznej animacji Disneya z 1992 r. – wygładzona i politycznie poprawna. Jasmina ma ambicję, by zastąpić swego ojca sułtana, a nie jedynie by wyjść za mąż z miłości. Skąpe stroje zastąpiono sukniami, by nie uwłaczać paniom, z tegoż powodu tańczące animowane seksowne starletki zamieniły się w komputerowo zmultiplikowanego dżina. Cyfrowa animacja niestety zawodzi. To jakbyśmy oglądali przedstawienie teatralne, do którego dołożono tło z gry „Książę Persji". Na szczęście zostały piosenki z oryginału (w nowych aranżacjach) plus dołożono nową. Bardzo dobrze wypadło troje odtwórców głównych ról: Will Smith jako mieszkaniec lampy, Mena Massoud jako Aladyn i Naomi Scott, która jako Jasmina emanuje pięknem i arystokratyczną godnością. Do tego sekwencje taneczno-śpiewane w stylu Bollywood i przekonanie, że choć wszystko to ładnie wygląda, to chyba nie było potrzebne. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „THE LEGEND OF ZELDA: LINK'S AWAKENING"

★★★★★☆

Link, bohater serii „Zelda", to poza hydraulikiem Mario najpopularniejsza postać ze świata Nintendo, święcąca triumfy również na nowej konsoli firmy Switch. Po wydanej w 2017 r. fenomenalnej części „Breath of the Wild" przyszła pora na remake. Co ciekawe, deweloperzy nie wzięli na warsztat klasyków z epoki 8- i 16-bitowej, ale... „Link's Awakening" z Game Boya z monochromatyczną grafiką. Tytuł z 1993 r. był jednak tak ciekawie skonstruowany, pełny zagadek i różnorodnego krajobrazu wyspy Koholint – na której dzieje się akcja – że przeniesiono go niemal dosłownie w XXI w. Po latach nadal bawi. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Przygodowa/zręcznościowa*
- ***Platforma:*** *Switch*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Nintendo*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *7+*

eprasa.pl 4bfed2fe01

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ciut pijana koza

To już piąty tytuł z serii rozpoczętej siedem lat temu iście brawurową książką – „Pan Pierdziołka spadł ze stołka". Pan Pierdziołka recytuje w niej najróżniejsze wyliczanki, deklamuje wierszyki, podśpiewuje, nie zawsze cenzuralne, piosenki. Słowem, znakomicie czuje się w repertuarze dziecka, powiedziałbym, raczej nie najgrzeczniejszego. Małego łobuziaka po prostu.

W „Abecadle Pierdziołki" znajdziemy odpowiedzi na takie fundamentalne pytania jak np.: „I co? Zatkało kakao? Kakao nie zatyka, bo nie ma patyka". Nie brakuje dobrych rad w rodzaju: „Kto gra w karty, / ten ma łeb obdarty. / Kto gra dobrze, / temu nikt nie odrze". Wreszcie co niemiara mamy tutaj niebanalnych zgoła obserwacji, niekiedy abstrakcyjnych: „Raz kozie śmierć, / Rzekła koza ciut pijana, / No i wyszła za barana", innym znów razem dobrze oddających rzeczywistość szkół podstawowych: „Antek Szprycha jest na topie, / bo podglądał muchę w klopie. / Cała klasa mu zazdrości, że ma takie możliwości".

Jakby mało było inwencji własnej pomysłodawców i twórców całego cyklu, Tadeusza Zyska i Jana Grzegorczyka, autorzy sięgnęli też do klasyki, po wiersze Janiny Porazińskiej, Zofii Romanowiczówny, Magdaleny Samozwaniec i Jana Chylińskiego, a niektóre rymowanki zbudowali na podstawie utworów Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego i Aleksandra Fredry. Nie one jednak decydują o ogólnym obrazie prześmiesznego świata wynurzającego się z kart tej serii książek zilustrowanych przez Kasię Cerazy.

Kiedy czytam rymowankę o Ryszardzie Szurkowskim, natychmiast pamięć nasuwa mi tę samą, skądinąd upiorną, historyjkę z wcześniejszym

bohaterem Wyścigu Pokoju – Stanisławem Gazdą w roli głównej. A starsi ode mnie podkładają zapewne w tym miejscu jeszcze innego sławnego kolarza, też Stanisława – Królaka. W „Snach i tobołkach pana Pierdziołki" znalazłem czterowiersz: „Tylko palma margaryna / zrobi z ciebie Gagarina. /Raz, dwa, trzy / Gagarinem będziesz ty", który niemal automatycznie skojarzył mi się z inną, zapamiętaną z powieści Hanny Ożogowskiej („Dziewczyna i chłopak, czyli heca na czternaście fajerek") strofką: „Biełka, Striełka sobaka, pies, / Rakieta na Księżyc gotowa jest. / Kto chce jechać, niech nie pcha się, / Niech wykupi bilet w kasie".

Z komunistycznej prehistorii przychodzi mi jeszcze na myśl taki zgrabny dystych: „Wpadła mi do sedesu / Odznaka zetemesu" (dla młodych: ZMS – Związek Młodzieży Socjalistycznej).

Trudno jednak wyłącznie wywoływać duchy PRL-owskiej przeszłości, dlatego lepiej obśmiewać bardziej obojętne politycznie rymowanki, choć też z brodą, takie jak ta: „Moja ciocia z Ameryki / Ma samochód na guziki. / Jeździ na nim jak na krowie / i udaje pogotowie". Jeśli komuś się to nie podoba, to zawsze może rzecz spuentować znaną radą: „Nie do rymu, / nie do taktu. / Wsadź se… palec / do kontaktu". Ewentualnie – co już dodaję od siebie: „Nie do rytmu, / nie do sensu. / Wsadź se… palec / do kredensu".

Najważniejsze wydają się tu trzy kropki… W „Abecadle..." wierszyków wywołujących u rodziców chęć ukrycia książki przed pociechami akurat nie ma (no, prawie), najwięcej ich było w „W wiejskich gryzmołkach", gdzie mieliśmy i babę, która drugiej babie wsadziła grabie do… zupy, i bączka siedzącego w dupce, a potrafiącego latać po chałupce itd., itp. Ale co tam! „Srali muchy, będzie wiosna, / będzie lepiej trawa rosła. / Będą niosły się zapachy, / lepsze niż spod wujcia pachy".

Nie obrażajmy się na ten przaśny (?) niekiedy humorek; dzieciaki w równym stopniu interesują się wszystkimi sferami życia, a zakazanymi najbardziej. Swoją drogą, to z tamtej książeczki o panu Pierdziołce na wsi pochodzi mój ulubiony wierszyk Jana Grzegorczyka:

Supcio Dupcio
Ciele mele
Cztery baby przy kościele.
Niamcia ciamcia
W mieście Kielce
Cztery dziadki przy butelce.
Cimci rymci
Siusiał dudek,
Ty wypielisz dziś ogródek.

A żeby i feministki, którym nie zawsze podobają się wydawnicze propozycje Zyska i S-ki, usatysfakcjonował „Pan Pierdziołka", na koniec zostawiam utwór wierszowany „A mojej mamusi". Proszę bardzo!

A mojej mamusi
wiatr porwał sukienkę,
stoi w majtkach na polu
I wygląda pięknie.
A mojemu tacie
zdarli z tyłka gacie,
teraz ślicznie świeci
i tak straszy dzieci. ©℗

★★★★★★

PRACA ZBIOROWA „ABECADŁO PIERDZIOŁKI"
ZYSK I S-KA 2019

eprasa.pl 4bfed2fe01

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Na wyspach Bergamutach

Niemal tysiąc stron, niemal dwa tysiące haseł, ocean wyobraźni, morze cudowności, niezwykła książka. „Żadnych niebios ani piekieł, adresów z przyszłości ani spoza kuli ziemskiej" – objaśniają autorzy metodę, którą się kierowali, wybierając hasła do „Słownika miejsc wyobrażonych". Zatem od wyspy, na którą trafił Robinson Crusoe, czy fikcyjnych miejsc z geografii powieści Juliusza Verne'a aż do krainy z głowy Tolkiena czy jego pojętnego naśladowcy Guya Gavriela Kaya.

Miejsca wymyślone, ale nie dla samej frajdy wymyślania. Czytając o nich (oraz o obyczajach zamieszkujących je ludów lub bestii, hasła są obszerne), widzimy, jak użytecznym są zwierciadłem, gdy pisarz (lub filmowiec, bo i tacy tu są) zabiera się do rozprawiania o ludzkich słabościach, sięgając po zasłonę w postaci niedostępnej wyspy czy ukrytej przed naszym okiem zapomnianej doliny. W iluzję jeszcze głębiej wciągają nas specjalnie zamówione do tej książki mapy oraz ładnie stylizowane ilustracje. Kapitalna książka do wędrowania po przypadkowo otwartych stronach: wszędzie znajdziecie coś ciekawego, w każdym haśle paliwo dla myśli, a często ochotę natychmiastowego zaznajomienia się z dziełem, z którego kolejne miejsce pochodzi.

Jużem się ucieszył, że zza biurek europejskich i światowych znawców tematu widać też polskie nibylandie, ale okazało się, że tu wywiedziono nas w pole. Owszem, znajdziemy w „Słowniku" wyspę Nipu wymyśloną przez Krasickiego albo Szuflandię z filmu Machulskiego, nie wspominając już o Akademii Pana Kleksa. Nie jest to jednak dowód na szerokie uznanie, jakim cieszą się polscy twórcy krain fikcyjnych, lecz na skrupulatność polskich redaktorów, którzy dołożyli kilka haseł od siebie. Niby-dobrze, ale niedobrze, bo wolałbym się dowiedzieć, czy w ogóle coś z polskiej literatury bez tego wspomagania by zauważono. Odnoszę wrażenie, że nie, co smuci mnie niezmiernie, bo na przykład zapomnianych klasyków węgierskich (Tibora Déryego i Frigyesa Karinthyego) i ich kreacje panowie Manguel i Guadalupi dojrzeli.

Inna sprawa, że polscy pisarze zasługują jak najbardziej na własny podobny słownik. Pionierskie dzieła Pawła Dunin-Wąsowicza („Fantastyczny atlas Polski" chociażby) to obiecujący, ale jednak tylko początek. A kiedy już polskie bajlandie i neverlandy zgromadzimy, opiszemy (i efekt przełożymy!), to i zagraniczni skrybowie zauważą. ©℗

★★★★★☆

ALBERTO MANGUEL, GIANNI GUADALUPI „SŁOWNIK MIEJSC WYOBRAŻONYCH" PIW 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Ku pamięci i przestrodze. Nosząca podtytuł „Od beztroski do tragedii" książka to obficie ilustrowane kalendarium wydarzeń sprzed 80 lat, od śmierci Romana Dmowskiego do pierwszego Bożego Narodzenia pod okupacją niemiecką.

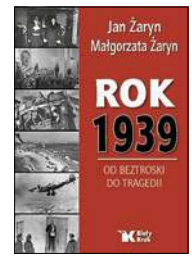

JAN ŻARYN, MAŁGORZATA ŻARYN „ROK 1939" BIAŁY KRUK

Wanda Boniszewska, Alicja Lenczewska, Wanda Malczewska, Maria Franciszka Kozłowska – portrety czterech niezwykłych postaci z polskiej historii. Nowa książka autorki biografii św. Faustyny i kard. Wyszyńskiego.

EWA K. CZACZKOWSKA „MISTYCZKI. HISTORIE KOBIET WYBRANYCH" ZNAK

Prawdziwa historia, barwna jak słynny serial – hrabina Carnarvon opowiada dzieje zamku Highclere, w którym kręcono nie tylko „Downton Abbey", lecz także komediowy serial „Jeeves i Wooster" na podstawie prozy P.G. Wodehouse'a.

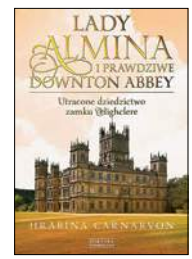

HRABINA CARNARVON „LADY ALMINA I PRAWDZIWE DOWNTON ABBEY" ZYSK I S-KA

Lata mijają, a Peter Robinson trzyma poziom – to jeden z najlepszych żyjących twórców kryminałów, a seria o inspektorze Banksiem doczekała się już 26 tomów. „Pod powierzchnią" to tom 24. Jeden z lepszych w cyklu. ©℗

poleca Piotr Gociek

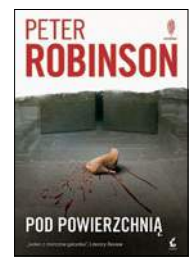

PETER ROBINSON „POD POWIERZCHNIĄ" SONIA DRAGA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Remigiusz Mróz „Wyrok" (Czwarta Strona) – dziesiąty tom serii z Joanną Chyłką w roli głównej, spopularyzowanej ostatnio wersją serialową TVN.***
2. ***Vi Keeland „Kusząca pomyłka" (Wydawnictwo Kobiece) – drań, w dodatku żonaty. I ona – jego asystentka. Nowa powieść popularnej autorki romansów.***
3. ***Stephen King „Instytut" (Albatros) – tajna placówka, obdarzone siłami parapsychicznymi dzieci i gliniarz z prowincji. Nowa powieść króla horroru.***
4. ***David Lagercrantz „Ta, która musi umrzeć" (Czarna Owca) – zamknięcie serii „Millennium" Stiega Larssona, już bez Larssona. Tom szósty.***
5. ***Christel Petitcollin „Jak mniej myśleć" (Wydawnictwo Feeria) – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych" – głosi podtytuł poradnika.***

(Najchętniej kupowane e-booki na Ebookpoint.pl we wrześniu 2019 r.)

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. WIKTOR FRANKO

Wczoraj, czyli retro

Stach Bukowski to jednocześnie nazwisko wokalisty (oraz perkusisty – chłopak i gra, i śpiewa) oraz nazwa zespołu, którego Stach jest frontmanem, któremu pisze teksty i komponuje muzykę. Oprócz niego w trio są jeszcze Agnieszka Kamińska (wokal, bas) oraz Robert Ostoja-Lniski (gitara). Młody zespół (stażem i wiekiem muzyków) podpisał niedawno kontrakt z warszawską wytwórnią Fonobo Label, rozpoczął pracę nad debiutanckim albumem i zaprezentował pierwszy singiel („Lew") z promującym go teledyskiem. A na nim: winyle, przenośny telewizorek, kamera na kasety, wieża, Pegasus… Słowem kolorowe lata 90.

Ostatnia dekada XX i początek XXI w. są inspiracją dla muzyków. „Tworzą z rockandrollowym polotem i mają ucho do chwytliwych melodii" – piszą o sobie bez wielkiej przesady. Grając na nostalgicznej nucie, zbliżając się i w swojej muzyce, i stylizacjach do tamtych lat, potrafili się na dzisiejszym polskim rynku muzycznym wyróżnić, zwrócić na siebie uwagę jeszcze przed debiutem płytowym. Swoje brzmienie określają jako vintage, Stach Bukowski „gra rocka, ale inspiruje się również muzyką klasyczną, rapem i polskim big beatem". I te inspiracje w melodyjnym, przesterowanym „Lwie" słychać.

Słowo vintage różnie można rozumieć. „Młody zespół z Olsztyna zakochany w muzyce retro, wychowany na piosenkach Zbigniewa Wodeckiego, Alicji Majewskiej i Anny Jantar. Gra rocka, ale inspiruje się również muzyką klasyczną, rapem i polskim big beatem" – reklamują się. Na takie zestawienie mogli pokusić się tylko młodzi ludzie. Wodecki retro? Przecież nie tak dawno dał taki fajny koncert w...

A nie, czekaj... Kiedy to było? Wodecki retro? Cóż, chyba najwyższy czas się z tym pogodzić. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

W poprzek

Po świetnym debiucie („Wilczy humor") teraz Jarek Jaruszewski „Bisz" (tekst) i Radek Łukasiewicz „Radex" (muzyka) ruszyli na wojnę z otaczającym ich światem.

„Bisz" nie bawi się w doraźną politykę, lecz koncentruje się na piętnowaniu bezrozumnych postaw stadnych. Na jego celowniku są: kultura masowa („Gdy cały świat się odchudza, może to dobrze, gdy coś ma swoją wagę"), cyfrowe uzależnienie („Twój smartfon o wiele szybszy jest niż ty / Ma więcej megapikseli niż życie"), fanatyzm („Nad mętnymi wywodami duch unosi się dumą / Pięść w górze jak pochodnia, nie ma dumy bez ognia")… To, co atakuje, określa mianem kulturalnej okupacji.

„Bisz" jest wśród raperów jednym z najlepiej żonglujących słowem i znających polszczyznę. Utwór „Pokaż mi język" powstał z myślą o kampanii poświęconej odpowiedzialnemu użyciu języka w sferze publicznej („Słowo to niewinne wspólne dobro / A bywa podkładaną świnią, bombą / Gdy polskość niezgody więźnie w gardle / Ja bardzo przepraszam, pozwól, że odkaszlnę").

„Bisz" i „Radex" nie ścigają się ze światowymi produkcjami. Zamiast wydumanych bitów i elektronicznych ulepszaczy w ich utworach znajdziemy piosenkowe melodie i niehiphopowe instrumentarium (fortepian, gitarę akustyczną). Muzycznie może nie jest to wielce ambitna propozycja, ale jako całość album zmusza do refleksji. ©℗

★★★★★☆

BISZ / RADEX
„DUCH OPORU"
PCHAMYTENSYF.PL

★★★★★☆

ANGEL OLSEN
„ALL MIRRORS"
JAGUWAR

Amerykańska artystka na czwartym albumie połączyła ekspresyjny wokal z diabolicznymi orkiestrowymi aranżacjami. Śpiewa w różnych rejestrach i wykorzystuje odległe inspiracje od popowego A-ha przez Beatlesów do awangardowego Johna Cale'a.

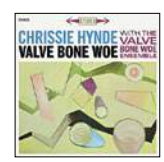

★★★★☆☆

CHRISSIE HYNDE
„VALVE BONE WOE"
BMG

Nowofalowa rebeliantka i liderka Pretenders wydała orkiestrowy album jazzowy. Jako „pobożna piosenkarka rockowa" nagrała 14 coverów jazzowych (m.in. Dimitriego Tiomkina, Johna Coltrane'a) i rockowych (Beach Boys, Nick Drake, The Kinks). ©℗

eprasa.pl 4bfed2fe01

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Poziom 590

Pojechałem sobie na Kongres 590 do Rzeszowa. Chciałem zobaczyć, jak to wygląda, a poza tym lubię Rzeszów. I powiem wam, że kongres robi wrażenie. Zwłaszcza na kimś takim jak ja, kto – jako dziennikarz – spędził kiedyś setki godzin na różnych prawicowych spędach, nudząc się na nich niemiłosiernie.

Wszystko, co prawicowe, bardzo długo miało w Polsce specyficzny sznyt. Kongresy, zjazdy, zloty i konwenty miały jeden wspólny mianownik, który określiłbym mianem zgrzebnego patriotyzmu. Było dużo flag, ryngrafów i orłów, było wielu wąsatych facetów w bardzo źle skrojonych garniturach. Był patos, a nawet kosynierzy w sukmanach. Był często śpiewany „Mazurek Dąbrowskiego", choć rzadko kiedy więcej niż dwie zwrotki. Wszystko zaś było niedoświetlone i takie trochę niedomyte jak sklepy WSS Społem.

Łukasz Oprawski, który organizuje Kongresy 590, opowiadał mi, że na początku dostał tylko jedną wskazówkę: „Nie wzorować się na dotychczas organizowanych tego typu imprezach prawicowych, żeby kongres nie był przegadany". I zdecydowanie nie jest. Jest natomiast imponujący. Stanowiące tło dla mówców ekrany mają powierzchnię boiska do koszykówki, a wysoko pod sufitem gali śmiga po specjalnej instalacji kamera, podobna do tej, które fruwają na meczach Ligi Mistrzów UEFA.

Rewolucja estetyczna, którą przeżyła polska prawica, jest chyba głównym kluczem do jej sukcesów. W rządach PiS do wielu, a nawet bardzo wielu rzeczy można by się przyczepić. Podobnie jak do wielu polityków. Jednak, kiedy się obserwuje kampanię PiS, to nie sposób odmówić narracji tej formacji spójności, konsekwencji, efektowności i pomysłowości. I nowoczesności. Ktoś powie: łatwo to osiągnąć, za pieniądze można osiągnąć wszystko. Ale przecież PO też ma pieniądze, stać ich na wynajmowanie zagranicznych agencji. A jednak ich komunikacja odstaje, a czasami razi ową zgrzebnością. Wygląda to, jakby liberałowie i konserwatyści wymienili się w Polsce miejscami. Jakby pierwsi zapomnieli to, co kiedyś potrafili, a drudzy przyłożyli się do tego, co było kiedyś ich piętą achillesową.

Jarosław Kaczyński ma opinię człowieka, który nie ufa młodym ludziom. Ale w kwestiach politycznego marketingu czy szerzej: narracji i estetyki zdał się właśnie na młodziaków. Odsunął od tego dawnych opozycjonistów z podziemia i kumpli z PC, postawił na „przedszkolaków", którzy jeżdżą do Ameryki, żeby podglądać najlepszych, nadążają za trendami i robią kampanie, o których inni mogą tylko pomarzyć. I tak, to jest ten facet, który nie ma prawa jazdy, smartfona i podobno nie rozumie nowoczesnego świata. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Dola idola

Wbrew pozorom między artystą sceny a politycznym celebrytą istnieją znaczne podobieństwa. Podobnie są zazdrośni o sławę i często nie wiedzą, kiedy należy zejść ze sceny. A przecież przychodzi taki moment, kiedy wielkość zmienia się w tandetę, a popularność w żałosną śmieszność.

Wielu domorosłych psychologów zajmujących się Lechem Wałęsą zastanawia się, jak bohater ich młodości – wyśniony sen polskiego inteligenta o uosabiającym wszelkie cnoty robotniku – mógł upaść tak nisko? Osobiście podejrzewam, że nie lęki przed teczką „Bolka" były tu najważniejsze. Ale zazdrość.

Dopóki zapraszano go na wykłady w świecie, dopóty jakoś szło. Przestało!

Zawiść o miejsce w świadomości Polaków, w historii. A także o jej wymierne efekty w życiu doczesnym. Nieważne, że był marnym prezydentem i jeszcze gorszym politykiem.

Dopóki zapraszano go na wykłady w świecie, gdzie mógł do znudzenia prawić, jak to samojeden obalił komunizm, dopóty jakoś szło. Przestało! Toteż nieprzypadkowo nieskrywaną wściekłość kieruje ku ludziom, którzy nie tylko są jego przeciwieństwem, lecz także kawałek po kawałku spychają go z cokołu, na którym, wydawało się, ma miejsce zaklepane na wiek wieków. W świecie obsesji Wałęsy Anna Walentynowicz ukradła mu mit solidarności uczciwej, Lech Kaczyński prezydenta z wizją, Jan Olszewski premiera przełomu, a Kornel Morawiecki działacza niezłomnego i nieulękłego. I jak z tym żyć?

Opowiadano mi o pewnym wielkim artyście, do furii doprowadzanym przez młodego halabardnika, który miał w sztuce jedną kwestię i dostawał za nią brawa. Nieważne, że wielki aktor błyszczał przez całe trzy akty dramatu. Nie mógł darować tych 30 cudzych sekund. Odwracał uwagę, kasłał, prychał, potykał się, żeby tylko zagłuszyć adepta. Często mu się udawało. Lech Wałęsa nie jest jednak wielkim aktorem. Miał swoje pięć, a może 15 minut, o których wspomnienie sam skutecznie zadeptał. Gdyby zginął na początku swej prezydentury (tu przypomina mi się film „Gracze" Janka Purzyckiego) albo przynajmniej siedział cicho na emeryturze i łowił ryby, nikt nie ruszyłby jego przyszłych pomników, a „Bolek" fascynowałby wyłącznie archiwistów. Niestety, bredząc i plotąc trzy po trzy, kompromitując się przy każdej okazji, srodze napracował się nad autodestrukcją. I chyba się udało. Nawet ci (skądinąd od zawsze jego wrogowie), którzy wykorzystywali go dla swoich celów, zorientowali się, że przynosi więcej strat niż zysków. Nawet jako surowiec wtórny. ©℗

eprasa.pl 4bfed2fe01

Grzegorz Kucharczyk

Prymas kontrrewolucjonista

Mający wkrótce zostać beatyfikowany kard. Stefan Wyszyński walczył z rewolucją. Jego wiekopomną zasługą jest to, że Kościół w Polsce nie doświadczył podobnego do zachodniego kataklizmu

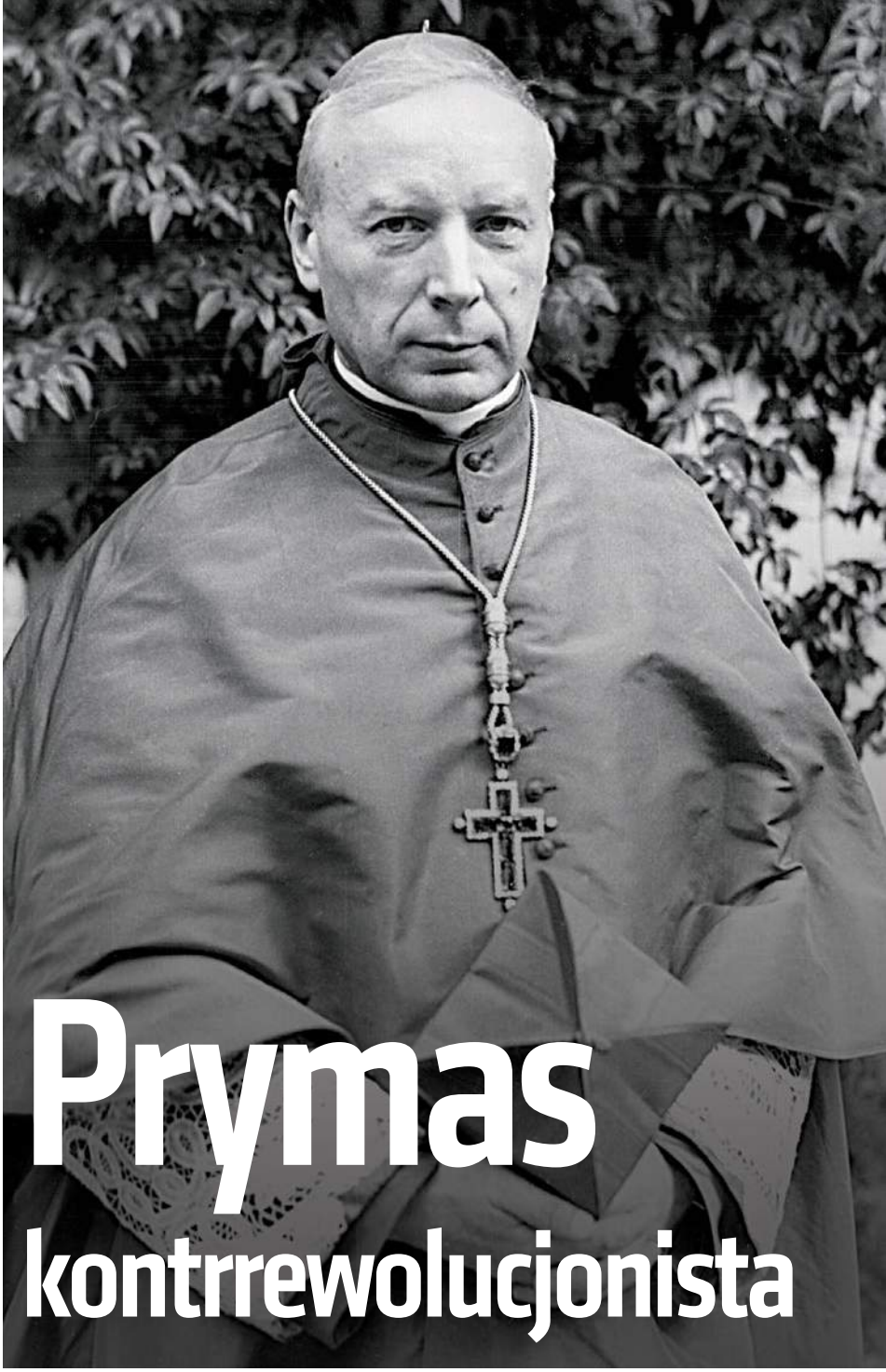

FOT. FRIEDRICH/INTERFOTO/FORUM

W swoim testamencie prymas Polski, kard. Stefan Wyszyński, tak opisał istotę swojego ponadtrzydziestoletniego posługiwania na arcybiskupich stolicach w Warszawie i Gnieźnie: „Chciałem obronić Kościół przed zaprogramowaną ateizacją [...], przed nienawiścią społeczną [...], przed rozwiązłością". Ateizacja, nienawiść społeczna i rozwiązłość to imiona kolejnych emanacji rewolucji, która wyrósłszy z marksistowskiego korzenia, najpierw kolbą sowieckiego sołdata, a następnie przez zwycięski marsz „pokolenia '68" miała być (w tym ostatnim wypadku można nawet powiedzieć, że ciągle ma być) przeprowadzona w Polsce. To, że propagatorzy współczesnych form rewolucyjnej zarazy nie mają u nas tak łatwo jak wcześniej w innych krajach upadającej christianitas, to wielka zasługa Prymasa Tysiąclecia.

Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej ks. Stefan Wyszyński dał się poznać jako wybitny znawca katolickiej nauki społecznej. Do 1939 r. ukazało się w prasie katolickiej (także o profilu naukowym) ponad sto jego publikacji poświęconych temu zagadnieniu. Wiele z nich wprost odnosiło się do sowieckiego komunizmu, analizowanego przez ks. Wyszyńskiego nie tylko przez pryzmat prowadzonej przez bolszewików bezwzględnej walki z Bogiem, lecz także w kontekście narzuconego milionom ludzi kolektywizmu gospodarczego, tłamszącego wolność jednostek i całych grup społecznych.

GROŹBA ZNIEWOLENIA

Już jako prymas Polski, gdy nad naszym krajem zaległa najczarniejsza noc komunizmu w wersji stalinowskiej, Stefan Wyszyński nie wahał się upomnieć w 1952 r. z wysokości jasnogórskich wałów: „Przypominamy prawa człowieka: prawo do bytu i życia, prawo do Boga, prawo do prawdy, prawo do myślenia! Przypominamy prawa rodziny: prawo do wolności, wyboru stanu, powołania, pokoju domowego, prawo do własności, prawo do wychowania dzieci i do wyboru szkoły!".

Tych wszystkich praw rewolucja narzucana przez komunistyczny reżim chciała Polaków pozbawić. Zacytowane słowa prymas wypowiedział w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, 15 sierpnia 1952 r., a więc gdy od niespełna miesiąca obowiązywała stalinowska konstytucja PRL, dokument zawierający cały katalog praw obywatelskich „o ile nie naruszają one socjalistycznych fundamentów państwa". Takiego zastrzeżenia prymas nie uznawał.

Od twardego „non possumus" w 1953 r. poprzez Jasnogórskie Śluby Narodu w 1956 r., Wielką Nowennę do obchodów Milluennium chrztu Polski w 1966 r. czynił prymas naród polski „narodem przykościelnym" (R. Legutko) i dzięki temu przetrwaliśmy jako wspólnota narodowa („naród ochrzczony", jak powtarzał prymas) komunistyczną rewolucję dokonywaną pod szyldem „budowania nowej, socjalistycznej Polski".

eprasa.pl 4bfed2fe01

Mniej jest zaś znany prymas Wyszyński jako przenikliwy obserwator społecznego fenomenu, produktu komunistycznej inżynierii społecznej, znanego jako homo sovieticus. Czas spędzony w komunistycznym więzieniu (1953–1956) dostarczył prymasowi także pod tym względem ciekawego materiału badawczego. Obserwując zachowanie dozorujących go ubeków, notował w swoich „Zapiskach więziennych": „Lenistwo i nieróbstwo tych ludzi nas zdumiewało. […] Patrząc na nich, można było przesądzać o przyszłości ustroju, jeżeli wśród tej »reprezentacyjnej ekipy« do zadań specjalnych znalazło się tylu leniów i nierobów, to jakże muszą wyglądać inni ludzie? To są przecież poszukiwacze łatwych dróg i wygodnego życia. Któż z nich zna dobrze doktrynę marksizmu? A kto w nią wierzy? Bodaj czy nie ja jeden w tym domu przestudiowałem »Kapitał« trzy razy, zaczynając jeszcze w Seminarium!" (19 kwietnia 1954 r.).

Po upływie niemal ćwierćwiecza od napisania tych słów kard. Wyszyński – w apogeum tzw. gierkowskiej stabilizacji – nie zmienił ani na jotę swojego zdania co do marksizmu. W 1977 r. stwierdzał, że „ujawnia się pełna nieudolność tej doktryny i okazuje się, że marksizm właściwie odbudowuje kapitalizm, uzależniając człowieka od systemu produkcji, a więc ponownie zniewolniczając go". Jakby opisywał implementację w Polsce postkomunizmu na skutek realizowanej w pierwszych latach po 1989 r. tzw. transformacji.

NIE STAĆ NAS NA REWOLUCJĘ

W czasie, gdy wzmaga się szturm różnobarwnej zarazy, warto również przypomnieć słowa przestrogi Prymasa Tysiąclecia przeciw nowemu awatarowi rewolucyjnej awangardy, którym było „pokolenie '68". W liście na Wielki Post 1970 r. adresowanym do wiernych i duchowieństwa archidiecezji warszawskiej kard. Wyszyński napisał: „Zrodziło się na świecie potężne liczebnie pokolenie »synów kłamstwa«. Zasiewają oni wszędzie ducha zwątpienia, negacji, chorobliwego krytycyzmu, który wszystko chce obalić, chociaż nie wie, co ma budować i jak to czynić. […] Nie dopuśćmy do progów domowych i ojczystych ducha społecznego nieładu, nieufności wobec Kościoła i jego powagi, burzącej gadaniny, która jest straszną chorobą dusz i pychą umysłów. […] Brońmy przed tym nieładem naszą młodzież i Naród. Jeżeli pozwalają sobie na anarchię inne narody, dostatnie, nie wiedząc, co robić z czasem i pieniędzmi, to jest ich sprawa. Ale nas na to nie stać! Jesteśmy Narodem odbudowującym się po latach niewoli i zniszczenia. […] Nie możemy ulegać propagandzie ludzi owładniętych pychą umysłów, zbytnią pewnością siebie, zmiennych przekonań i własnych sposobów »zbawiania« świata. Nie wszystko, co czyni młodzież za granicą, ma naśladować młodzież polska".

W tym samym liście prymas zauważał, że „nie wszystko również, co podejmują kapłani za granicą, nadaje się u nas do naśladowania". To w najkrótszy sposób opisuje stosunek kard. Wyszyńskiego do fali rewolucyjnej destrukcji, która uderzyła w Kościoły na Zachodzie pod pretekstem „wcielania w życie reform soborowych". Tak zwany duch soboru – o mocno siarczystym zapachu – dokonywał od drugiej połowy lat 60. ubiegłego wieku prawdziwego dzieła zniszczenia: pustoszały seminaria, domy zakonne, w gruzach legła odwieczna święta liturgia. Jak pokazał opór wobec encykliki „Humanae vitae" (1968), doszło do faktycznego wypowiedzenia posłuszeństwa Magisterium Kościoła przez większość Kościołów partykularnych.

To, że Kościół w Polsce nie doświadczył podobnego kataklizmu, jest wiekopomną zasługą Prymasa Tysiąclecia. Miał on bowiem własną wizję „soborowej odnowy", którą konsekwentnie realizował nad Wisłą. W 1970 r. pisał: „Dążąc do odnowy soborowej, trzeba pamiętać, że prawdziwa odnowa to nie tyle nowość, co świętość w duchu Chrystusowym, to zaczynanie od uświęcania samego siebie […]. Odnowa soborowa to nie parawan, zza którego można wygłaszać niepoczytalne hasła mętnej reformy. To nie jest niekończący się dialog, za którym kryją się niechęć do pracy, wysiłku i ofiary, gadulstwo bez pogłębionej wiedzy i pozytywnego programu, duch sprzeciwu i nieposłuszeństwa".

Po powrocie z III sesji soboru kard. Wyszyński w przemówieniu do kleryków podkreślał, że „polonizacja mszału łacińskiego nie jest dla nas sprawą najpilniejszą […] istota rzeczy nie na tym polega. Nie trzeba przestawiać ciężaru gatunkowego. Idzie o to, aby się ludzie modlili, aby się chcieli modlić, a zagadnieniem drugorzędnym jest, w jakim języku będą to czynić".

Od inteligencji katolickiej zaś prymas oczekiwał, by pamiętała, że tak bardzo forsowany po soborze watykańskim II „postęp w Kościele" nie jest „bezpłodną, ustawiczną dyskusją, produkcją słów, gonieniem za nowością, zmianą, podważaniem wszystkiego, co było i jest", ale postępem w dochodzeniu do „osobistej świętości". Przestrzegał przed „szarpaniem więzi z Bogiem i Kościołem w duszach braci gadulstwem i wątpieniem" i nawoływał do „nawiązywania tych więzi przez modlitwę, żal za grzechy nieprawdy, przez spowiedź, pokorne uznanie popełnionych błędów" (list na Wielki Post 1970 r.).

„HOBBY" TZW. OTWARTYCH KATOLIKÓW

Można uznać te słowa za polemikę ze środowiskami tzw. otwartego katolicyzmu skupionymi wokół „Tygodnika Powszechnego" i „Więzi". Już wcześniej dystansowały się one od programu Wielkiej Nowenny i obchodów Millennium jako „zbyt maryjnych", a nawet „odwołujących się do endeckich tradycji". Po Vaticanum II doszedł nowy zarzut pod adresem prymasa: wstrzymywanie „implementacji w Polsce reform soborowych". Jak celnie zauważył na początku 1969 r. w swoich „Dziennikach" Stefan Kisielewski, pisząc o swoich kolegach z „Tygodnika Powszechnego": „Mają w głowie tylko… walkę z prymasem o reformę Kościoła, przy czym są tak rozżarci, że mówią o prymasie dosłownie ostatnimi słowami. […] Ci idioci uważają się niemal za książąt Kościoła i nie mają teraz większych zmartwień, jak tylko owe reformy, które tyczą się może świata zachodniego, ale nie nas, bo tutaj głupkowaty moloch komunizmu przytłacza wszystko, a wszelkie dyskusje soborowo-reformatorskie toczą się wobec marksistowskiej klaki, zainteresowanej w tym, aby katolicyzm był jak najmniej intensywny, jak najbardziej rozwodniony przez »liberalizację«. Nie wiedzą, gdzie żyją, mają tylko swoje »hobby«: za dobrze im się kretynom wiedzie".

Do tego grona dołączył po paru latach Adam Michnik, który w swojej książce „Kościół, lewica, dialog" (1976) porównał wezwania prymasa do rozumienia „odnowy soborowej" jako pogoni za świętością, a nie za nowością, do PZPR-owskiej propagandy pełnej „ogólnych inwektyw". Taka to dialektyka – z jednej strony piętnowanie „antykościelnego obskurantyzmu lewicy" (o czym w książce dużo), z drugiej – zestawianie prymasa Polski z komunistycznym betonem.

Kardynał Stefan Wyszyński walczył z rewolucją. Nie tylko ostrzegając, lecz także – co najważniejsze – pracując na rzecz przeciwieństwa rewolucji. Taki sens miało jego konsekwentne umacnianie wspólnoty ochrzczonego narodu i Kościoła naprawdę wierzącego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

Mikołaj Iwanow

Kornel Morawiecki rozumiał, że warunkiem upadku komunizmu w Polsce jest upadek komunizmu sowieckiego

Kornel Morawiecki i Mikołaj Iwanow przy płycie pamiątkowej Natalii Gorbaniewskiej na budynku wrocławskiego ratusza, 2017 r.

FOT. ARCHIWUM MIKOŁAJA IWANOWA

Nasz Kornel

Był człowiekiem niezwykłym, niepasującym do dzisiejszości. Przypominał czasem XIX-wiecznego myśliciela, rewolucjonistę z kręgu Ludwika Waryńskiego czy młodego Piłsudskiego, opętanego ideą uszczęśliwienia ludzkości. W naszych długich nocnych rozmowach przejawiał się jako niezłomny wojownik, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych. Był prawdziwym polskim patriotą, ale jego patriotyzm był szczególnego rodzaju, oparty na wielkim szacunku dla innych narodów. Nie był kresowiakiem, ale miał w swej duszy głęboko zakorzeniony podziw dla Rzeczypospolitej wielu narodów. Chciał, aby wspólna demokratyczna Europa, oparta na wartościach chrześcijańskich, obejmowała narody od Lizbony do Władywostoku. Był przekonany, że „putinizm" to dla Rosji zjawisko chwilowe, że prędzej czy później Rosjanie dołączą do demokratycznych narodów Europy. U wielu wywoływał niesmak, kiedy mówił o Rosji jako możliwym członku Unii Europejskiej.

UPADEK SOWIETÓW

Kornel był jednym z nielicznych polskich działaczy opozycyjnych, którzy rozumieli, że warunkiem upadku polskiego komunizmu jest upadek komunizmu sowieckiego. Dlatego stworzona przez niego Solidarność Walcząca jako jeden z priorytetów swej działalności wyznaczyła od samego początku również prace na tzw. odcinku sowieckim. W dużej Solidarności był on jednym z nielicznych działaczy, który od początku stawiał sprawę jasno: Solidarność nie będzie w stanie zwyciężyć dopóty, dopóki nie upadnie komunizm w Moskwie. Dlatego jeszcze przed powstaniem Solidarności Walczącej Kornel Morawiecki zdecydowanie chciał przekroczyć granice PRL i walczyć z komuną również na jej własnym terenie, na terytorium ówczesnego Związku Sowieckiego. Ta idea łączyła go ściśle z sowieckimi decydentami wszystkich narodowości. Natalja Gorbaniewska, legenda sowieckiej opozycji, organizatorka manifestacji na pl. Czerwonym przeciwko agresji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w 1968 r., nazywała go „mój Kornel".

Z sowieckimi antykomunistami jego Solidarność Walcząca zaczęła współpracować jeszcze w czasach stanu wojennego. Nie przypadkiem Gorbaniewska mówiła o nim: „Kornel uosabiał sobą polską walkę z komuną. Kiedy myślę o Polsce, myślę przede wszystkim o Kornelu i jego ludziach". Inna legenda walki z komunizmem sowieckim, bliski przyjaciel Kornela Władimir Bukowski, na wieść o śmierci swego polskiego przyjaciela napisał do mnie: „Dla nas, sowieckich i rosyjskich opozycjonistów, był jakby swoim Polakiem. Prawdopodobnie jak nikt inny w Polsce rozumiał istotę naszej walki z komunizmem. Wierzył w nieuniknioną przyszłą przyjaźń narodów Rosji i Polski. Zawsze mi mówił: Putiny przychodzą i odchodzą, a narody tak bliskie sobie pozostają. Był prawdziwym uosobieniem słynnego hasła »Za naszą i waszą wolność«".

Inny słynny przywódca demokratyczny, lider opozycji białoruskiej, laureat Nagrody Parlamentu Europejskiego „O Wolność Myśli", Aleksander Milinkiewicz, na wieść o śmierci Kornela napisał: „Wielka postać współczesnej historii Polski. Prawdziwa legenda i bohater, zawsze wierny swoim ideałom.

eprasa.pl 4bfed2fe01

Był dla mnie człowiekiem Wolności i Solidarności. Bezkompromisowy, szczery i prawdziwy patriota. Lubiłem z nim rozmawiać i dyskutować, umiał słuchać jak mało kto. To zawsze była wielka szkoła dla mnie, nie tyle polityki, ile odpowiedzialności obywatelskiej. Był otwarty i nieobojętny, zawsze się ciekawił sytuacją na Białorusi. Lubił powtarzać, że musimy mimo wszystko walczyć o wolność i prawdę, bo inaczej życie traci sens. Mówił: »Często nie spodziewaliśmy się, że zwyciężymy. Traktowaliśmy naszą działalność jako sprawę honoru. Wolności się nie wyprosi, ją trzeba wywalczyć. To, co nam się wydawało nierealne, stało się. I u was będzie tak samo«".

W moim życiu był okres, kiedy pracowałem z Kornelem bardzo blisko, spędzałem z nim całe dnie, godzinami wysłuchiwałem jego opowieści o Polsce i Polakach, sam opowiadałem mu o tragicznej historii Rosji, o walce sowieckich dysydentów przeciwko komunizmowi, o niezwykłej mozaice narodowościowej tego kraju, jego przyrodzie, jego ludziach. Był on również pierwszym słuchaczem moich opowiadań o ludobójstwie Polaków w Związku Sowieckim w latach 1937–1938, kiedy przestępczy reżim stalinowski wymordował prawie 200 tys. Polaków. Był to rok 1985, Kornel ukrywał się, ja miałem z nim sporadyczne kontakty raz na kilka miesięcy. Jednego wieczora zaprosił mnie na herbatkę kolega sąsiad Stanisław Haremza, lekarz anestezjolog ze szpitala kolejowego. Siedzimy, popijamy „czaj", raptem wchodzi Kornel. Okazało się, że mieszkanie Stasia przy pl. Wolności 9 tuż nad mieszkaniem moich teściów, gdzie mieszkam razem z żoną i synkiem, stało się kolejną czasową kryjówką Kornela. Kornel przebywał tam z przerwami około dwóch miesięcy. Siedziba SB znajdowała po drugiej stronie ulicy i z okna mieszkania Haremzów Kornel codziennie obserwował, jak spod budynku bezpieki wyjeżdżały samochody. Na parapecie pokoju (Haremzowie udostępnili Kornelowi swój najlepszy pokój) znajdowała się aparatura podsłuchowa, nagrywająca radiowe rozmowy funkcjonariuszy. Pracując z Kornelem w podobnej sytuacji, miałem wrażenie, że on w ogóle nie zwraca uwagi na te rozmowy. Jedynie gdy z głośników leciało coś niepokojącego, Kornel obracał się w stronę aparatury. Na jego twarzy malowało się zmartwienie… Działo się tak jednak wyjątkowo rzadko.

SOLIDARYZM

Wtedy właśnie po raz pierwszy poznałem do głębi credo polityczne Kornela. Sporo teoretyzował na temat zupełnie nowego, opartego na polskich tradycjach narodowych i zasadach sprawiedliwości społecznej ustroju państwowego o nazwie „solidaryzm". Teoretyczne podstawy solidaryzmu planował opisać w książce. W końcu po latach wydał na ten temat jedynie broszurę. Nigdy nie miał czasu, aby w spokoju usiąść i opisać to, co się składało na sens jego życia. Wir pracy podziemnej, a po upadku komuny pracy politycznej pochłaniał go bez reszty. Dlatego pozostawił po sobie jedynie ogólne podstawy teorii solidaryzmu społecznego. Polega on na konieczności znalezienia dla Polski unikatowej drogi rozwoju społecznego, opartej na najlepszych osiągnięciach zachodniego kapitalizmu i socjalizmu demokratycznego. Podkreślał konieczność zakorzenienia solidaryzmu w polskich tradycjach narodowych.

Morawiecki był prawdziwym polskim patriotą, ale jego patriotyzm był szczególnego rodzaju, oparty na wielkim szacunku dla innych narodów

UŁOŻYĆ ŻYCIE

Był niezwykle łagodnym, inteligentnym człowiekiem. Nie pamiętam, aby kogoś w swoim życiu obrażał. Powtarzał niejednokrotnie, że „tych komunistów po naszym zwycięstwie na Syberię nie wyślemy. Trzeba będzie z nimi ułożyć życie". Nawet z Lechem Wałęsą, który za życia i nawet po śmierci Kornela niejednokrotnie obrażał go, nazywając zdrajcą i rozłamowcem, próbował łagodzić stosunki. Mówił: „Lechu, musisz przyznać się do swych błędów. Poprosić o rozgrzeszenie… Wybaczymy ci". Nie był nigdy śmiertelnie obrażony na byłego przywódcę Solidarności.

Walczył o rzeczy wielkie, ale walczył w sposób prozaiczny, bez patosu, bez uwypuklenia swych zasług, bez hucznych haseł i szumu medialnego. Był człowiekiem niezwykle skromnym. Pieniądz w życiu osobistym miał dla niego znaczenie marginalne. Natomiast o środki finansowe dla organizacji walczył zawsze jak lew. Żył walką z komuną, ta walka była dla niego tak naturalna jak samo życie, jak oddychanie, jakby inaczej żyć nie można było… Tę cechę zachował i wtedy, kiedy został marszałkiem seniorem polskiego Sejmu.

Dla mnie i dla wielu innych członków SW najważniejsze w charakterze Kornela były: jego uczciwość, człowieczeństwo i niezwykła czułość na każdą najmniejszą niesprawiedliwość. Wielokrotnie byłem świadkiem jego relacji z jego dziećmi. Właśnie w tych relacjach te cechy przejawiały się najbardziej. Opowiadał, że Mateusz był trudnym dzieckiem, zawsze chciał iść własną drogą. Nie ukrywał, że syn zasługiwał czasem na klapsa i tego klapsa dostawał. Jednak te jego opowieści o klapsach wyglądały jak żarty, trudno było uwierzyć, że mógł syna rzeczywiście karać…

Jedną z największych zasług jego życia, oprócz stworzenia i działalności SW, było namawianie własnego syna do wejścia do „wielkiej polityki". Kiedy Mateusz został bankowcem, ojciec był dumny, ale jednocześnie namawiał go do rezygnacji z tak błyskotliwej kariery. Mówił mi, że syn musi zrezygnować, przestać zarabiać ogromne pieniądze, bo musi zrobić coś ważnego dla kraju, dla Polaków. Jak nikt inny rozumiał ogromny intelektualny potencjał syna, podkreślał z dumą, że na pewno prześcignie ojca. Namawiał go do robienia kariery politycznej. I tak się stało.

Siła i niezwykła żywotność SW były oparte na ogromnym zaufaniu i lojalności członków tej organizacji do swego przywódcy. Kornel był i nadal jest lubiany przez członków SW nie dlatego, że był twardym, wymagającym przywódcą, ale dlatego, że prawie bezgranicznie ufał swym ludziom. Byliśmy i jesteśmy jak jedna wielka rodzina. Wszyscy my, członkowie SW, jesteśmy jego dziećmi… Wierzymy, że i z tego najlepszego świata będzie nami nadal się opiekował i nas ukierunkowywał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Mikołaj Iwanow – rosyjski dysydent, historyk związany z Uniwersytetem Opolskim. Specjalizuje się w historii Związku Sowieckiego. Zasłynął m.in. publikacjami na temat sowieckich zbrodni na Polakach. Autor albumu „Zginęli, bo byli Polakami. Koszmar »operacji polskiej« NKWD 1937–1938".

eprasa.pl 4bfed2fe01

Dialog i wspólnota

Tomasz P. Terlikowski

Jesteśmy na siebie skazani, my z prawej i z lewej strony, z PiS i KO, z „Gazety Wyborczej" i „Gazety Polskiej", bo tworzymy jedno państwo i jedną wspólnotę narodową. Obrona konserwatywnych czy klasycznych wartości wymaga zaś budowania koalicji szerszych niż partyjne i kierujących się rzeczywistością, a nie marzeniami

Nie jest łatwo polemizować – jednocześnie – z Robertem Tekielim i Piotrem Semką. Ich styl pisania, zastosowana argumentacja, a także (częściowo, choć w mniejszym stopniu) zarzuty są różne i odmiennie trzeba je potraktować. Z jednej strony mamy zarzuty „zdrady", porzucania wspólnoty czy wręcz wykluczenie z przestrzeni polskości niektórych uczestników debaty, z drugiej – polityczną argumentację, z którą się nie zgadzam, ale której założenia rozumiem, choć ich nie podzielam. Obaj jednak, i tego mam świadomość, moi polemiści są zaskoczeni i oburzeni udzieleniem przeze mnie wywiadu Gazecie.pl, czyli środowisku Agory, surową oceną Prawa i Sprawiedliwości, a także przyznaniem, że po drugiej stronie są rozwiązania i pomysły godne uwagi.

PRAWDA NIE JEST NICZYJĄ WŁASNOŚCIĄ

Zacznę od tego ostatniego zarzutu, który Piotr Semka nazywa zgrabnie „stylem prowokatora à rebours". „Mówisz o rzeczach ważnych dla wielu ludzi po prawej stronie w lekki, ale ultymatywny sposób. PiS? To żadni konserwatyści, tylko ludzie władzy. Norwegia – wiele rzeczy jest tam o wiele lepszych niż w naszej katolickiej Polsce. Partia Razem? W wielu kwestiach byś się z nią dogadał" – wskazuje Piotr. A ja zachodzę w głowę, gdzie tu prowokacja. Tak właśnie uważam. Prawo i Sprawiedliwość nie jest partią konserwatywną obyczajowo, lecz jedynie ma wewnątrz nurt konserwatywny, często i ostro spychany na pobocze czy wręcz kneblowany. Czy postawienie takiej tezy jest prowokacją? Nie większą niż przekonywanie, że PiS jest jedyną obroną Polski przed obyczajową rewolucją.

Norwegia też nie jest samym złem. Nie podobają mi się w niej: odbieranie dzieci rodzicom, przesadna lewicowa kontrola czy eugeniczne praktyki (o czym zresztą mówiłem), ale w niczym nie zmienia to faktu, że doceniam inne rozwiązania, które rzeczywiście są lepsze niż w Polsce. Opieka nad osobami niepełnosprawnymi, redystrybucja środków czy budowanie wspólnoty – to są rzeczywiście mocne elementy norweskiej rzeczywistości, a jeśli dodać do tego, że z badań wynika, iż Norwegowie prezentują największy poziom zadowolenia z życia, to konserwatysta nie może nie zadać pytania o to, dlaczego tak jest. Odpowiedź, że wynika to z głębokiego „lewicowego" wyprania mózgów – którą słyszałem od części moich konserwatywnych znajomych – jakoś mnie nie przekonuje.

I wreszcie kwestia Partii Razem. W tej sprawie także jasno powiedziałem, które rozwiązania mi odpowiadają, i tak się składa, że większość z nich została już zrealizowana przez PiS, a w kwestii innych posłowie rządzącej prawicy też nie mieliby problemu z ich zaakceptowaniem, bo nie widzę oporu wśród polityków Prawa i Sprawiedliwości w przełamywaniu różnic w zarobkach kobiet oraz mężczyzn czy budowaniu silniejszych zabezpieczeń socjalnych.

Co jest zatem problemem? Piotr Semka nie pisze tego wprost, ale zdaje się, że istotą mojej „prowokacji à rebours" jest odrzucenie nieuświadomionego, ale coraz mocniej obecnego w polemikach publicystycznych po wszystkich stronach plemiennego postrzegania rzeczywistości, które związane jest z przejmowaniem naszego sposobu myślenia i postrzegania rzeczywistości przez wytwarzane przez media społecznościowe „bańki medialne". Ich efektem jest tworzenie zwartych, opierających się na wykluczeniu i wyeliminowaniu ze znajomych wszystkich inaczej myślących, medialnych grup, które z jednomyślności i uznania za idiotów, kłamców, łgarzy czy wręcz nieprawdziwych Polaków/Europejczyków czynią swój znak rozpoznawczy. Na to nakłada się proces rozchodzenia się niegdyś bliskich ugrupowań, który sprawia, że szukają one raczej tego, co je różni, a nie tego, co łączy, wskazujących zaś na podobieństwa określa się mianem zdrajców.

Tylko z tej perspektywy wskazanie na elementy prawdy czy sprawiedliwości w programach innych partii czy rozwiązaniach ustrojowych nawet skrajnie lewicowych państw może zostać uznane za „prowokację". A jeśli nawet nią jest, to służyć ma prostemu celowi: dostrzeżeniu, że poza naszym światem też są elementy prawdy, a „prawo i sprawiedliwość", „prawda i słuszność" nie są wyłącznie po naszej politycznej stronie. Wydawało mi się, że to kwestia dość oczywista dla człowieka wierzącego, że nie ma w polityce ani prawdy, ani dobra absolutnego i że poza PiS oraz jego rozwiązaniami są na świecie także inne dobre propozycje.

GWARANT OBRONY ŻYCIA

Cieszę się, że obaj moi polemiści skłonni się zgodzić co do tego, że w kwestii obrony

eprasa.pl 4bfed2fe01

Teksty w debacie:

- **„Czy Terlikowski zdradził"**
Robert Tekieli „DRz" 38/2019
- **„Zdrada, wspólnota i udowadnianie, że nie jestem wielbłądem"**
Tomasz P. Terlikowski „DRz" 39/2019
- **„Dlaczego?"**
Piotr Semka „DRz" 40/2019
- **„PiS, PO to samo zło? Nie"**
Tomasz Tekieli „DRz" 41/2019

FOT. TRAX

życia nie ma w Prawie i Sprawiedliwości, a konkretniej w jego kierownictwie, woli, by przeprowadzić zmiany. Nie ma ani nie było, w tej sprawie widać ciągłość wyborów politycznych rządzącej Polską prawicy, a skoro tak, to nie widzę – w odróżnieniu od Roberta Tekielego – powodów, by miało się to w jakiś magiczny sposób zmienić w kolejnej kadencji. Gdyby PiS chciał zmienić ustawę aborcyjną, toby to zrobił albo przynajmniej pozwolił, by Trybunał Konstytucyjny wydał w tej sprawie wyrok. Tak się jednak nie stało i już tylko to jest dowodem na zamiary i intencje obecnej władzy w sprawie aborcji.

Piotr Semka to przyznaje, ale zastrzega, że w obecnej sytuacji to właśnie Prawo i Sprawiedliwość jest jedynym w istocie gwarantem, że obecna ustawa nie zostanie zliberalizowana.

I z tą diagnozą się nie zgadzam. Jest faktem, że Platforma Obywatelska, szczególnie gdy zaczęła flirtować z lewicą i wchodziła w rozmaite formy koalicji europejskich czy obywatelskich, przesuwa się w lewo i niebezpiecznie łatwo przyjmuje część postulatów skrajnej obyczajowej lewicy. Z tym trudno polemizować, choć warto zadać pytanie, czy nie dzieje się tak z powodu wypychania polityków PO z konserwatywnego centrum przez coraz ostrzejszy język zarówno PiS, jak i części ludzi Kościoła?

Pomijając jednak ten problem, warto wskazać, że głównym gwarantem niezmienności „kompromisu aborcyjnego" były w Polsce konserwatywne w kwestiach obyczajowych środowiska prawnicze i Trybunał Konstytucyjny, a nie partie polityczne. Tak się składa, że po ogromnym sukcesie obrońców życia (Jarosław i Lech Kaczyńscy akurat w tej sprawie szczególnie się nie zasłużyli) w 1993 r. już trzy lata później rządzący SLD zmienił ustawę i wprowadził do niej aborcję z przyczyn społecznych. Blokadą dla tego skandalicznego pomysłu był zaś wyrok z roku 1997 Trybunału Konstytucyjnego pod kierownictwem prof. Andrzeja Zolla. Kilka lat później pomysły ograniczania klauzuli sumienia, zgłaszane przez lewicowe środowiska, a nawet część polityków PO, zablokował Trybunał Konstytucyjny pod kierunkiem Andrzeja Rzeplińskiego. I to te dwa wyroki są o wiele istotniejszym gwarantem niezmienności prawa niż partie polityczne, bo albo trzeba zmienić skład Trybunału i wydać nowe wyroki, albo… wręcz zmienić treść konstytucji (przypomnijmy – przygotowanej przez tych, których obecna centrolewica uważa za swoich bohaterów). Tak się składa, że to rzecz o wiele trudniejsza niż przejęcie władzy.

I tu dochodzimy do istoty mojego zarzutu wobec reformy sądownictwa. Tak się składa, że jej siłowe przeprowadzenie przez Prawo i Sprawiedliwość zniszczyło jeden z głównych, by nie powiedzieć – najważniejszy – „bezpiecznik" chroniący życie poczęte w Polsce. Teraz każda następna władza może o wiele łatwiej przeprowadzić podobny manewr i nie czekając na wygaśnięcie mandatów bardziej konserwatywnych sędziów, wprowadzić na ich miejsce progresistów. Odpowiedzialność za to ponosić zaś będą, i to trzeba jasno powiedzieć, także politycy PiS, nieliczący się z ciągłością instytucjonalną. Warto też zwrócić uwagę na to, że o ile tamte trybunały konstytucyjne (z różnymi składami) w sprawach światopoglądowych nie oglądały się na interesy władzy (wyrok w sprawie klauzuli sumienia nie był szczególnie na rękę rządzącej wówczas PO), o tyle obecny dziwnym trafem wstrzymał się z orzeczeniem, które – jak ćwierkają wróbelki – jest już gotowe, ale nie ma woli politycznej, by je opublikować. I już tylko to pokazuje, jak niebezpieczne jest uzależnienie światopoglądowego status quo od woli jednej partii politycznej.

Z KIM NALEŻY ROZMAWIAĆ?

I wreszcie kwestia ostatnia: Czy należało rozmawiać ze środowiskiem Gazety.pl, która – jak się zdaje – rozpoczęła całą dyskusję? W tej sprawie o wiele ostrzej wypowiada się Robert Tekieli, który odmawia nawet polskości nie tylko Adamowi Michnikowi, lecz także całemu środowisku, które zdaje się utożsamiać z tą jedną osobą. Nie będę sobie ułatwiał zadania i żartował z tego utożsamienia (zrobiłem to już zresztą), nie będę też przekonywał, że Adam Michnik ma takie same uprawnienia do uważania się za Polaka jak ja, Piotr Semka (który zresztą tego nie kwestionował) czy Robert Tekieli (to także już robiłem w mediach społecznościowych i nie wydaje się, by istniała potrzeba, by to powtarzać).

Moja odpowiedź jest prosta. Jeśli mamy docierać z przekazem – swoim, a nie zapośredniczonym przez memy „Soku z Buraka", prześmiewcze, a czasem zwyczajne chamskie felietony Jana Hartmana czy setki internetowych połajanek – to musimy rozmawiać także z ludźmi inaczej myślącymi, a nie tylko ze sobą nawzajem. Może mi się to podobać albo nie, ale faktem jest, że jednym z istotnych graczy medialnych pozostaje portal Gazeta.pl (o wiele bardziej, co zresztą jest znakiem czasu, niż papierowa „Gazeta Wyborcza"), jeśli więc mam docierać do ludzi inaczej myślących, do liberalnej lewicy, niekoniecznie po to, by ją przekonać, ale choćby po to, by pokazać, jak myślimy, to muszę to robić za pośrednictwem „ich" mediów, a nie tylko swoich. Jeśli nie będziemy tego robić, to szybko przekształcimy się – by posłużyć się tytułem znakomitej książki Gertrude Himmelfarb – w „jedno państwo dwóch narodów", a nawet w coraz słabiej powiązane ze sobą dwa państwa dwóch plemion. Tak się zaś składa, że nasze położenie geograficzne sprawia, iż takie sytuacje błyskawicznie wykorzystują nasi sąsiedzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Czarna lista Hitlera

Kowalski Adam
Kowalski Bernhard
Kowalski Aloisius
Kowalski Andreas
Kowalski Franz
Kowalski Josef
Kowalski Peter
Kowalski Roman
Kowalski Stanislaus
Kowalski Wilhelm

I tak dalej, i tak dalej… Długie kolumny polskich nazwisk ciągnące się przez 190 kartek. W sumie 8,8 tys. osób. Obok nazwisk krótkie adnotacje. Adresy i jakieś tajemnicze cyfry. Niektóre nazwiska są wykreślone grubymi czarnymi kreskami, inne doklejone. Przeglądając – wydany przez IPN – reprint niemieckiej „Specjalnej księgi gończej dla Polski", zadawałem sobie pytanie: Co się stało z tymi ludźmi?

Co się stało z Józefem? Co się stało z Wilhelmem Kowalskim? Czy zostali aresztowani przez gestapo? Czy trafili do więzienia lub obozu? A może zostali rozstrzelani jako „wrogowie Niemiec" w Piaśnicy albo innym upiornym miejscu kaźni?

Reprint ponurego dokumentu poprzedza fachowy wstęp Grzegorza Bębnika, jednego z najlepszych obecnie historyków IPN. Znakomitego znawcy najnowszej historii naszych ziem zachodnich. Bębnik obala mity krążące na temat księgi gończej.

Po pierwsze, nie znajdowało się na niej – jak głosi legenda – 60 tys. nazwisk. Po drugie, powstała ona pod koniec 1939 r., a nie przed atakiem na Polskę. Niemieckie siły bezpieczeństwa w trakcie kampanii wrześniowej dysponowały listą Polaków podejrzanych o „wrogie nastawienie do Niemiec", ale był to inny dokument.

Teraz przed historykami wielkie zadanie. Czyli sprawdzenie, w jaki sposób teoria przełożyła się na praktykę. Ustalenie, ilu Polaków, których nazwiska znalazły się w księdze, wpadło w łapska gestapo. I jaki był ich los? Pytanie tylko, czy po tylu latach od zakończenia wojny jest to jeszcze wykonalne. ©℗

★★★★★★

RED. GRZEGORZ BĘBNIK
„SONDERFAHNDUNGSBUCH POLEN. SPECJALNA KSIĘGA GOŃCZA DLA POLSKI"
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zygmunt Stary i jego kobiety

Dziwnie los obszedł się z sześcioma synami Kazimierza Jagiellończyka. Najstarszy z nich, Władysław, objął wprawdzie tron czeski i węgierski, okazał się jednak bezwolną kukłą w rękach magnatów. Jego przeciwieństwem był natomiast następca ojca na polskim tronie, Jan Olbracht.

Musiał rozstać się z Telniczanką, a jego żoną została Barbara Zápolya

Ambitny i wojowniczy, ale alkoholizm i syfilis spowodowały jego bezpotomną śmierć w wieku zaledwie 41 lat. Jego młodszy brat, Aleksander, w ogóle nie nadawał się na władcę, a do tego okazał się impotentem i jego małżeństwo z moskiewską księżniczką nie przyniosło potomstwa. Najmłodszy z braci, Fryderyk, nie miał wprawdzie problemów Aleksandra, ale jego upodobanie do kobiet i alkoholu nie sprzyjało dobrej opinii o dynastii. Królewicz wybrał bowiem karierę duchownego i sprawował najwyższe stanowiska kościelne w Polsce (prymas i arcybiskup gnieźnieński oraz biskup krakowski). Za najzdolniejszego z całego rodzeństwa uchodził Kazimierz, ale gruźlica zabrała go w wieku 26 lat, jeszcze za życia ojca.

Synowie Kazimierza Jagiellończyka umierali młodo i na tym tle zdecydowanie wyróżniał się przedostatni z nich, Zygmunt zwany Starym. Nie tylko dożył aż 81 lat, lecz także przez 42 lata zasiadał na krakowskim tronie. A jego panowanie z czasem uznano za złoty wiek państwa polskiego.

Zygmunt miał czterech starszych braci, dlatego przez lata nie wykazywał ambicji politycznych. W zupełności wystarczał mu zarząd nad księstwami śląskimi w imieniu brata, króla Czech i Węgier, a sam królewicz najbardziej lubił polowania i dobrze zastawiony stół. Do wstąpienia na tron polski nie myślał też o małżeństwie, ale jako zadeklarowany monogamista pozostawał w stałym związku z pochodzącą z Moraw Katarzyną Telniczanką. Metresa urodziła mu troje dzieci, którymi Zygmunt zajął się troskliwie. Dwie córki w przyszłości miał wydać korzystnie za mąż, natomiast syna, Jana, przeznaczył do stanu duchownego. Dzięki temu ten nieprawy potomek Jagiellonów został biskupem wileńskim, a następnie poznańskim.

20 października 1506 r., po śmierci Aleksandra, w wieku 39 lat Zygmunt objął tron litewski, a następnie polski. Musiał rozstać się z Telniczanką, a jego pierwszą żoną została Barbara Zápolya. Chociaż związek miał charakter polityczny, to król nieprzytomnie zakochał się w młodszej o 30 lat żonie. Barbara urodziła mu dwie córki, a gdy zmarła na skutek powikłań po porodzie, Zygmunt bardzo rozpaczał. Nie miał jednak męskiego następcy, dlatego trzy lata później poślubił Włoszkę, Bonę Sforzę. W Polsce i na Litwie rozpoczęła się zupełnie nowa epoka. ©℗

eprasa.pl 4bfed2fe01

1937–1953 HEKATOMBA POLAKÓW

DODATEK SPECJALNY CZĘŚĆ IV

Prawo i pamięć

- Kłamstwo katyńskie trwa do dziś
- Oręż prawny dla patriotów
- Procesy obrońców dobrego imienia
- Dzieła sztuki zrabowane Polsce

Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest minister sprawiedliwości

Organizatorzy:

eprasa.pl 4bfed2fe01

Od prawej: premier Rosji Władimir Putin, kanclerz Niemiec Angela Merkel i premier RP Donald Tusk słuchają przemówienia polskiego prezydenta Lecha Kaczyńskiego na Westerplatte w 2009 r. FOT. PETER ANDREWS/REUTERS/FORUM

SPIS TREŚCI

60–62 KŁAMSTWO KATYŃSKIE
Maciej Rosalak
Śledztwo zostało przez Putina znacznie wyhamowane, a 11 marca 2005 r. umorzone z uwagi na „brak faktu zbrodni ludobójstwa" oraz śmierć winnych

63–65 DOCHODZENIE PRAWA
SYLWESTER PIECKOWSKI
w rozmowie z Piotrem Włoczykiem: Nie tylko nasze prawo, lecz także prawo innych państw dają odpowiednie narzędzia, aby walczyć z pomawianiem naszego narodu o cudze zbrodnie

66–68 POSZKODOWANI
MARCIN BARTNICKI
Stacja ZDF wycofała skargę kasacyjną do Sądu Najwyższego, co oznacza utrzymanie w mocy korzystnej dla Karola Tendery decyzji sądu II instancji

69–71 CO Z „POLSKIMI OBOZAMI"?
PIOTR WŁOCZYK
Czy przez sądy wiedzie najlepsza droga skutecznej walki o dobre imię Polski i Polaków? – z tym pytaniem nasz dziennikarz zwrócił się do kilku miarodajnych osób

eprasa.pl 4bfed2fe01

PRL za żelazną kurtyną i „polityka wstydu” III RP

Lech Kaczyński mówił na Westerplatte w 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej o konieczności oparcia się „o prawdę, która często bywa bolesna, ale którą ujawnić muszą zarówno zwycięzcy, jak i pokonani”. Słowa te padły po pokrętnym przemówieniu Władimira Putina, który stwierdził istnienie wspólnego mianownika między wszelkimi umowami, które zawarto między 1934 a 1939 r., w czytelny sposób stawiając w jednym rzędzie pokojowe porozumienia Polski z ZSRS i III Rzeszą z pierwszej połowy lat 30. oraz układ Ribbentrop-Mołotow z 1939 r., będący de facto sojuszem napastniczym i umową zbirów o podziale łupów. Tak to trzeba oceniać „z moralnego punktu widzenia” – mówił przywódca Rosji, który przed rokiem napadł wtedy na maleńką Gruzję.

Kłopot z Rosją polega na tym, że prawdy boją się tam jak ognia rządzący, którzy czują się spadkobiercami Związku Sowieckiego – winnego zbiorowych mordów, sojuszu z Hitlerem i podboju części Europy. Boją się też jej rządzeni, karmieni (a właściwie pojeni) mitem zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyźnianej – który pozwala nie pamiętać ani krzywd, które przyniosła ta wojna narodom, ani biedy, w której obecnie żyją. Opiera się na nim polityka historyczna Federacji Rosyjskiej, która zaciera prawdę o zbrodniczej, sowieckiej przeszłości.

Trzeba przyznać, że odmienną, uczciwą postawą ujęli nas ostatnio przedstawiciele najwyższych władz niemieckich: prezydent Frank-Walter Steinmeier i kanclerz Angela Merkel. Zresztą w zachodnich Niemczech dziesięciolecia trwała – w sumie udana – próba przebudowy w kolejnych pokoleniach oceny hitlerowskiej przeszłości. Aczkolwiek rozliczenie ze zbrodniarzami hitlerowskimi nie było pełne, a w ostatnich dekadach dał się zauważyć – w mediach czy w serialu filmowym „Nasze matki, nasi ojcowie” – dość bezczelny nurt dzielenia się, między innymi z Polakami, odpowiedzialnością za niemieckie zbrodnie.

W Niemczech, ale jeszcze bardziej chyba w innych krajach Zachodu, ugruntowała się bowiem poprawność polityczna, polegająca na wieloletnim już unikaniu używania w pejoratywnym kontekście słowa „Niemcy”. Mordowali „naziści”. A przy tym – uwaga! – z głupoty czy ze złośliwości mówi się też i pisze o „polskich obozach koncentracyjnych”. Urządzali je naziści. Nie Niemcy, ale naziści. Więc jeśli nie byli oni Niemcami, to kto katował i mordował Żydów w „polskich obozach koncentracyjnych”? Rzecz jasna – Polacy… Absurdalna, „zło-czynna” teza o polskim współsprawstwie Holokaustu została podchwycona przez niektóre środowiska żydowskie w Izraelu, USA, ale i w Polsce (!), co ujawniła międzynarodowa afera wokół tzw. ustawy IPN.

Dla narodu tak umęczonego i heroicznego podczas II wojny jak nasz to wszystko wydaje się złym snem. Oto kto inny wykupił polskie kupony, korzystając z półwiecza oddzielenia PRL żelazną kurtyną oraz ćwierćwiecza „polityki wstydu” w III RP, i cynicznie gra nimi na międzynarodowej giełdzie idei i tradycji. No cóż, trzeba to zjawisko pokazywać i skutecznie z nim walczyć. O tym staraliśmy się napisać w IV części naszego cyklu. ©℗

Maciej Rosalak

72–73 GRABIEŻ DZIEŁ SZTUKI
TOMASZ STAŃCZYK
Utracone dzieła sztuki to prawie 3 tys. obrazów europejskiego malarstwa i 11 tys. polskiego, 1,5 tys. rzeźb, 300 tys. grafik, 22 tys. starych druków...

REDAKCJA:
Redaktor: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (grafik prowadzący),
Anna Sobieska-Wójtowicz (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**
Okładka: **Jakub Krupa/PAP**

eprasa.pl 4bfed2fe01

Maciej Rosalak

Kłamstwo katyńskie nadal przyjmuje za prawdę znaczna część Rosjan, a rządzący Rosją prezydent nie chce uznać wyjątkowej w dziejach zbrodni za ludobójstwo...

To tylko „nadużycie władzy”...

Ta sowiecka zbrodnia dokonana w 1940 r. była wyjątkowa. Nawet Hitler nie posunął się do masowego mordowania bezbronnych jeńców. Zbrodnią było również kłamstwo oczyszczające z wszelkiej winy Sowietów i długo przyjmowane oficjalnie przez Zachód za dobrą monetę. Kalało pamięć ofiar, zadawało ból i prowadziło do wyrządzania dalszych krzywd ich rodzinom, pozwalało Rosjanom głosić kłamliwą wersję historii II wojny światowej, stanowiło wreszcie mit założycielski komunistycznej Polski Ludowej.

Ślad kłamstwa katyńskiego znajdujemy już 13 października 1940 r. podczas rozmowy szefów NKWD – Ławrientija Berii i Wsiewołoda Mierkułowa z ppłk. Zygmuntem Berlingiem. Ten ostatni przypomniał o oficerach internowanych w Kozielsku. Mierkułow: „Popełniliśmy z nimi wielki błąd...”. Beria nie dał mu dokończyć: „Nie ma ich w ZSRR” – uciął.

SOWIECI IDĄ W ZAPARTE

Jesienią 1941 r. wiceszef sowieckiego MSZ Andriej Wyszynski powiedział ambasadorowi RP Stanisławowi Kotowi: „Liczba 9,5 tys. oficerów polskich, rzekomo znajdujących się w ZSRR, nie potwierdziła się. W zestawieniach NKWD nigdy taka liczba oficerów nie figurowała, również ludowy komisarz obrony jej zaprzecza”. 14 listopada sam Stalin, indagowany przez Kota w tej sprawie, zapytał przez telefon: „NKWD? Tutaj Stalin. Czy wszyscy Polacy zostali zwolnieni? Bo jest tu u mnie ambasador polski, który mówi, że nie wszyscy”. Odkłada słuchawkę i mówi półgłosem jakby do siebie: „Oni mówią, że wszyscy zwolnieni”.

Kiedy 3 grudnia o oficerów zapytał na Kremlu gen. Władysław Sikorski, Stalin oświadczył: „Oni uciekli”. Anders: „Dokądże mogli uciec?”. Stalin: „No, choćby do Mandżurii”.

18 marca 1942 r. Stalin powiedział Andersowi i szefowi jego sztabu płk. Leopoldowi Okulickiemu: „Ja już wydałem wszystkie rozkazy, by ich zwolnić. [...] Nie wiem, gdzie są. Na co mnie ich trzymać? Może byli w obozach na terenach, które zajęli Niemcy, i rozbiegli się”. Okulicki: „Niemożliwe – o tym byśmy wiedzieli”.

Ambasador RP Tadeusz Romer obliczył, że od lipca 1941 do kwietnia 1943 r. władze polskie przedłożyły urzędom ZSRS 50 oficjalnych próśb o pomoc w odnalezieniu zaginionych jeńców.

eprasa.pl 4bfed2fe01

Brama Polskiego Cmentarza Wojennego w Katyniu FOT. ADOBE STOCK

Mołotow podpisuje układ z Niemcami. Od lewej stoją: Ribbentrop i Stalin FOT. WIKIPEDIA

W kwietniu 1943 r., po ogłoszeniu przez Niemców odkrycia katyńskich grobów i prośbie rządu polskiego wystosowanej do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o sprawdzenie na miejscu stanu faktycznego, Radio Moskwa nadało komunikat rządu ZSRS, który przypisał Niemcom zamordowanie polskich jeńców w 1941 r., a odkryte szczątki ludzkie nazwał „stanowiskiem archeologicznym". Stalin w listach do Churchilla i Roosevelta oskarżył rząd RP o kolaborację z Niemcami. Przywódcy aliantów nie zgodzili się wprawdzie z oskarżeniami, ale skrytykowali skierowanie sprawy do MCK przez władze polskie. 26 kwietnia ZSRS zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem RP w Londynie.

1 maja 1943 r. organ PPR „Trybuna Wolności" opublikował deklarację KC z 23 kwietnia uznającą Niemców za sprawców mordu katyńskiego, a rząd RP w Londynie i władze Polskiego Państwa Podziemnego za „pomocników Goebbelsa". Takie stanowisko późniejsze władze PRL będą utrzymywać do końca lat 80., kiedy na ogłoszenie winy ZSRS zdecyduje się Michaił Gorbaczow.

Władze USA utajniły oskarżające Sowietów raporty i skarciły: płk. Henry'ego J. Szymańskiego, oficera łącznikowego US Army przy Armii Polskiej na Bliskim Wschodzie (w 1943) oraz (po wojnie) płk. Johna Van Vlieta, który oglądał katyńskie groby, gdy przebywał w niewoli niemieckiej.

24 stycznia 1944 r. raport powołanej przez Sowietów komisji profesora chirurgii Nikołaja Burdenki utrzymuje, że w 1941 r. 11 tys. jeńców polskich zamordowali w Katyniu Niemcy. Rok później potwierdzą to kłamstwo sterroryzowani profesorowie Marko Markow z Sofii i František Hájek z Pragi, którzy w 1943 r. stwierdzili prawdę podczas prac międzynarodowej komisji lekarskiej.

Na początku lipca 1946 r. Sowieci złożyli bezczelny wniosek do Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze oskarżający Niemców o katyńską zbrodnię. Wyrok Trybunału z 30 września 1946 r. pominął sprawę Katynia. Oskarżenie więc upadło, ale na obciążenie winą Sowietów już zabrakło woli.

W OKRESIE ZIMNEJ WOJNY

W 1948 r. ukazała się w Londynie książka opracowana przez Józefa Mackiewicza „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów" z przedmową gen. Władysława Andersa. Przez wiele lat stanowiła ona podstawowe źródło wiedzy o sprawie katyńskiej.

18 listopada 1951 r., podczas zimnej wojny, Izba Reprezentantów Kongresu USA powoła komisję Raya J. Maddena, która po roku badań opublikuje obszerny raport ze śledztwa i – bezskutecznie! – zaleci rządowi USA, by uznał sowieckie sprawstwo mordu i wniósł sprawę przed Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze. Podobny raport złożył też swym władzom ambasador brytyjski przy rządzie polskim na uchodźstwie Owen O'Malley. Dokument pozostanie utajniony do 1972 r.

W lutym 1952 r. Związek Sowiecki opublikował protest przeciwko działaniom Komisji Kongresu USA. W marcu przyłączył się do protestu komunistyczny rząd w Polsce. Ukazuje się kolejny przedruk „Komunikatu" Burdenki, a następnie seria artykułów propagujących „obowiązującą", czyli komunistyczną, wersję wydarzeń. Po wydaniu raportu Komisji Kongresu USA w sprawie zbrodni katyńskiej w Warszawie opublikowano propagandową książkę Bolesława Wójcickiego „Prawda o Katyniu", potwierdzającą wersję Burdenki.

Instrukcja Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z 12 marca 1952 r. nakazywała ściganie i stawianie przed sądem „osób i grup rozpowszechniających oszczercze wersje w sprawie Katynia". Do 1956 r. za wrogą propagandę – z pewnością dotyczącą też Katynia – represjonowano 15 tys. Polaków.

Aleksandr Szelepin, ówczesny szef KGB, wysłał 3 marca 1959 r. do Nikity Chruszczowa list, w którym określił liczbę zabitych w lesie katyńskim na 4421 osób, w Charkowie na 3820 osób, w Kalini-

eprasa.pl 4bfed2fe01

14 października 1992 r. prezydent Lech Wałęsa otrzymuje archiwalia katyńskie od przedstawiciela prezydenta Borysa Jelcyna FOT. MICHAŁ SADOWSKI/FORUM

nie (Twer) na 6311 osób. Dodatkowo podane jest, że na terenie zachodniej Ukrainy i Białorusi rozstrzelano 7305 osób. Wymienione liczby są niższe niż w rozkazie z 5 marca 1940 r. (szczególnie dotyczy to jeńców z terenu zachodniej Ukrainy i Białorusi).

Trzydziestu dwóch przebywających na emigracji działaczy i pisarzy rosyjskich wydało w 1980 r. oświadczenie o odpowiedzialności ZSRS za zbrodnię katyńską.

W końcu stycznia 1989 r. w Moskwie powstaje stowarzyszenie Memoriał – rosyjska organizacja pozarządowa, której głównym celem jest dokumentowanie i propagowanie wiedzy o ofiarach komunistycznych represji politycznych.

12 października 1989 r. prokurator generalny RP Józef Żyto wystosował do prokuratora generalnego ZSRS Suchariewa wniosek o wszczęcie śledztwa w sprawie zbrodni katyńskiej. W odpowiedzi Suchariewa na wniosek Żyty stwierdzono w styczniu 1990 r., że jedynymi dokumentami, którymi dysponuje prokuratura ZSRS, są materiały komisji Burdenki.

PRZEŁOM I PO PRZEŁOMIE

13 kwietnia 1990 r. ukazał się wreszcie komunikat sowieckiej agencji prasowej TASS, w którym stwierdzono, że za rozstrzelanie polskich oficerów w Katyniu odpowiedzialne jest NKWD. Prezydent Wojciech Jaruzelski otrzymał od prezydenta ZSRS Michaiła Gorbaczowa niektóre dokumenty NKWD z lat 1939–1940 dotyczące polskich jeńców, tzw. listy wywozowe jeńców Kozielska i Ostaszkowa oraz wykaz jeńców Starobielska.

We wrześniu 1990 r. Naczelna Prokuratura Wojskowa ZSRS rozpoczęła śledztwo w sprawie Katynia. Strona polska rozpoczęła śledztwo „posiłkowe" pod kierunkiem prok. Stefana Śnieżki.

W 1991 r. przeprowadzono ekshumacje zamordowanych Polaków: między 25 lipca a 9 sierpnia 1991 r. jeńców Starobielska w Charkowie-Piatichatkach, a od 15 do 31 sierpnia 1991 r. – jeńców Ostaszkowa w Miednoje.

Prezydent Rosji Borys Jelcyn przekazał 14 października 1992 r. prezydentowi RP Lechowi Wałęsie kopię dokumentu z 5 marca 1940 r. z decyzją o rozstrzelaniu jeńców polskich z obozów Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa.

6 maja 1994 r. Prokuratura Ukrainy w Kijowie przekazała prok. Stefanowi Śnieżce listę nazwisk i akta 3435 obywateli polskich zamordowanych prawdopodobnie w wyniku rozkazu z 5 marca 1940 r. Jest to tzw. lista ukraińska dowodząca mordowania tu wiosną 1940 r. również więźniów niebędących jeńcami ze Starobielska. Przynajmniej część z nich pochowano w kijowskiej Bykowni. Do tej pory nie ujawniono ofiar z tzw. listy białoruskiej. Dotyczy ona 3870 obywateli polskich spośród około 22 tys. ofiar zbrodni katyńskiej.

W 2000 r. otwarto polskie cmentarze wojenne: 17 czerwca w Charkowie, 28 lipca w Katyniu, 21 września w Miednoje. Polski cmentarz wojskowy w Bykowni otwarto 2 września 2012 r.

Oficjalne przyznanie się do winy przez stronę sowiecką umożliwiło, poza badaniem archiwów, również rozpoczęcie śledztwa przez Naczelną Prokuraturę Wojskową ZSRS, a następnie Federacji Rosyjskiej. Śledztwo to w okresie prezydentury Władimira Putina zostało znacznie wyhamowane, a następnie 11 marca 2005 r. umorzone z uwagi na „brak faktu zbrodni ludobójstwa" oraz śmierć osób uznanych za winnych w sprawie.

30 listopada 2004 r. polski Instytut Pamięci Narodowej podjął własne śledztwo katyńskie, ale jego wynik uzależniony jest od stanowiska strony rosyjskiej. Na wniosek IPN rosyjska prokuratura udostępniła polskim śledczym w październiku 2005 r. 67 tomów akt sprawy (z około 170) na miejscu w Moskwie. „Jak się jednak okazało, w udostępnionych tomach nie było dokumentów, które dla śledztwa miałyby istotną wartość procesową" – zaznaczył prokurator IPN. Dodał, że dokumenty te nie poszerzały dotychczasowej wiedzy IPN o zbrodni, a strona rosyjska uniemożliwiła sporządzenie kserokopii dokumentów poddanych analizie.

IPN dokonał kwalifikacji zbrodni katyńskiej. Wedle jego prokuratorów zbrodnia katyńska jest zarówno zbrodnią wojenną, zbrodnią przeciwko ludzkości, jak i ludobójstwem.

Niestety takiej kwalifikacji zbrodni katyńskiej nie przyjęła Naczelna Prokuratura Wojskowa Federacji Rosyjskiej, która 11 marca 2005 r. ogłosiła oficjalnie, że „nie ma podstaw do uznania zbrodni katyńskiej za zbrodnię ludobójstwa". W uzasadnieniu podano m.in., że internowanie polskich oficerów, sposób ich przetrzymywania i traktowania był odpowiedni do norm obowiązujących w tamtych czasach oraz że ich zabicie było przestępstwem, ale nie miało znamion eksterminacji narodu polskiego. Tym samym w ocenie NPW FR zbrodnia katyńska jest jedynie przestępstwem pospolitym, które uległo przedawnieniu.

W marcu 2005 r. Naczelna Prokuratura Wojskowa FR odpowiedziała na pytanie Rosyjskiego Stowarzyszenia „Memoriał" o wykładnię takiego stanowiska. Otóż, zdaniem NPW FR, czyny szeregu konkretnych osób piastujących wysokie stanowiska urzędowe w ZSRS zostały zakwalifikowane według art. 193 p. 17 Kodeksu karnego RFSRR (z 1926) jako „nadużycie władzy z ciężkimi skutkami przy szczególnie obciążających okolicznościach, a postępowanie karne w ich sprawie zostało zaprzestane na podstawie p. 4 cz. 1 art. 24 KPK FR z powodu śmierci winnych". Przywołany artykuł dotyczy jednak przestępstwa nadużycia władzy przez kadrę dowódczą Armii Czerwonej. Stanowisko rosyjskiej NPW odmawiało również uznania ofiar zbrodni katyńskiej za ofiary represji politycznych, co jest warunkiem ich procesu rehabilitacyjnego…

Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał 21 października 2013 r., że nie może ocenić rosyjskiego śledztwa w sprawie zbrodni katyńskiej oraz że Rosja nie dopuściła się nieludzkiego i poniżającego traktowania krewnych ofiar.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

O prawnych instrumentach walki z fałszowaniem naszej historii z mec. Sylwestrem Pieckowskim

rozmawia Piotr Włoczyk

O skutecznym praw dochodzeniu

Warszawski sąd okręgowy na Lesznie z dewizą na fasadzie: „Sprawiedliwość jest ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej"

FOT. ADRIAN GRYCUK/WIKIPEDIA

PIOTR WŁOCZYK: Jakie możliwości daje obecnie Polakom prawo, jeżeli chodzi o przeciwdziałanie fałszowaniu naszej historii, czyli przede wszystkim przypisywaniu Polakom cudzych zbrodni?

SYLWESTER PIECKOWSKI: Nie tylko nasze własne prawo, lecz także przepisy przyjęte przez inne państwa dają Polakom i polskim władzom do ręki odpowiednie narzędzia, dzięki którym możemy walczyć z pomawianiem narodu polskiego o cudze zbrodnie. Trzeba tu jednak zachować zdrowy rozsądek. Nie w każdym przypadku sięganie po środki prawne jest skuteczne – uderzenie siekierą nie zawsze przynosi pożądane rezultaty. Myślę, że w większości przypadków wystarczą mądra dyplomacja i atrakcyjne działania edukacyjne oraz kulturalne, skierowane zarówno do wewnątrz, jak i na zewnątrz.

Bodaj najgłośniejszym przykładem batalii sądowej, jeżeli chodzi o fałszowanie historii, jest sprawa właśnie zmarłego w wieku 98 lat Karola Tendery, który pozwał ZDF, drugi kanał niemieckiej telewizji państwowej, za użycie sformułowania „polskie obozy zagłady". Jednak mimo kolejnych orzeczeń polskich sądów realizacja wyroku zadowalającego Karola Tenderę to wciąż pieśń przyszłości. Dlaczego?

Historia walki sądowej pana Tendery to najważniejsza sprawa w kontekście naszej rozmowy. Karol Tendera uzyskał korzystne dla siebie orzeczenie zobowiązujące ZDF do opublikowania przeprosin. Co ważne, polski sąd apelacyjny stwierdził, że ZDF musi przeprosić konkretnie pana Tenderę. To nowa jakość, bo okazało się, że takie stwierdzenia jak „polskie obozy zagłady" mogą naruszać godność nie tylko narodu polskiego, lecz także jednostki. Zgodnie z prawem europejskim orzeczenia wydane w jednym państwie UE są uznawane i wykonywane w innych państwach niejako z automatu, bez potrzeby prowadzenia specjalnego postępowania. To powinno zamknąć temat.

Jednak sprawa Karola Tendery pokazuje, że ten automat nie działa najlepiej...

Niestety, mechanizm honorowania orzeczeń w ramach UE bywa zastanawiająco wybiórczy... Pan Tendera wygrał sprawę przed sądem apelacyjnym w Polsce. Wyrok został skierowany do wykonania w Niemczech. Tam jednak w odwołaniu Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe odmówił uznania polskiego orzeczenia, argumentując, że pozostaje ono w sprzeczności z porządkiem prawnym w Niemczech...

Porządek prawny w Niemczech wyklucza publikację przeprosin za użycie frazy „polskie obozy zagłady"?

Trybunał uzasadnił to w bardzo specyficzny sposób. Stwierdził bowiem, że nie można nakazać dziennikarzowi... zmiany zdania. Nawet jeżeli w tekście pada określenie, które jest nie tylko nieprawdziwe pod kątem historycznym, lecz także ewidentnie godzi w dobre

eprasa.pl 4bfed2fe01

imię Polski i Polaków. W ten sposób niemiecki sąd najwyższy widzi granice wolności dziennikarskiej. Jak widać, trybunał doszukał się okoliczności nadzwyczajnych, które zwalniają z obowiązku wykonania orzeczenia sądu z innego kraju unijnego.

W tej sprawie trudno nie nabrać podejrzeń, że tak szeroka obrona granic wolności słowa może zahaczać po prostu o interes narodowy Niemiec...

Myślę, że to zasadne podejrzenie, ponieważ od dawna widać pewną tendencję w niemieckim orzecznictwie. Generalnie można powiedzieć, że sądy niemieckie solidarnie odmawiają wykonywania orzeczeń, które są niezgodne z niemieckim interesem. Dlatego tak ciężko dojść jakichkolwiek odszkodowań od Republiki Federalnej Niemiec. To jest gra na przeczekanie, druga strona liczy na zmęczenie przeciwników. Można powiedzieć, że do tej pory strategia ta realizowana jest z powodzeniem. W sprawie Karola Tendery wszystko zależało od dobrej woli niemieckiego sądu najwyższego. Dodajmy – o tyle jest to ciekawe, że orzeczenie nie wiązało się z wielkimi pieniędzmi, a i tak zostało zablokowane.

Jak szeroka jest gama środków prawnych, które państwo polskie bądź jednostki – takie jak Karol Tendera – mogą wykorzystywać w takich sprawach?

Mamy tu do dyspozycji całą gamę środków prawnych. Rozwiązania ustawowe to tylko jedna płaszczyzna. Mam tu na myśli powództwo o odszkodowanie bądź zaniechanie naruszania dóbr osobistych, powództwo o ochronę dóbr osobistych (tożsamości, dumy i czci, wizerunku i dobrego imienia). Takie prawa daje nam kodeks cywilny. W szczególnych przypadkach możemy też sięgać po środki z zakresu ochrony prawno-karnej, które dotyczą obrony przed znieważeniem (art. 133 kk), zwalczania propagowania faszyzmu i komunizmu (art. 256 kk), zwalczania rasizmu (art. 257), a także zwalczania kłamstwa na temat zbrodni niemieckich i komunistycznych (art. 55 ustawy o IPN).

Tak jak jednak wspomniałem wcześniej – walka przed sądem powinna być ostatecznością. Na drodze zwalczania działań znieważających i zniesławiających państwo polskie i naród są także kroki pośrednie, m.in. interwencja dyplomatyczna, komunikaty prasowe i akcje retorsyjne. Pełnią one pierwszorzędną funkcję, kiedy pojawia się sytuacja konfliktowa, taka jak wspomniane używanie określenia „polskie obozy zagłady". Przy odpowiedzi na pytanie, jak państwo polskie powinno reagować na takie sytuacje – czy od razu iść z roszczeniem do sądu, czy podejmować inne środki – musimy zachować zdrowy rozsądek.

Wśród 86 paremii prawniczych na kolumnach siedziby Sądu Najwyższego jest również taka: „Dochodzenie sprawy przed sądem nie może pogorszyć, lecz jedynie polepszyć sytuację powoda" FOT. ADOBE STOCK

Wciąż nie brak jednak głosów o konieczności wprowadzenia zmian w prawie, które dawałyby większe możliwości obrony przed fałszowaniem historii i które mocniej odstraszałyby potencjalnych sprawców. Jak ocenia pan pod tym kątem skuteczność obecnych rozwiązań prawnych w Polsce?

Według mnie nie ma potrzeby wprowadzania zmian. Wszystko, co dziś oferuje nam polskie prawo, daje polskim władzom i obywatelom – jeżeli zawiodą inne metody przeciwdziałania fałszowaniu historii – możliwość dbania o dobre imię państwa i narodu polskiego. Ścieżki prawno-cywilna i prawno-karna są środkami wystarczającymi. Mnożenie tych środków nie ma sensu.

Szczególnie po lewej stronie polskiej sceny politycznej słychać jednak głosy, że Polacy są zbyt przewrażliwieni na punkcie historii i używanie metod prawnych do przeciwdziałania fałszowaniu historii to typowo polski fenomen.

Nie mogę się z tym zgodzić. Większość krajów europejskich ma przepisy analogiczne do naszych, które pozwalają na drodze prawnej walczyć z pomawianiem narodu/państwa o potworne zbrodnie, których te narody/państwa nie popełniły. To nic nowego, inne państwa dbają o swoje dobre imię. Tyle tylko, że przepisy te nie są tam stosowane w praktyce. Dlaczego? Ponieważ tylko Polakom przypisuje się cudze zbrodnie. Inne państwa nie mają takich problemów. Kłamstwa na temat historii penalizuje choćby Izrael, o czym nie wszyscy krytycy polskiego prawa chcą pamiętać...

Jestem zdania, że na sprawy ochrony dobrego imienia państwa i narodu należy patrzeć w sposób jednolity. Mamy tu kontekst niematerialny oraz materialny. Ten pierwszy to właśnie walka z jawnym fałszowaniem historii. Ten drugi to m.in. sprawy związane z dochodzeniem odszkodowań przez obywateli polskich za zbrodnie wojenne, które nigdy nie zostały wypłacone. Jeżeli chcemy, aby inni

eprasa.pl 4bfed2fe01

nas szanowali i nie manipulowali naszą historią, to powinniśmy zadbać o to, aby nasze ofiary tamtej wojny uzyskały odszkodowania.

Reparacje obejmują rozliczenia międzypaństwowe, ale na drugim poziomie mamy roszczenia prywatne, które przysługują ofiarom. One się wzajemnie nie wykluczają. Oba roszczenia – reparacyjne i odszkodowawcze – mają pełne uzasadnienie w prawie międzynarodowym, przede wszystkim w IV konwencji haskiej z 1907 r. o zwyczajach prowadzenia wojny na lądzie. Co ważne, nie można tu mówić o przedawnieniu, ponieważ zbrodnie wojenne się nie przedawniają. Zgodnie z konstytucją Polacy powinni mieć możliwość dochodzenia roszczeń przed polskim sądem, nie tylko jeżeli chodzi o dobre imię, lecz także gdy w grę wchodzą odszkodowania za zbrodnie z czasów wojny.

Jak ta ścieżka wygląda w praktyce? Od 2016 r. walczy pan przed polskim sądem o odszkodowanie za cztery lata niewolniczej pracy swojej matki.

Mama umarła w 2015 r., rok przed rozpoczęciem tej batalii prawnej. Kiedy w latach 90. pojawiła się szansa uzyskania świadczeń od Fundacji Polsko-Niemieckiej „Pojednanie", mama poprosiła mnie, żebym jej w tym pomógł. Sporządziłem wnioski w imieniu jej i jej brata, który również został wywieziony wraz z nią na roboty pod Królewiec na wielką farmę mleczną.

W wyniku postępowania mama usłyszała odmowę, gdyż okazało się, że jej nazwisko zniknęło z dokumentacji niemieckiej. Jak do tego doszło? Niemcy starali się to ukryć jeszcze w czasie wojny, ponieważ nawet w świetle prawa III Rzeszy nie wolno było brać do pracy 12-letniego dziecka. Mama nie dostała świadczenia z fundacji i bardzo to przeżyła. Świadczenie otrzymał za to wujek. Było to 2,5 tys. zł za cztery lata pracy niewolniczej…

Żąda pan w pozwie skierowanym przeciwko rządowi RFN 663 tys. zł. Skąd się wzięła ta kwota?

To po prostu czteroletnie wynagrodzenie dla pracownika rolnego wraz z odsetkami oraz odszkodowanie za stracone szanse mojej mamy – spędziła przecież cztery lata dzieciństwa, harując za darmo na roli, zamiast uczyć się w szkole. Rozpocząłem tę sprawę we wrześniu 2016 r., składając pozew w Sądzie Okręgowym w Płocku – mama została wywieziona na roboty, gdy mieszkała w tej okolicy. Pozew został przyjęty do rozpoznania i skierowany – przez ambasadę polską w Berlinie – do urzędu kanclerskiego w Berlinie. Tam jednak został odrzucony na podstawie proceduralnej. Strona niemiecka nie podjęła działań procesowych.

Stwierdziła, że nie uważa się za stronę w tej sprawie, gdyż jest chroniona immunitetem jurysdykcyjnym, zgodnie z zasadą prawa zwyczajowego – *par in parem non habet imperium* (równy nie ma władzy nad równym). Sprowadza się to do tego, że państwo (i jego obywatele) nie może pozywać innego państwa. Sąd okręgowy przyjął tę argumentację, a następnie sąd apelacyjny podzielił zdanie sądu okręgowego. Ewidentnie strona niemiecka nie ma zamiaru poddać się jurysdykcji sądu polskiego. Wniosłem skargę kasacyjną do SN, który po roku ustosunkował się do niej, odpowiadając, że nie rozpozna jej, ponieważ „nie zawiera nowych zagadnień prawnych".

Czyli uznał, że wypowiedział się już w przeszłości wystarczająco jasno w tej materii.

Tak, nasz Sąd Najwyższy przeanalizował podobną sprawę w 2010 r. Powodem był w niej Winicjusz Natoniewski, który został ciężko poparzony jako małe dziecko podczas niemieckiego ataku na jego rodzinną wioskę. SN przyznał rację moralną panu Natoniewskiemu, ale stwierdził, że nie można pozwać strony niemieckiej, ponieważ ta skutecznie zasłania się instytucją immunitetu.

Czyli to kończy sprawę – polscy obywatele zderzają się w takich sprawach z murem.

Nie do końca. Odmowna decyzja SN daje mi prawo skorzystania z nowo wprowadzonej instytucji – skargi nadzwyczajnej. Uczynię to w najbliższych miesiącach. Czekam też na stanowisko polskiego Trybunału Konstytucyjnego, który zajmuje się obecnie pytaniem dużej grupy posłów z października 2017 r. Chodzi o stwierdzenie, czy można się chować za instytucją immunitetu jurysdykcyjnego w szczególności w odniesieniu do zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Według Biura Analiz Sejmowych ta instytucja powinna zniknąć z naszego porządku prawnego. Chodzi o to, żeby obywatel polski mógł realizować swoje konstytucyjne prawo do sądu bez ograniczeń. Taka zmiana da szansę wielu Polakom poszkodowanym w II wojnie światowej na dochodzenie sprawiedliwości.

Polska byłaby w takim przypadku wyjątkiem?

Nie, nie jesteśmy w tej batalii osamotnieni; orzeczeniem z 2014 r. włoski Sąd Konstytucyjny prawomocnie rozstrzygnął, że prawo włoskiego obywatela do skargi sądowej przeciwko obcemu państwu ma pierwszeństwo przed niepisaną, zwyczajową normą prawa międzynarodowego, którą jest immunitet jurysdykcyjny i egzekucyjny państwa. Państwo polskie będzie szanowane, gdy odważnie i skutecznie podejmie dochodzenie praw należnych sobie i swoim obywatelom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Sylwester Pieckowski, LL.M. (Michigan) *– jest członkiem Izby Adwokackiej w Warszawie, międzynarodowym arbitrem i mediatorem gospodarczym, od lat wyróżnianym przez Chambers Global (2010–2016) oraz Chambers Europe (2010–2018) w gronie wiodących prawników w Polsce zajmujących się rozwiązywaniem sporów.*

eprasa.pl 4bfed2fe01

Marcin Bartnicki

„Polskie obozy" przed sądem

Pozwy sądowe za „polskie obozy" okazują się w pewnej mierze skuteczne, ale do pełnej satysfakcji powództwa jeszcze daleko...

Śp. Karol Tendera doczekał 20 września br. wycofania skargi kasacyjnej przez ZDF

FOT. JACEK BEDNARCZYK/PAP

To miał być precedens. Zbigniew Osewski, wnuk więźnia Stutthofu, pozwał niemiecki koncern medialny za stwierdzenie, że obóz w Majdanku to „były polski obóz koncentracyjny". Po dziewięciu latach przed polskimi sądami Axel Springer wygrał, ale sama postawa wydawcy „Die Welt" daje nadzieję na poprawę sytuacji.

W listopadzie 2008 r. niemiecki dziennik opublikował artykuł „Asaf został zamordowany i podróżuje dookoła świata" o izraelskim 16-latku, który zginął w zamachu terrorystycznym. Ojciec Asafa – Yossi Zur – opublikował zdjęcie chłopca w Internecie, apelując do internautów, aby podróżowali z nim po świecie. Efektem akcji były napływające z różnych krajów fotografie ludzi trzymających zdjęcie Asafa na tle ważnych miejsc historycznych i krajobrazów z różnych kontynentów. Uczniowie z Izraela zabrali fotografię również do obozu w Majdanku. W tym właśnie kontekście miejsce to zostało nazwane „dawnym polskim obozem koncentracyjnym".

CZĘŚCIOWE ZWYCIĘSTWO

Do sprawy odniósł się ówczesny wiceminister spraw zagranicznych Ryszard Schnepf, zapowiadając wytoczenie wydawcy dziennika „poważnego procesu sądowego na dużą skalę, za duże pieniądze". Na tym jednak sprawa się skończyła. Państwo polskie nie złożyło pozwu przeciw zagranicznej firmie, zrobił to Zbigniew Osewski, domagając się przeprosin dla siebie i wszystkich Polaków (na łamach „Rzeczpospolitej" i „Gazety Wyborczej"), zapewnienia ze strony wydawcy, że sytuacja nigdy się nie powtórzy, oraz wpłaty miliona złotych na cel społeczny – na rzecz ośrodka szkolno-wychowawczego w Świnoujściu.

Redaktor naczelny „Die Welt" Thomas Schmid przeprosił za szkalujące Polskę sformułowanie, dziennik opublikował przeprosiny zarówno w wersji drukowanej, jak i na swojej stronie internetowej. Zmienił również wersję artykułu widoczną na swoim portalu, dodając na końcu tekstu informację o popełnionym błędzie. Gazeta zaznaczyła, że w pierwszej wersji użyła zwrotu „dawny polski obóz koncentracyjny Majdanek". „To jest błąd. Majdanek był niemieckim obozem koncentracyjnym, który został stworzony w okupowanej Polsce przez SS na polecenie Heinricha Himmlera".

Sprawa trafiła do Sądu Okręgowego w Warszawie, który powództwo oddalił. Sędzia Eliza Kurkowska zaznaczyła, że „sformułowanie to powinno budzić sprzeciw i oburzenie każdej osoby znającej historię, zwłaszcza Polaków", uzasadniając wyrok, zwróciła jednak uwagę, że nazwanie Majdanka „polskim obozem" nie dotyczyło bezpośrednio Osewskiego.

Sytuacja powtórzyła się w sądzie apelacyjnym. Mimo że sędzia Ewa Kaniok zgodziła się z częścią argumentacji, nie było podstaw prawnych, aby zmienić decyzję sądu okręgowego. „Oczernianie wspólnoty, która wywarła doniosły wpływ na ukształtowanie osobowości człowieka, stanowi formę poniżenia jego godności" – mówiła, uzasadniając decyzję. Dodała również, że słowa o „polskich obozach koncentracyjnych" godzą w wewnętrzne przekonanie o własnej wartości i „wzbudzają uzasadniony niepokój psychiczny o to, w jaki sposób może on być postrzegany jako Polak przez członków

eprasa.pl 4bfed2fe01

Kapitan AK Zbigniew Radłowski żąda przeprosin od telewizji ZDF FOT. JACEK BEDNARCZYK/PAP

Wnuk więźnia Stutthofu Zbigniew Osewski pozwał wydawcę „Die Welt" FOT. BŁAŻEJ NADOLNY/EAST NEWS

innych grup społecznych – czy w oczach innych narodów uchodzić będzie za członka narodu niesplamionego krwią ofiar obozów zagłady, czy też za członka narodu niosącego brzemię zbrodniczej przeszłości".

„Na pewno będzie kasacja z tego powodu, że nie zgadzam się ze stanowiskiem sądu apelacyjnego w kwestii, że strona pozwana usunęła skutki naruszenia dóbr osobistych – stwierdził po ogłoszeniu decyzji Osewski. – Natomiast bardzo się cieszę z wygrania pozostałych spraw w tym procesie – uznania mojego roszczenia co do meritum, czyli że doszło do naruszenia moich dóbr osobistych, że posiadałem legitymację czynną w tym procesie i że sąd stwierdził, iż rzeczywiście postępowanie strony pozwanej było nie do przyjęcia. To jest wielki sukces moim zdaniem". Ostatecznie sprawa zakończyła się w lutym 2017 r., gdy Sąd Najwyższy odmówił przyjęcia skargi kasacyjnej.

GRA NA CZAS

Jednym z problemów w wykazaniu winy było to, że Osewski sam nie był ofiarą wojny, chociaż w obozie pracy w Iławie zginął jego dziadek, a drugi był więziony na terenie Niemiec. Inaczej było w procesie, który niemieckiej publicznej telewizji ZDF (Zweites Deutsches Fernsehen) wytoczył – zmarły w końcu września br. – Karol Tendera, który sam był więźniem Auschwitz. Stacja użyła nazwy „polski obóz zagłady" w odniesieniu do Auschwitz-Birkenau i Majdanka w opisie materiału zamieszczonym na swojej stronie internetowej.

Sprawa Osewskiego toczyła się w kolejnych instancjach przez niemal dziewięć lat. Ludzie, którzy bezpośrednio doświadczyli okrucieństw II wojny, nie mają tyle czasu. Grupa weteranów i poszkodowanych z roku na rok jest coraz mniej liczna, a pozwane media wykorzystują całą dostępną drogę sądową, licząc na to, że sprawa rozwiąże się sama, bo druga strona zwyczajnie nie dożyje rozstrzygnięcia.

ZDF zwróciło się nawet do niemieckiego sądu, a ten sprawę rozpatrzył, co w unijnym systemie prawnym nie powinno się zdarzyć, bo podważanie wyroków wydanych przez sąd państwa UE, przez sąd z innego kraju Unii, jest niedopuszczalne. Sądy w Moguncji i Koblencji wydały wyroki potwierdzające roszczenia byłego więźnia Auschwitz. Innego zdania byli jednak sędziowie z Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, którzy stwierdzili, że niemiecka stacja nie musi przepraszać Polaka. Również Sąd Okręgowy w Krakowie uznał, że – podobnie jak było w przypadku „Die Welt" i Zbigniewa Osewskiego – ogólne przeprosiny są wystarczające i telewizja nie musi przepraszać poszkodowanego imiennie. Karol Tendera czekał na finał procesu od 2013 r. Sprawa zakończyła się ostatecznie dopiero niedawno, 20 września. Stacja ZDF wycofała skargę kasacyjną do Sądu Najwyższego, co oznacza umorzenie dalszego postępowania i utrzymanie w mocy decyzji sądu II instancji.

Końca procesu wypatruje również 95-letni kapitan AK Zbigniew Radłowski, który przed krakowskim sądem okręgowym, wspólnie ze Światowym Związkiem Żołnierzy AK, wygrał proces z ZDF dotyczący serialu „Nasze matki, nasi ojcowie".

W grudniu 2018 r. sąd uznał, że niemiecka telewizja musi przeprosić. To ważny precedens. Określenie „polskie obozy koncentracyjne" w odniesieniu do Majdanka czy Auschwitz-Birkenau jest bezsprzecznie błędne. Znacznie trudniejsze jest rozstrzygnięcie, czy pokazanie aktów antysemityzmu w wykonaniu AK w filmie fabularnym jest fałszowaniem historii. Po pierwsze dlatego, że mamy do czynienia z fikcyjną fabułą, osadzoną jedynie w czasach i warunkach

eprasa.pl 4bfed2fe01

historycznych. Artystyczna wizja losów fikcyjnych postaci może nam się nie podobać, trudno jednak oskarżać o to twórców przed sądem. Po drugie, Armia Krajowa była ogromną formacją, w której znajdowali się ludzie różnego pokroju, i bez dużego wysiłku można wskazać wśród nich również antysemitów, a nawet ludzi mordujących bezbronnych Żydów. Oczywiście na własną rękę, a nie z rozkazu. Krakowski sąd poradził sobie jednak z tą trudną sprawą.

Szczególne kontrowersje wywołała scena z serialu, w której żołnierze AK zatrzymują pociąg. Gdy okazuje się, że w wagonach znajdują się Żydzi, zatrzaskują drzwi, pozostawiając ludzi na śmierć. „To są Żydzi, a oni są gorsi od komunistów" – stwierdza jeden z AK-owców. W innej scenie ludność cywilna zgadza się przekazać żywność partyzantom pod warunkiem, że w ich szeregach nie ma Żydów. Dla kpt. Radłowskiego było to szczególnie dotkliwe i niesprawiedliwe, ponieważ sam walczył w AK i uczestniczył w ratowaniu Żydów.

Rozstrzygająca dla krakowskiego sądu okręgowego była opinia biegłego – filmoznawcy prof. Konrada Klejsy. Sędzia Kamil Grzesik stwierdził na jej podstawie, iż „twórcy serialu chcieli wywołać u widza wrażenie, że film opowiada historie prawdziwych ludzi, na tle autentycznych wydarzeń historycznych i widz wierzy, że zdarzenia są autentyczne". Ekspert, a za nim sąd, wskazywał na elementy produkcji, których celem było stworzenie u widza przeświadczenia, że ma do czynienia z serialem opartym na faktach, np. sceny przeplatane są fragmentami kronik filmowych. Istotne było szczególnie to, że takie postawy i wydarzenia były powszechne. „Sąd w żadnym stopniu nie stosuje cenzury i nie zakazuje dyskusji o antysemickich postawach niektórych żołnierzy AK, i nie przesądza, że te sytuacje nigdy nie miały miejsca. Chodzi jednak o skalę. Naruszenie dóbr może nastąpić przez jednostronne i niewłaściwe pokazanie faktów historycznych" – uzasadniał sędzia Kamil Grzesik.

Kapitan Radłowski i Światowy Związek Żołnierzy AK domagali się emisji przeprosin na antenie oraz na stronie internetowej ZDF, w których telewizja miała wyraźnie zaznaczyć, że większość żołnierzy AK nie była antysemitami oraz że formacja ta nie uczestniczyła w Holokauście. Sąd przychylił się do tego żądania. Nakazał również, aby emisja serialu w innych krajach była poprzedzona komunikatem wskazującym, że za eksterminację Polaków i Żydów w okupowanej Polsce odpowiedzialni są Niemcy. ZDF zapowiedziało złożenie apelacji.

ZAPOMNIENIE

Mimo przewlekłych procesów droga sądowa pod pewnym względem okazuje się zaskakująco skuteczna. Podstawowym efektem wytaczania procesów są pojawiające się natychmiast sprostowania i przeprosiny. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich przypadków. O ile niemieckie media po popełnieniu błędu wykazują się zwykle wrażliwością, przepraszają i publikują sprostowania, o tyle w innych krajach, gdzie znajomość historii II wojny światowej jest nieco mniejsza, tak już nie jest. Szczególnie wśród polityków.

Profesor John Merriman, autor bestsellerowego podręcznika „A History of Modern Europe: From Renaissance to the Present" i wykładowca na uniwersytecie Yale, ma jasną odpowiedź, jak reagować na przypadki nazywania niemieckich nazistowskich obozów polskimi. W udzielonym mi wywiadzie stwierdził: „Oczywiście na to trzeba reagować. Nie pamiętam już, który idiota to powiedział, ale to był przejaw głupoty autora tego stwierdzenia. Jeśli chce pan przykładu braków wiedzy Amerykanów, szczególnie polityków, ten jest świetny. To było całkowite szaleństwo, oczywiste, że ktoś powinien na nie zareagować. To głupota i nieporozumienie w stosunku do tego, co stało się z Żydami w Polsce, ale także na Węgrzech, w Bułgarii, we Francji i w wielu innych miejscach. Musimy jasno stwierdzić, że to przedstawia całkowicie fałszywą interpretację tego, co się stało".

Publikowanie sprostowań zależy w dużym stopniu od dobrej woli koncernu medialnego. Media spoza UE, np. z USA, nie zawsze czują się zobowiązane do wyjaśniania znaczenia pomyłki czytelnikom. Polskie sądy nie mają podstaw prawnych do rozstrzygania części pozwów dotyczących fałszowania historii, z kolei próba wprowadzenia prawa pozwalającego na karanie za nazywanie niemieckich obozów polskimi zakończyła się dyplomatyczną katastrofą.

Prawa penalizujące kłamstwa historyczne, podobnie jak pozwy sądowe, nie zawsze są potrzebne. Gdy w 2012 r. polskie MSZ interweniowało w sprawie przeznaczonej dla gimnazjalistów broszury „Jüdisches Leben in Deutschland" („Żydowskie życie w Niemczech"), natychmiast wycofano cały 800-tysięczny nakład i zmieniono internetową wersję publikacji (już po wycofaniu publikacji można było znaleźć ją jeszcze w niektórych bibliotekach). O ile część pomyłek dziennikarzy może wynikać z niedbalstwa lub nieznajomości historii, o tyle trudno zarzucić to ekspertom. Autorem broszury był prof. Arno Herzig z uniwersytetu w Hamburgu, specjalizujący się w historii relacji niemiecko-żydowskich i w historii Śląska.

Co więcej, poza standardowym błędem w nazywaniu niemieckich obozów polskimi w podręczniku znalazł się fragment znacznie bardziej problematyczny, bo wychodzący daleko poza błąd językowy. Profesor Herzig wymienia kolejno kraje, których obywatele zaangażowali się w ratowanie Żydów z narażeniem życia: Holandia, Belgia, Norwegia, Finlandia, Bułgaria i Włochy. Dalej Herzig pisze: „Także w krajach jak Polska, gdzie panował tradycyjny antysemityzm, znaleźli się ludzie, którzy ukrywali Żydów, jak donosi o tym literatura wspomnieniowa". Można więc odnieść wrażenie, że Polska jest przeciwstawiona krajom, w których ratowanie Żydów było powszechne, natomiast nad Wisłą były to nieliczne przypadki.

Pozwy sądowe czy interwencje na szczeblu ministerstwa mogą przynieść natychmiastowy, ale niekoniecznie długotrwały efekt, gdyż zyskują rozgłos medialny zwykle tylko w Polsce. Długoterminowo skuteczniejsze są „miękkie" formy pokazywania, jak duże znaczenie ma dla Polski trzymanie się faktów historycznych. O ile zagraniczne kampanie społeczne wypadają – ujmując to eufemistycznie – średnio, o tyle znacznie lepiej swoją funkcję spełniają wydarzenia organizowane dla ekspertów. Konferencje takie jak „Przywracanie zapomnianej historii. Wyobrażenia o Europie Środkowo-Wschodniej w anglojęzycznych podręcznikach akademickich 2006–2017. Ocena stanu wiedzy o historii Polski w świecie" przyciągają wykładowców znakomitych uczelni z całego świata (jednym z uczestników był prof. John Merriman). Co ważne, takie działania uświadamiają znaczenie problemu wszystkim, bez względu na poglądy polityczne. Osiągnięcie długotrwałego efektu w postaci zmniejszenia skali przeinaczania faktów historycznych dotyczących Polski jest możliwe wyłącznie, jeśli wykorzystamy cały zestaw dostępnych narzędzi – PR-owskich i marketingowych oraz prawnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. ADOBE STOCK

Co robić z kłamstwem „polskich obozów”?

Czy przez sądy wiedzie najlepsza droga skutecznej walki o dobre imię Polski i Polaków? Z tym pytaniem Piotr Włoczyk zwrócił się do kilku miarodajnych osób

Konieczny jest przekaz – prosty, klarowny i powtarzany

PROF. MAREK JAN CHODAKIEWICZ
amerykański historyk polskiego pochodzenia

Poprawka do ustawy o IPN z 2018 r. była poważnym błędem strategicznym. Jestem zwolennikiem wolności słowa. Uważam, że państwo nie powinno czegoś takiego regulować. Natomiast rozumiem doskonale, gdy jednostki bądź organizacje pozarządowe wstępują na drogę prawną, aby bronić się przed zniesławieniem. Reduta Dobrego Imienia daje tutaj dobry przykład.

Soft power oznacza wyzyskiwanie odpowiednich narzędzi sprawowania władzy: m.in. propagandy, dyplomacji klasycznej oraz dyplomacji publicznej. Ta ostatnia droga jest chyba najbardziej odpowiednia. Polega bowiem w tym przypadku na dotarciu do opinii publicznej obcych krajów z pominięciem ich rządów. Internet pomnaża wiele możliwości tej drogi. Przede wszystkim trzeba jednak wiedzieć, co się opowiada. Najpierw potrzebujemy wielowątkowych projektów badawczych, aby historię Polski zbadać. Zaniedbania w tym temacie są straszliwe.

Chodzi o tysiące mikrografii: osób, miejsc i zjawisk. Są one konieczne do użytku wewnętrznego, tak aby zdobyć poparcie świadomej części społeczeństwa. Należy zapewnić środki na takie publikacje, a więc na zmiany mentalnościowe oraz samoobronę. Dopiero po wykonaniu tej wielkiej pracy można mówić o byciu gotowym do zadań na arenie międzynarodowej. Następnie trzeba przygotować przystępne streszczenie wiedzy ogólnej oraz jej wersje skrojone pod kultury narodowe, na które ukierunkowane będą działania dyplomacji publicznej. Ważne są nie tylko prostota i klarowność, lecz także powtarzanie przekazu. Komunikacja strategiczna to klucz do sukcesu.

eprasa.pl 4bfed2fe01

Prawda nie wymaga sądów ani prokuratorów

PIOTR ZYCHOWICZ, redaktor naczelny „Historii Do Rzeczy”

Mam prawicowe, konserwatywne poglądy. A co za tym idzie – jestem zwolennikiem wolności słowa i niczym nieskrępowanej wolności badań naukowych. Wszelkie ich ograniczanie uważam za objaw charakterystycznych dla lewicy ciągot do wprowadzenia cenzury. Ustalenia odgórnie „jedynie słusznej” wersji historii. Dlatego forsowany niedawno przez PiS projekt ustawy broniącej „dobrego imienia Polski” od początku uważałem za chybiony. O tym, kto ma rację, powinna decydować siła argumentów wymienianych w otwartej debacie. A nie policjant z pałką, prokurator ani sędzia. Pomysł, że można wsadzić człowieka do więzienia na trzy lata – jak przewidywał to projekt ustawy – za wypowiedziane przez niego słowa uważam za aberrację.

Ustawa ta była oczywiście nieudolną próbą naśladowania, również niepotrzebnych, przepisów o tzw. kłamstwie oświęcimskim. Problem w tym, że wszystkie przypadki używania terminu „polskie obozy śmierci” zanotowano poza granicami Polski. W tym wiele w USA i Izraelu. A ustawa obowiązywałaby… na terytorium Polski. Wprowadzenie jej nie miałoby więc żadnego realnego znaczenia dla walki z „polskimi obozami”. A sam jej projekt przyniósł Polsce poważne straty na arenie międzynarodowej.

Co więc robić? Na pewno nie powinno się używać do lansowania prawdy o polskiej historii sądów ani prokuratorów. Należy się również powstrzymywać od pieniactwa i oburzania się z byle powodu. Tego typu działania przynoszą skutki odwrotne do zamierzonych.

O tym, kto ma rację, powinna decydować siła argumentów wymienianych w otwartej debacie

Jeżeli państwo polskie chce zbudować pozytywny obraz Polski i polskiej historii na świecie, to musi postawić na długofalową pracę u podstaw. Należy wydawać za granicą książki opisujące czyny polskich bohaterów, działać na rzecz tworzenia polskich katedr na uniwersytetach, wspierać przychylnych Polsce historyków. Powoli, z mozołem budować „Polish lobby”. Tylko taka droga może przynieść pozytywne skutki.

Prawo musi być jednoznaczne

PROF. SZEWACH WEISS, izraelski politolog, polityk i dyplomata

Wiadomo, że polskich obozów zagłady nie było. Ludzie, którzy używają tej frazy, najczęściej mają na myśli lokalizację. Obozy zagłady zlokalizowane zostały na terenie okupowanej Polski, więc niektórzy stosują tu niestety skrót myślowy na zasadzie „Wisła – polska rzeka”. Bardzo rzadko używane jest to z premedytacją – ktoś musi mieć wyjątkowo złe intencje, by stosować tę frazę celowo.

Gołym okiem widać, że kampanie prowadzone w ostatnich latach przeciw „polskim obozom zagłady”, a także procesy sądowe przynoszą rezultat. Coraz rzadziej słyszymy tę krzywdzącą zbitkę wyrazów. Wiedza, że ten skrót myślowy jest – delikatnie to ujmując – błędem, staje się coraz bardziej powszechna w największych światowych mediach.

W Izraelu zapisane jest w prawie proste zdanie: „Nie wolno używać swastyki”. Prawo musi być jednoznaczne. Tego właśnie zabrakło w nowelizacji ustawy o IPN

Oczywiście, warto używać w takich sprawach drogi prawnej, ale trzeba to robić mądrze, żeby nie wylać dziecka z kąpielą. U nas w Izraelu zapisane jest w prawie bardzo proste zdanie: „Nie wolno używać swastyki”. Kto używa swastyki, ten podlega karze. Prawo musi być jednoznaczne. Tego właśnie zabrakło w zeszłorocznej nowelizacji ustawy o IPN. Jestem przekonany, że gdyby w nowelizacji znalazło się proste zdanie: „Nie wolno używać frazy »polskie obozy zagłady«”, nie doszłoby do tych wielkich napięć międzynarodowych. Tymczasem nieprecyzyjny zapis, który umożliwia różne interpretacje, doprowadził do tego, że zaczęto rozmawiać o szmalcownikach i pojawiły się pytania, czy takie rozmowy też mogą być penalizowane.

Osobnym tematem jest to, czy za fałszowanie historii można wsadzać ludzi za kratki. Obie strony mają tu swoje racje i to już zależy od wrażliwości danego społeczeństwa. Tutaj na pewno nie ma jednej uniwersalnej recepty. Myślę jednak, że wszyscy zgodzimy się co do tego, iż media, które wielokrotnie dopuszczają się poważnych naruszeń w tej materii, mogą być karane finansowo.

Jak najlepiej zapobiegać wykrzywianiu historii? Trzeba o niej uczyć! Tylko rzetelna i atrakcyjnie prowadzona edukacja może dotrzeć do ludzi. Nie wszystko da się osiągnąć siłowo – dobra edukacja nie zna jednak ograniczeń.

eprasa.pl 4bfed2fe01

Nie rezygnujmy z drogi sądowej

EWA SIEMASZKO, badaczka rzezi na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej

W dbaniu o dobre imię Polski i narodu polskiego zarówno narzędzia prawne, jak i edukacyjno-kulturalne są tak samo ważne. Samymi wygranymi procesami o zniesławienie nie dotrzemy do publicystów, polityków i historyków za granicą. Nie mogę się jednak zgodzić z tymi, którzy twierdzą, że należy odpuścić drogę prawną, ponieważ – rzekomo – stawia nas to w roli „awanturników historycznych”. Są bowiem sytuacje, gdy wobec uporczywego powtarzania kłamstw przez drugą stronę sprawa sądowa jest jedyną skuteczną opcją obrony dobrego imienia Polski i Polaków.

W najbardziej skrajnych przypadkach, gdy mamy do czynienia z „recydywistą”, który celowo i publicznie, na wielką skalę, fałszuje historię, negując zbrodnie popełnione na Polakach, bądź przypisuje naszemu narodowi cudze zbrodnie, nie wykluczam również karania takich przestępstw pozbawieniem wolności. Chociaż oczywiście zdaję sobie sprawę, że w praktyce postawienie takich zagranicznych „recydywistów” przed polskim wymiarem sprawiedliwości jest mało realne – taki „straszak” na kłamców historycznych jest jednak potrzebny. Dlaczego? Ponieważ należy wszelkimi możliwymi sposobami zabiegać o to, aby zbrodnie nie były przedstawiane jako szlachetność, zbrodniarze jako bohaterowie i żeby nikt nie podmieniał sprawców. Nie interesuje mnie przy tym, co inni będą mówili o takim prawie – zależy mi tylko na tym, żeby na temat naszej historii mówiono prawdę.

Równie ważne jest jednak nasilenie działań edukacyjnych, promocja wyników badań naszych historyków, by docierać z prawdziwym przekazem do innych społeczeństw. Świetnie zdają tu egzamin wielkie konferencje historyczne, na które zapraszani są najważniejsi historycy z całego świata. Państwo polskie powinno mocno wspierać takie inicjatywy, bo bardzo skutecznie pomagają opowiadać prawdziwą historię Polski.

Odwrotny skutek kagańca kodeksu karnego

PROF. BOGDAN MUSIAŁ, historyk Polski, Niemiec i Rosji w XX w.

Jestem zwolennikiem wolnej debaty na wzór amerykański, więc siłą rzeczy jestem przeciwny stosowaniu przepisów karnych w sprawach historycznych. Nigdy nie ukrywałem, że nie podobała mi się nowelizacja ustawy o IPN. Uważałem, iż to niepotrzebna zmiana, tym bardziej że już wcześniej polskie prawo dawało możliwość wszczynania spraw karnych przeciwko osobom, które fałszowały historię w kontekście odpowiedzialności za zbrodnie.

Wiele lat żyłem w Niemczech i z bliska przyglądałem się temu, jak zachodni intelektualiści patrzą na dzieje Polski w czasie II wojny światowej. Niemal dogmatem jest tam przypisywanie Polakom współodpowiedzialności za Holokaust. Ci ludzie są naprawdę święcie przekonani, że tak wygląda prawda historyczna. Dlatego próba sięgnięcia po kodeks karny mogła wyglądać z ich punktu jak kaganiec, co przyczyniło się do intensyfikacji furiackich ataków na Polskę.

Co trzeba więc robić? Zamiast sięgać po narzędzia prawne, należy rozpocząć wielką „pracę u podstaw”. Ważniejsze niż budowanie kolejnych muzeów jest inwestowanie w badania historyczne, by dokładnie opisać rzeczywistość, w której żyli Polacy w czasie II wojny światowej. Wciąż bowiem ten olbrzymi temat nie został odpowiednio przepracowany. Państwo musi zainwestować w ten obszar, ponieważ przez długie lata III RP – a wcześniej w czasach PRL – doszło tu do olbrzymich zaniedbań i państwowe pieniądze szły na badania, które wspierały tezę o „polskim współudziale”.

Tylko nie róbmy ofiar z kłamców

PAWEŁ LISICKI, redaktor naczelny „Do Rzeczy”

Nie jest łatwo znaleźć odpowiedź na pytanie, w jaki sposób najlepiej walczyć z kłamstwami. Jest tak z różnych powodów. Po pierwsze, zawsze istnieje pytanie, jak odróżnić kłamstwo od pomyłki, błędu, ewentualnie od ekstrawaganckiej opinii. Jak pogodzić naturalne prawo do wolności wypowiedzi i badań z obroną przed szerzeniem kłamstwa? Po drugie, istnieje niebezpieczeństwo polegające na tym, że stosowanie zbyt „bogatych” środków prawnych w stosunku do kłamców może z nich zrobić ofiary i dodatkowo przyczynić się do rozpowszechniania fałszerstw.

Nie można jednak biernie pogodzić się z sytuacją, w której rozpowszechnianie kłamstwa staje się normą i cieszy się powszechnym przyzwoleniem. Najlepsze zatem jest połączenie obu sposobów działania: soft power i ewentualnie, w skrajnych sytuacjach, gdy nie ma wątpliwości co do złej woli i chęci szkodzenia Polsce, przepisów prawnych. Skuteczna obrona wizerunku Polski i prawdy historycznej nie jest sprawą łatwą i wymaga zręczności oraz roztropności.

eprasa.pl 4bfed2fe01

„Wojna postu z karnawałem" Pietera Bruegla st. FOT. WIKIPEDIA

Zagrabione, utracone

Tomasz Stańczyk

Niemcy doskonale przygotowali się do napaści na Polskę. Nie tylko pod względem militarnym, lecz także rabunkowym. A oczekiwanym łupem miały być także dzieła sztuki i inne skarby kultury w polskich zbiorach publicznych i prywatnych

Niektórzy niemieccy historycy i historycy sztuki przyjeżdżali przed II wojną światową do swoich polskich kolegów po fachu na przeszpiegi, notując, co można będzie zagrabić. Byli wśród nich m.in. profesorowie Heinz Clasen z Królewca i Dagobert Frey z Wrocławia, którego gościł Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie. Historyk sztuki dr Kajetan Mülmann podczas wizyty w pałacu Radziwiłłów w Nieborowie „inwentaryzował" co ciekawsze obiekty. Podczas niemieckiej okupacji z pałacu zabrano dwa XVIII-wieczne globusy, na szczęście odzyskano je po wojnie.

RABUSIE – DYGNITARZE I ŻOŁDACY

Wśród swego rodzaju miłośników sztuki byli dygnitarze III Rzeszy, na czele z Adolfem Hitlerem i Hermannem Göringiem. Pierwszy liczył na wzbogacenie przez grabież w Polsce projektowanego muzeum w Linzu, drugi – swojej rezydencji Carinhall. „Naukowe" podejście do grabieży w Polsce miał Heinrich Himmler, który stworzył instytut Ahnenerbe (Dziedzictwo Przodków). Jesienią 1939 r. Göring wysłał do Polski w celach rabunku Kajetana Mühlmanna, Himmler zaś – prof. Petera Paulsena.

Oprócz zaplanowanej, instytucjonalnej grabieży istniała też prywatna. Niemieccy żołnierze we wrześniu 1939 r. zrabowali w Sieniawie, posiadłości Czartoryskich, „Szkatułę królewską" – skrzynię z hebanu, która mieściła pamiątki po polskich królach i królowych. Były w niej m.in.: krzyżyki pektoralne Jagiellonów, zegarek Zygmunta II, naszyjnik Marii Ludwiki, Order Złotego Runa Władysława IV. Nic z tych rzeczy nie zostało odnalezione ani odzyskane.

W Sieniawie w niemieckie ręce wpadły najcenniejsze łupy: „Dama z łasiczką" Leonarda da Vinci, „Portret młodzieńca" Rafaela Santiego oraz „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem" Rembrandta van Rijn. Ta zdobycz przypadła generalnemu gubernatorowi Hansowi Frankowi. Uciekając z Krakowa, Frank zabrał ze sobą te arcydzieła. Udało się odzyskać dwa. Obraz Rafaela nie został odnaleziony.

Inny okupacyjny dygnitarz, Otto Wächter, generał SS, gubernator dystryktu

eprasa.pl 4bfed2fe01

krakowskiego, zabrał z Muzeum Narodowego w Krakowie wiele dzieł sztuki do wyposażenia swojej rezydencji. Wśród nich „Wojnę postu z karnawałem" Pietera Bruegla st. Nie został odnaleziony ani odzyskany. Niedawno syn Wächtera przekazał do Krakowa trzy zabytkowe obiekty zrabowane przez jego rodziców.

Jednym z ostatnich rabunków polskich zabytków była kradzież dokonana przez niemieckich żołnierzy stacjonujących w Muzeum Narodowym podczas powstania warszawskiego. Grabież tę opisał dyrektor Lorentz w swoim dzienniku. Zdarzyło się raz, że po latach jeden z weteranów Wehrmachtu, będąc na łożu śmierci, zdecydował się zwrócić zagrabiony w muzeum obraz.

Od razu po ustaniu działań wojennych na tereny poniemieckie (Dolny Śląsk) i niemieckie wyruszyły polskie ekipy poszukiwawcze. Wielkie zasługi w odzyskaniu dzieł sztuki położyli historycy sztuki profesorowie Karol Estreicher i Stanisław Lorentz. Odzyskano, poza wspomnianymi dziełami Leonarda da Vinci i Rembrandta, m.in. obrazy Canaletta z Zamku Królewskiego i „Ołtarz mariacki" wywieziony z Krakowa. Sporządzony wkrótce po II wojnie światowej przez Biuro Odszkodowań Wojennych przy prezydium rządu bilans strat dziedzictwa kulturowego był porażający. Wśród utraconych dzieł sztuki było prawie 3 tys. obrazów europejskiego malarstwa i 11 tys. polskiego, 1,5 tys. rzeźb, 300 tys. grafik, 22 tys. starych druków, 75 tys. rękopisów. Jedne zostały zagrabione, inne zniszczone.

63 TYS. DZIEŁ SZTUKI

Lata zimnej wojny nie sprzyjały poszukiwaniom utraconych dzieł sztuki, szczególnie w Republice Federalnej Niemiec. Akcję odzyskiwania utraconych skarbów kultury podjęto po 1989 r., a zajęły się nią Ministerstwo Spraw Zagranicznych oraz Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Chociaż każde z nich ma swoje niezaprzeczalne sukcesy, to owa dwutorowość i brak koordynacji były krytykowane, także przez NIK, w raporcie z 2017 r., zarzucającym brak współdziałania, a także generalnej strategii odzyskiwania dzieł sztuki. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wydało katalogi strat wojennych dotyczące dzieł sztuki, w tym malarstwa polskiego i zagranicznego. Baza strat wojennych MKiDN dotycząca utraconych podczas II wojny światowej dzieł sztuki obejmuje ponad 63 tys. obiektów. Około 44 proc. to straty zbiorów publicznych, około 31 proc. związków wyznaniowych, około 21 proc. – osób prywatnych. Są to jednak tylko te obiekty, które posiadają dokumentację i ustalonych właścicieli. Utraconych dzieł jest o wiele więcej. Jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku Polska wystosowała wnioski rewindykacyjne do rządów Niemiec, Rosji i Ukrainy, wskazując konkretne dzieła sztuki i miejsce ich przechowywania. Dzisiaj, po niemal trzech dziesięcioleciach, listy żądań zwrotu polskiej własności niewiele się skróciły. W 1997 r. odzyskaliśmy z Rosji obraz „Apollo i dwie muzy" Pompeo Batoniego ze zbiorów wilanowskich, zagrabiony przez Niemców, a potem przejęty przez Rosję. Rosjanie wciąż przetrzymują u siebie autograf „Dziennika z podróży na Wschód" Słowackiego ze zbiorów biblioteki ordynacji Krasińskich, dziś znajdujący się w Rosyjskiej Bibliotece Państwowej.

Z Niemiec udało się odzyskać zagrabiony z biblioteki diecezjalnej w Płocku przez hitlerowców średniowieczny „Pontyfikał płocki". W latach 70. minionego wieku został zakupiony na aukcji przez Bawarską Bibliotekę Państwową i wkrótce potem biskup płocki wystąpił o jego zwrot. Negocjacje trwały jednak aż do 2015 r., kiedy to „Pontyfikał" wrócił do Polski.

„Portret młodzieńca" Rafaela Santiego FOT. WIKIPEDIA

Ukraina nie zwróciła Polsce zbiorów lwowskich, które zgodnie z intencjami ich twórców miały służyć narodowi polskiemu, a nawet, gdyby Lwów przestał być polski, powinny być przeniesione na teren państwa polskiego. Dotyczy to przede wszystkim zbiorów Ossolineum (jego częścią były cenne zbiory Muzeum Lubomirskich), z których zaraz po wojnie Polska odzyskała jako „dar" (!) Związku Sowieckiego jedynie małą część.

PRAWO POSIADACZA

Część dzieł sztuki odzyskano dlatego, że pojawiły się na aukcjach w Niemczech, Austrii, Stanach Zjednoczonych (do USA trafiły dzieła sztuki zagrabione przez Niemców i zakupione przez Amerykanów w strefie okupacyjnej). Jednak prawo chroni posiadacza w dobrej, a nawet i w złej wierze po upłynięciu określonego czasu. Trzeba więc negocjować z posiadaczami dzieł sztuki, wypłacać im rekompensaty, choć bywały przypadki bezkosztowego zwrotu. W 1993 r. „Praczka" Gabriela Metsu, obraz z Łazienek Królewskich, pojawiła się na aukcji w Stanach Zjednoczonych. Została odzyskana dzięki pomocy prywatnego sponsora z USA. Ponad 20 lat później wróciła do Łazienek XVIII-wieczna bogini Diana, zagrabiona do kolekcji Hansa Franka. Pojawiła się na aukcji w Austrii. W tym przypadku MKiDN korzystało z pomocy brytyjskiej Art Recovery Group.

Odzyskany został w 2011 r. obraz Aleksandra Gierymskiego „Żydówka z pomarańczami" z Muzeum Narodowego w Warszawie dzięki pomocy finansowej PZU SA. Rekompensatę dostał posiadacz obrazu „Murzynka" Anny Bilińskiej-Bohdanowiczowej (własność Muzeum Narodowego w Warszawie), która pojawiła się na aukcji w Berlinie. Odzyskanie obrazu, które nastąpiło w 2012 r., wsparła Fundacja Kronenberga przy banku Citi Handlowym. Jednym z ostatnich sukcesów było odzyskanie w 2019 r. obrazu Marcina Zaleskiego „Wnętrze katedry w Mediolanie", który pojawił się w austriackim domu aukcyjnym. Trafił ponownie do zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie.

Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że zabytki, które udało się odnaleźć i odzyskać, są tylko ułamkiem zagrabionych dzieł sztuki. Raport NIK podaje, że od początku 2011 do połowy 2016 r. dzięki działaniom MKiDN oraz MSZ do Polski powróciło 28 pojedynczych dzieł sztuki i sześć zespołów dzieł sztuki, w tym 12 z Niemiec i osiem z USA. Także w Polsce znalazły się cztery dzieła uznane za straty wojenne.

Jeśli wciąż są nadzieje na odnalezienie i odzyskanie obrazu Rafaela, to Polska poniosła podczas II wojny światowej także straty wojenne dóbr kultury, które są nieodwracalne. Do nich należy spalenie przez Niemców, po upadku powstania warszawskiego, najcenniejszych zbiorów warszawskich bibliotek będących w Bibliotece Ordynacji Krasińskich na Okólniku. W prawie istnieje pojęcie restytucji zastępczej. Niemcy powinny więc przekazać Polsce ze swoich zbiorów obrazy Rafaela i Bruegla skradzione przez niemieckich urzędników do czasu, aż zostaną odnalezione i zwrócone „Portret młodzieńca" i „Walka karnawału z postem", a także najcenniejsze starodruki, takie, jakie spłonęły w bibliotece na Okólniku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

Trump odpowie za turecką

Witold Repetowicz
z północnej Syrii

Prezydent USA ponosi odpowiedzialność za akcję tureckiej armii przeciw syryjskim Kurdom, którzy wcześniej pokonali Państwo Islamskie. Gorycz Kurdów jest tym większa, że niedawno to sami Amerykanie namówili ich do rozebrania fortyfikacji przy granicy z Turcją

Gdy w sierpniu 2018 r. rozmawiałem z kurdyjskimi dowódcami w północno-wschodniej Syrii, wyrażali oni przekonanie, że Amerykanie z Syrii nie wyjdą, i to nie dlatego, że to zdominowane przez Kurdów oddziały Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF) pokonały Państwo Islamskie i w związku z tym świat, w tym USA, jest im coś winien. Kurdowie wiedzieli, że Stany Zjednoczone kierują się tylko własnym interesem. Byli jednak przekonani, że w interesie Ameryki jest pozostanie w Syrii. Po pierwsze dlatego, że północna Syria jest idealną alternatywą dla amerykańskich baz w Turcji. A Kurdowie, w przeciwieństwie do Turków, udowodnili, że są wiarygodnym i lojalnym sojusznikiem. Tymczasem w Turcji szaleją antyamerykańskie nastroje.

Po drugie, kontrolowane przez SDF tereny północno-wschodniej Syrii to wymarzony dla Iranu szlak transportowo-logistyczny, dzięki któremu mógłby on uzyskać geopolityczną przewagę na Bliskim Wschodzie. Dlatego USA, a także Izrael oraz Arabia Saudyjska, robiły dotąd wszystko, aby ten obszar kontrolować. SDF natomiast, mimo wyraźnych sygnałów gotowości do negocjacji ze strony libańskiego Hezbollahu oraz Iranu, odrzucało je w ramach lojalności wobec USA.

Nawet gdy w grudniu 2018 r. Trump po raz pierwszy zapowiedział plan wycofania sił USA z Syrii, Kurdowie zareagowali podjęciem rozmów z Rosjanami i za pośrednictwem Moskwy (a nie Teheranu) – z Assadem. Władze w Damaszku nie były jednak gotowe do jakichkolwiek ustępstw wobec Kurdów, a Rosjanom zależało przede wszystkim na tym, aby wbić klin między Kurdów i USA, skompromitować Amerykanów jako niewiarygodnego sojusznika, lub doprowadzić do poważnego kryzysu w NATO. Ostatecznie więc rozmowy zostały zawieszone, bo USA dały Kurdom do zrozumienia, że nie dopuszczą do tureckiej inwazji i z Syrii nie wyjdą.

Po trzecie, Kurdowie założyli, że zarówno USA, jak i Europa mają pełną świadomość tego, że Państwo Islamskie w Syrii zostało pokonane militarnie, ale zachowało swój potencjał. Ponadto w więzieniach SDF są tysiące schwytanych terrorystów Państwa Islamskiego, w tym setki Europejczyków. W obozie Al-Hol natomiast przebywa kilkadziesiąt tysięcy związanych z Państwem Islamskim kobiet i dzieci – tam również

eprasa.pl 4bfed2fe01

9 października tureckie wojska rozpoczęły inwazję na kurdyjskie miasta i wsie na terenie północnej Syrii FOT. TURKISH DEFENSE MINISTRY/FORUM

Recep Tayyip Erdoğan szantażuje Zachód

- **Otworzymy bramy i wyślemy w waszą stronę 3,6 mln uchodźców –** ostrzegł w ubiegłym tygodniu prezydent Recep Tayyip Erdoğan, przestrzegając kraje Unii Europejskiej, co może zrobić Turcja, jeśli Zachód przesadzi z krytyką bestialskiej akcji wobec Kurdów lub np. nazwie turecką operację „Źródło Pokoju" okupacją terenów kurdyjskich.
- Oficjalnie celem operacji „Źródło Pokoju" jest **ustanowienie szerokiej na 30 km „strefy bezpieczeństwa" wzdłuż całej granicy turecko-syryjskiej.** W praktyce celem są oddziały Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF), które nie stanowią jednak dla Turcji niebezpieczeństwa. Ankara chce wykorzystać sporne tereny do osiedlenia **ponad 3,6 mln syryjskich uchodźców**, przebywających obecnie w obozach na terenie Turcji.
- **Syryjskie Siły Demokratyczne (SDF)** liczą obecnie ok. 40 tys. żołnierzy. **Turecka armia** dysponuje ponad 640 tys. żołnierzy.
- Turecka ofensywa rozpoczęła się po ogłoszeniu przez Donalda Trumpa decyzji o wycofaniu z tego rejonu wojsk amerykańskich. **Kurdowie określili ją wprost jako „cios w plecy" ze strony sojusznika.**
- Do zamknięcia tego wydania tygodnika „Do Rzeczy" tureckie lotnictwo i artyleria **zbombardowały ponad 180 celów**. W pierwszych dniach operacji zginęło co najmniej 109 kurdyjskich bojowników i wielu cywilów. Kilkudziesięciu cywilów zostało rannych. W wyniku tureckiej operacji **ponad 64 tys. osób zostało zmuszonych do ucieczki** ze swoich domów. Szacuje się, że dalsza ofensywa może pozbawić dachu nad głową **co najmniej 300 tys. osób.**

agresję

są obywatele europejscy. Atak Turcji na północno-wschodnią Syrię oznacza, że wszystkie siły SDF muszą zostać zmobilizowane do walki z agresorem. A to oznacza, że więźniów nie będzie miał kto pilnować. SDF ostrzegał przed tym świat. W ostatnich dniach potwierdził, że pilnowanie więźniów nie jest już priorytetem. To zaś oznacza, że mogą oni próbować przedostawać się do Europy wraz z falą setek tysięcy uchodźców, którzy bez wątpienia pojawią się w wyniku tej inwazji. Europa zapłaci zatem za decyzję o opuszczeniu Kurdów, bo zagrożenie terrorystyczne na naszym kontynencie wzrośnie.

WIDZIMISIĘ JEDNEGO CZŁOWIEKA

Zapłaci również Ameryka. Wątpliwości co do tego nie ma wielu byłych wysokich urzędników administracji USA, np. była ambasador USA przy ONZ Nikki Haley, były specjalny przedstawiciel ds. koalicji przeciw Państwu Islamskiemu Brett McGurk, były szef naczelnego dowództwa sił zbrojnych USA (Centcom) gen. Joseph Votel, a także tak wpływowi senatorzy republikańscy jak Mitt Romney czy Lindsey Graham.

Ameryka pokazała bowiem, że jest niewiarygodnym sojusznikiem. Że jest sojusznikiem, który może ze względu na widzimisię prezydenta i wbrew

REKLAMA

eprasa.pl 4bfed2fe01

własnemu interesowi opuścić lojalnego partnera, przy okazji go obrażając.

Donald Trump stwierdził bowiem, że to USA pokonały Państwo Islamskie, a Kurdowie wprawdzie walczyli również, ale zostali wynagrodzeni za to ogromnymi sumami pieniędzy i sprzętu. W ten sposób amerykański prezydent sprowadził żołnierzy SDF do roli najemników, co dla tych dumnych ludzi, dla których honor jest w życiu najważniejszą wartością, jest niczym plunięcie w twarz.

Zresztą prawda jest taka, że to SDF pokonało Państwo Islamskie, a USA tylko mu w tym pomogły, dokonując nalotów. Amerykanie praktycznie nie mieli jednak żadnych strat, a żołnierzy SDF w walkach z Państwem Islamskim i Al-Kaidą zginęło 11 tys. W innym kuriozalnym tweecie amerykański prezydent zasugerował, że teraz Turcja (wraz z Europą) ma obowiązek przejąć odpowiedzialność za schwytanych „przez USA" terrorystów Państwa Islamskiego, oskarżając jednocześnie Europę, że uchyla się od odpowiedzialności za rozwiązanie problemu tzw. foreign fighters, czyli zagranicznych bojowników walczących w Syrii i Iraku po stronie Państwa Islamskiego. Tylko że znów to nie USA, lecz SDF ich schwytały i pilnowały. A Turcja, wbrew powtarzanym niczym mantra twierdzeniom NATO-wskich polityków, że jest ważnym sojusznikiem w walce z Państwem Islamskim, nie tylko nie odegrała żadnej pozytywnej roli w zwalczaniu tych terrorystów, lecz także współpracowała z Państwem Islamskim (istnieją niezbite dowody na współpracę tureckich służb specjalnych i Państwa Islamskiego). Turcja nie była i nie będzie zainteresowana rozwiązywaniem problemu dżihadystów Państwa Islamskiego. Większość z nich znajdzie się po prostu na wolności.

Donald Trump twierdzi, że zawsze planował wycofanie sił USA z tych wojen, które wszczynali jego poprzednicy i które on uważa za pozbawione sensu, niekończące się, rozpoczęte pod fałszywym pretekstem i w których zginęło zbyt wielu amerykańskich żołnierzy. To dobrze brzmi w uszach przeciętnego amerykańskiego wyborcy, który nie bardzo się orientuje w tym, co się dzieje na świecie. Tyle że argumenty te odnoszą się raczej do obecności USA w Iraku, a nie w Syrii. A z Iraku Trump wycofywać się nie chce. Ponadto Trump pomija „drobny" szczegół, tj. oszukanie Kurdów w kwestii tzw. mechanizmu bezpieczeństwa. Przez kilka miesięcy toczyły się bowiem negocjacje USA z Turkami z jednej strony i Kurdami z drugiej. Kurdowie okazali gotowość do udowodnienia, że nie stanowią żadnego zagrożenia dla bezpieczeństwa Turcji (co było koronnym argumentem Turcji na rzecz stworzenia tzw. strefy bezpieczeństwa) i zgodzili się na demontaż fortyfikacji na granicy z Turcją i wycofanie swoich sił z terenów przygranicznych.

USA pokazały, że są niewiarygodnym sojusznikiem. Sojusznikiem, który może ze względu na widzimisię prezydenta wbrew własnemu interesowi opuścić lojalnego partnera, przy okazji go obrażając

„Mechanizm bezpieczeństwa", który został tam wprowadzony, miał polegać na wspólnych amerykańsko-tureckich patrolach i lotach zwiadowczych. Po kilku tygodniach jednak Trump nagle ogłosił, że wycofuje amerykańskich żołnierzy z syryjsko-tureckiej granicy. W ten sposób Turcy otrzymali otwartą drogę do ataku na Kurdów, bez fortyfikacji i bez Amerykanów. Nie ulega wątpliwości, że nigdy nie odważyliby się uderzyć, gdyby Amerykanie pozostali na miejscu. Decyzja, która spowodowała taki nagły zwrot, została podjęta przez Trumpa pod wpływem impulsu po rozmowie z Erdoğanem, który po prostu przekonał go do tej decyzji. Jest to przerażające, ponieważ dowodzi nieprzewidywalności amerykańskiej polityki, zależnej od kaprysu jednego człowieka.

Pojawiły się spekulacje, że ujawnienie pełnej transkrypcji rozmowy przywódców Turcji i USA mogłoby być szokujące. Wprawdzie USA podkreśliły, że nie popierają operacji Turcji, ale jest to bez znaczenia, podobnie jak potępienie jej przez Unię Europejską. Słowa z całą pewnością Turków nie powstrzymają. Później wprawdzie Trump zagroził, że jeśli Turcja przekroczy pewne, niezdefiniowane przez niego, granice, to ją zniszczy gospodarczo, ale czas pokaże, na ile te słowa przekują się w czyny. To samo dotyczy zapowiedzi senatora Lindseya Grahama, że Kongres nałoży na Turcję bolesne sankcje i doprowadzi do zawieszenia jej członkostwa w NATO, jeśli napadnie ona na Kurdów. Gdy piszę te słowa, w środę 9 października, atak już się zaczął, są pierwsze ofiary cywilne, mieszkańcy ostrzelanego Serê Kaniyê uciekają z miasta, a w Al-Kamiszli chronią się po piwnicach. Czas więc powiedzieć senatorowi Grahamowi: sprawdzam. Również Unia Europejska powinna pokazać, czy zostały jej jeszcze jakieś zęby.

PODAREK DLA TERRORYSTÓW

Można się spodziewać, że zarówno Państwo Islamskie, jak i Damaszek będą chcieli wykorzystać turecki atak. Państwo Islamskie już na kilka godzin przed pierwszymi nalotami tureckimi na północno-wschodnią Syrię dokonało nieudanej próby ataku w Rakce. Również w obozie Al-Hol doszło do buntu przebywających tam dżihadystek. SDF będzie zmuszone ściągać swoje siły na północ, w rejon walk z Turkami, i będzie to okazja dla terrorystów, by spróbować odzyskać terytorium. A warto pamiętać, że to z Rakki planowane były zamachy terrorystyczne, przeprowadzane później w Europie. Również siły rządowe będą starały się wkroczyć na opuszczone przez SDF tereny w bogatej w ropę i gaz dolinie Eufratu w prowincji Dajr az-Zaur, choć wiele zależy tam też od lokalnych plemion.

Nie można również wykluczyć, że w tej sytuacji Kurdowie poproszą o pomoc Rosję lub Iran i wpuszczą na swoje terytorium syryjską armię. Oznaczałoby to całkowity triumf Kremla, który w ten sposób pokaże, że dogadywanie się z Amerykanami kończy się marnie, a i tak na końcu trzeba zapukać do kremlowskich wrót. I byłaby to bardzo smutna puenta.

Można się jednak spodziewać zaciętego oporu Kurdów. Cel Turcji, coś, co ona nazywa „strefą bezpieczeństwa", to bowiem zajęcie pasa przygranicznego o szerokości 35 km. Mieszka tam ponad 800 tys. osób, w większości Kurdowie, choć również chrześcijanie. W tureckiej „strefie bezpieczeństwa" nie będzie dla nich miejsca, dojdzie więc do gigantycznej czystki etnicznej. Ludzie ci walczą więc o swoje być albo nie być.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

HOLANDIA ZMIENIA NAZWĘ

Holendrzy uznali, że ciąży im wizerunek kraju jako tego z dzielnicami czerwonych latarni oraz liberalnym podejściem do narkotyków. Nie zlikwidują jednak dzielnic z domami publicznymi ani nie zaostrzą przepisów w sprawie używek – zmienią nazwę kraju. Rząd przegłosował już uchwałę, zgodnie z którą na arenie międzynarodowej kraj ma być nazywany Niderlandami. Takiej nazwy Holendrzy pragną używać już m.in. podczas konkursu Eurowizji w 2020 r. oraz podczas igrzysk olimpijskich w Tokio.

EKOLOGICZNY MARKETING

Niedźwiedzica polarna stojąca na krze wraz ze swoim młodym, a wokół morze wody. Kogo nie wzruszyłoby takie zdjęcie? Ekologiczna organizacja WWF umieściła taki obraz na ulotce dotyczącej zbierania środków na walkę ze zmianami klimatycznymi. Opisano ją tak: „Czyste szaleństwo z ocieplaniem klimatu". Fińskie media rozszyfrowały, że to przerobiona w komputerze fotografia Stevena Kazlowskiego. Na jego zdjęciu niedźwiedzica z młodym stała jednak na wielkim lodowcu. Wokół był tylko lód. Fińscy działacze WWF tłumaczyli, że chcieli „podkreślić przekaz" i przerobili zdjęcie ze względów „marketingowych", ale „głęboko tego żałują".

PREMIER GRA

W Belgii kilka lat temu rządu nie było przez 535 dni i ludziom żyło się całkiem nieźle. W belgijskiej Flandrii rząd sklecono ostatnio po 127 dniach. I jakoś też ludzie nie narzekali. Zdaje się, że i nadal nie będą narzekać, bo politycy niezbyt poważnie traktują swoje funkcje. Niedawno premier Flandrii Jan Jambon uczestniczył w debacie na temat priorytetów rządu i przyszłych wydatków. Podczas dyskusji zajmował się głównie patrzeniem w telefon. Ujawniono nagranie, na którym było widać, że Jambon grał na smartfonie w gry. Gdy sprawą zajęły się media, premier stwierdził, że to nie powinno przekreślać jego wielkiego wkładu w pracę nad budową koalicji i nowego rządu.

KAPITAN W KOMÓRCE

Nie tylko politycy przegapiają ważne rzeczy, patrząc się w ekrany swoich smartfonów. U wybrzeży Szkocji pod koniec lipca na mieliźnie utknął holenderski frachtowiec MV „Priscilla". Statek tkwił tam tydzień, a załogę uratowali ratownicy z Thurso. Brytyjska Agencja Badania Wypadków Morskich przeprowadziła śledztwo. Ustaliła, że oficer wachtowy za późno zauważył, iż statek zboczył z kursu, i tego błędu nie udało się mu już naprawić. A zobaczył wszystko za późno, bo zamiast monitorować pozycję statku, przez dwie godziny gapił się w ekran swojego telefonu, w którym oglądał teledyski.

ŚCIGANI URATOWALI POLICJANTÓW

Na południu Hiszpanii policyjna łódź rozpoczęła pościg za motorówką, którą przemytnicy narkotyków wozili towar. Łódki się jednak zderzyły i trzech policjantów wypadło za burtę. Przemytnicy narkotyków wciągnęli mundurowych na swój pokład. Nie uratowali jednak tym własnej skóry – aresztowano ich za handel narkotykami, bo w pobliżu ich łodzi znaleziono trzy tony haszyszu. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

O czym prezydent nie mówi 3 maja

W demokracji politycy zawsze w pewnym sensie przekupują obywateli. Tyle że czasem przekupują obietnicą spełnienia dobrych, propaństwowych obietnic, a czasem po prostu kasą. Kasa zaś jest argumentem głównie dla tych, którzy jej nie mają. Tak PiS wychował sobie ogromną grupę wyborców, nazywając to „przywracaniem godności".

3 maja prezydent Andrzej Duda wspomina zawsze Ustawę Rządową, czyli spóźnione dzieło reformatorów polskiego państwa z 1791 r. Jakoś jednak nigdy nie mówił o tym, że konstytucja podpisana przez Stanisława Małachowskiego odsyłała do uchwalonego wraz z nią prawa o sejmikach, w którym znajdziemy przepis pozbawiający prawa głosu szlachtę bez majątku. Była w tym głęboka mądrość, nieposesjonaci byli bowiem najłatwiejsi do kupienia i zmanipulowania, z czego na potęgę korzystały obce ośrodki.

Dzisiaj wprowadzenie cenzusu majątkowego w jakiejkolwiek formie – czy to jako warunku oddania głosu w ogóle, czy jako miary siły tegoż głosu – jest oczywiście nierealne i byłoby receptą na wielkie społeczne wzburzenie.

Pamiętając jednak, że kampania wyborcza do parlamentu 2019 r. była festiwalem obietnic rozdawania pieniędzy, warto się zastanowić nad motywacją, która kazała Hugonowi Kołłątajowi, Ignacemu Potockiemu i Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu odebrać szlacheckiej gołocie możliwość wpływania na los państwa. ©℗

eprasa.pl 4bfed2fe01

Roztrzaskać głowę z miłości

Piotr Włoczyk

Czy wyrzucenie z balkonu matki chorej na alzheimera może być uznane za akt miłości? Brytyjski sąd pokazał, że tak, nazywając zabójcę „oddanym synem". Tamtejsi pro-liferzy alarmują, że sądowa rewolucja w redefiniowaniu istoty człowieczeństwa to droga wiodąca wprost ku przepaści

Robert Knight wyprowadził swoją matkę z jej pokoju na schody przeciwpożarowe na zewnątrz budynku. Rzecz działa się tuż przed zeszłorocznymi świętami Bożego Narodzenia w domu spokojnej starości Langley Lodge Care Home w hrabstwie Essex w południowo-wschodniej Anglii. 53-letni mężczyzna podszedł ze swoją chorą na alzheimera 79-letnią matką do barierki, posadził ją na poręczy, spojrzał jej w oczy, a następnie ją popchnął. June Knight spadła bezwładnie z wysokości czterech metrów, roztrzaskując głowę o beton. Kobieta zginęła na miejscu. Jej syn wrócił do środka, zszedł na recepcję i powiedział pracownikowi: „Zadzwoń na policję, właśnie zabiłem moją matkę".

Prokuratura oczywiście oskarżyła Roberta Knighta o morderstwo. Prowadzący tę sprawę prokurator Andrew Jackson następująco przedstawiał potem mediom tok rozumowania sprawcy: „Powiedział policji, że zadecydował o zakończeniu jej życia. Gdy zapytany został, czy zastanawiał się nad innym sposobem, odpowiedział policji, że nie byłby w stanie udusić jej poduszką. Powiedział, że jego matka była przytomna, patrzyła na niego i cierpiała. Ale bardziej chodziło tu o jej strach przed tym, co miało nastąpić. Powiedział też policji, że chciał, by uderzyła o ziemię z hukiem i straciła przytomność. By to osiągnąć, przechylił jej ciało tak, by jako pierwsza uderzyła o ziemię właśnie jej głowa".

Prokurator stwierdził, że nie można w tej sprawie mówić o jakimkolwiek akcie miłosierdzia. Jego zdaniem oskarżony nie stracił kontroli nad sobą, gdy wyprowadził matkę na schody i wypchnął ją przez barierkę.

„MOJA ŚMIERĆ, MOJA DECYZJA"

Zupełnie inaczej zinterpretował jednak tę sprawę sąd. W orzeczeniu, które przeczytano pod koniec września, sędzia stwierdziła, że nie było to morderstwo, lecz zabójstwo. A to bardzo istotna różnica. Kara: dwa lata więzienia w zawieszeniu na dwa lata. Mężczyzna wyszedł więc na wolność po dziewięciu miesiącach spędzonych w areszcie. Sędzia Samantha Leigh powiedziała, zwracając się wprost do oskarżonego: „Jest pan człowiekiem, który działał powodowany miłością i desperacją. Został pan już wystarczająco ukarany i będzie pan musiał żyć z tym, co pan zrobił". Dodatkowo sędzia nazwała skazanego „oddanym synem".

Sędzia określiła to, co zrobił syn zabitej kobiety (było to jej jedyne dziecko), „mercy killing", co słowniki tłumaczą po prostu jako „eutanazja". Dla pełnej jasności: eutanazja jest w Wielkiej Brytanii nielegalna i traktowana przez brytyjskie prawo jako morderstwo, a nie zabójstwo. Trudno się dziwić, że wyrok sądu zbulwersował brytyjskie środowisko pro-life.

„Uważamy, że ta sprawa każe zadać pytania na temat kulturowej zmiany, wedle której zabijanie ludzi z demencją uważane jest za współczucie" – napisało w oświadczeniu SPUC (Society for the Unborn Children – Stowarzyszenie na rzecz Nienarodzonych Dzieci).

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. ADOBE STOCK

– Opieka nad ludźmi z demencją potrafi być niesamowicie trudna i wymaga bardzo wiele zarówno od opiekunów, jak i rodzin – mówi Antonia Tully, szefowa kampanii społecznej przeciw eutanazji i wspomaganemu samobójstwu, prowadzonej przez SPUC. – Bardzo złe jest sugerowanie, że zabijanie kogokolwiek z demencją ma cokolwiek wspólnego z miłością. To wysyła społeczeństwu sygnał, że nie trzeba się zajmować ludźmi z demencją. Zamiast tego powinniśmy poświęcić swój czas i energię na zrozumienie tego, czym jest demencja, i zaoferować pomoc oraz nadzieję tam, gdzie możemy. Przede wszystkim musimy przypominać społeczeństwu, że ludzie z demencją są wciąż w pełni ludźmi i powinni być chronieni przez prawo.

Potworna śmierć June Knight, a właściwie wyrok sprowadzający zabicie matki do aktu miłości, okazały się kolejnym rozdziałem batalii o legalizację w Wielkiej Brytanii tzw. wspomaganego samobójstwa i eutanazji. Dąży do tego wiele brytyjskich organizacji pozarządowych, z których najgłośniejsza to bodaj MDMD (My Death, My Decision, czyli Moja Śmierć, Moja Decyzja). Organizacja ta, powołując się na zlecone przez siebie badania opinii publicznej, przekonuje, że 88 proc. Brytyjczyków opowiada się za pozwoleniem pacjentom chorym na demencję na legalne popełnienie samobójstwa z pomocą państwa, pod warunkiem że wyrażą na to wcześniej zgodę.

Ostatni raz brytyjski parlament zajął się tą kwestią cztery lata temu. Gdy jednak spiker Izby Gmin wniósł pod głosowanie projekt ustawy legalizującej wspomagane samobójstwo, lewicowi aktywiści srodze się zawiedli. Parlamentarzyści odrzucili bowiem wprowadzenie takiego rozwiązania większością 330 do 118.

Jeszcze do niedawna wydawało się, że w kwestii legalizacji zabijania ludzi śmiertelnie chorych lub cierpiących na demencję rzeczą oczywistą jest, iż nikt nigdy nie powie, że zabicie kogoś wbrew jego woli to „akt miłości". Wyrok w sprawie Roberta Knighta pokazuje jednak, że sądowa rewolucja w myśleniu o istocie człowieczeństwa może doprowadzić do sytuacji, w której rozbicie głowy własnej matki chorej na alzheimera zostaje uznane właśnie za okazanie miłosierdzia drugiemu człowiekowi.

CHARLIE I ALFIE

To oczywiście nie pierwszy wyrok brytyjskiego sądu, który każe zapytać o rolę tamtejszego wymiaru sprawiedliwości w rewolucjonizowaniu tradycyjnego spojrzenia na to, czym jest człowieczeństwo i jak ma wyglądać śmierć człowieka. Najbardziej jaskrawe przykłady państwowej wszechwładzy w tym zakresie to historie dwóch małych chłopców, które poruszyły w ostatnich latach miliony ludzi na całym świecie: Charliego Garda i Alfiego Evensa. Brytyjskie sądy drastycznie ograniczyły prawa ich rodziców w najbardziej fundamentalnej dla nich kwestii i same podjęły decyzję w sprawie tego, jak mają umrzeć ich dzieci.

– Sądy to nie miejsca, by decydować o życiu lub śmierci w takich przypadkach. Jaką krzywdę zrobiłoby komukolwiek pozwolenie rodzicom Alfiego na przewiezienie swojego syna na dalsze leczenie do Włoch? Patrząc na to na zimno: brytyjski podatnik nie poniósłby z tego tytułu żadnych kosztów. Potrzeba było tylko odrobiny dobrej woli ze strony państwa – powiedziała „Do Rzeczy" Andrea Williams, szefowa brytyjskiej organizacji Christian Legal Centre, która zapewniała rodzicom Alfiego Evansa pomoc prawną. I dodała: – To, jak zostali potraktowani ten chłopiec i jego rodzice, pokazało, w jak wielu kwestiach nasze państwo przekracza granicę, uzurpując sobie prawo do totalnej kontroli nad ludzkim życiem. Nasze państwo mówi: „Uważamy, że w najlepszym interesie dziecka jest umrzeć". Rodziców wyrzuca się tu z procesu decyzyjnego. Próbowaliśmy dowieść przed sądami, że rodzice mają prawo walczyć o życie swoich dzieci i państwo powinno szanować to pragnienie. Nie chce się wierzyć, ale sprawa Alfiego nie była jedynym takim tragicznym przypadkiem.

Brytyjscy proliferzy alarmują, że kontynuowanie sądowej (skrajnie lewicowej) rewolucji do reszty wywróci to, jak społeczeństwo patrzy na wartość ludzkiego życia. Jak pokazują to ostatnie werdykty brytyjskich sądów, ta rewolucja nie dyskryminuje nikogo: uderza zarówno w ludzi w podeszłym wieku, jak i najmłodszych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

Z Bartoszem Marczukiem, wiceprezesem Polskiego Funduszu Rozwoju
rozmawia Jacek Przybylski

FOT. MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM

PPK są jak lokata na 100 proc.

JACEK PRZYBYLSKI: Ponad 4 tys. dużych firm od lipca może podpisywać umowy o zarządzanie pracowniczymi planami kapitałowymi. Na spełnienie tego obowiązku mają czas tylko do 25 października. Ile z nich już się z niego wywiązało?

BARTOSZ MARCZUK: Według najnowszych danych takie umowy zawarło ponad 2 tys. firm, czyli ok. 50 proc. Umów przybywa coraz szybciej. To dobre tempo i nie obserwujemy żadnych problemów dotyczących ich podpisywania z instytucjami, które oferują PPK.

Do wdrażania tego programu jesteśmy bowiem dobrze przygotowani. Jako Polski Fundusz Rozwoju technicznie przygotowaliśmy całą infrastrukturę. Przeprowadziliśmy prawie tysiąc szkoleń. Uruchomiliśmy serce informatyczne programu, tj. ewidencję PPK, infolinię, portal internetowy. Wyjaśniamy wątpliwości i pomagamy pracodawcom.

Ewentualnym problemem może być to, jak dużo Polaków zdecyduje się zostać w tym programie.

Polacy słyną z tego, że nie lubią oszczędzać. PPK ma więc przymusić obywateli do odkładania pieniędzy na emeryturę...

Muszę zaprotestować, PPK to nie przymus, ale wybór. Oczywiście jako naród mamy kłopot z odkładaniem pieniędzy. Nie może to być jednak zarzut wobec Polaków. Mamy bowiem takie, a nie inne doświadczenia historyczne: zabory, wojny etc. – zawsze gdy ten walec przechodził, zabierał ze sobą wszystkie nasze majątki.

Co więcej, przez 30 lat odrabiamy zaległości po komunie, w tym zaległości konsumpcyjne. Polacy świetnie sobie z tym radzą, wydając duże pieniądze nie tylko na pralki czy telewizory, lecz także na edukację.

I co najważniejsze – Polacy mają bardzo złe doświadczenia po tym, co zrobił poprzedni rząd z otwartymi funduszami emerytalnymi. W świadomości zbiorowej funkcjonowało bowiem przekonanie, że pieniądze zgromadzone w OFE to nasze pieniądze, po czym rząd Donalda Tuska je znacjonalizował. Z tego wynika zrozumiały odruch nieufności i mówienie, że jeśli już mam oszczędzać, to ewentualnie samodzielnie.

Właśnie dlatego chciałbym podkreślić, że PPK nie są wcale obowiązkowe, lecz to absolutnie dobrowolny dla uczestników program i w każdej chwili można się z tego programu wypisać.

Dużo trudniej się jednak wypisać, niż zapisać...

W każdej chwili można wypełnić proste oświadczenie, które zajmuje jedną stronę A4. Automatyczny zapis jest zaś wygodny z perspektywy pracownika – jeśli ktoś chce pozostać w PPK, to nic nie musi robić. Oczywiście rząd liczy na to, że dzięki rozwiązaniu wzorowanemu m.in. na Wielkiej Brytanii, gdzie podobny system ruszył 11 lat temu, uda się uzyskać wyższy wskaźnik partycypacji. Uważamy, że jest to bardzo dobry program odkładania dodatkowych pieniędzy na jesień życia.

Jaki wskaźnik partycypacji w PPK uzna pan więc za sukces?

eprasa.pl 4bfed2fe01

W pierwszym etapie za dobry wynik uznamy uczestnictwo na poziomie ok. 40 proc. W Wielkiej Brytanii partycypacja w pierwszym etapie wynosiła ok. 55 proc., a dopiero z czasem wzrosła do niemal 90 proc. Brytyjczycy są jednak zamożniejsi niż Polacy, mają zaufanie do rynku kapitałowego i nie mają złych doświadczeń z OFE.

Jesteśmy więc przygotowani na to, że może być potrzebny czas na to, aby Polacy sami się przekonali, iż PPK to bardzo dobry program. Aby mogli zobaczyć, jak szybko rosną ich oszczędności odkładane na indywidualnych, prywatnych rachunkach, i przekonać się, że w razie potrzeby mogą rzeczywiście te pieniądze w każdej chwili wypłacić. Gdy zobaczą, jak bardzo ich oszczędności zwiększają dopłaty od państwa i od pracodawców, spodziewam się, że ta partycypacja będzie systematycznie rosnąć.

Pamiętajmy jednak, że nawet partycypacja na poziomie 40 proc. – biorąc pod uwagę to, że uprawnionych do oszczędzania w PPK jest docelowo aż 11,5 mln Polaków – będzie oznaczać, iż ok. 5 mln pracowników odkłada dodatkowo na emeryturę. Obecnie liczbę Polaków, którzy systematycznie odkładają pieniądze na jesień życia, szacuje się na ok. 700–800 tys. Tak czy owak byłby to więc olbrzymi sukces.

Przekonuje pan w mediach, że na PPK nie da się stracić. Czy patrząc na fatalne wyniki polskiej giełdy, na której będzie lokowana duża część oszczędności z PPK, nie jest to zbyt optymistyczna deklaracja?

To, że na PPK nie da się stracić, wynika z mechanizmu dopłat. Ktoś, kto będzie odkładał 2 proc. swojego wynagrodzenia, średnio drugie tyle otrzyma od pracodawcy oraz państwa. PPK są więc jak lokata oprocentowana na 100 proc. Tymczasem najbardziej atrakcyjne lokaty bankowe mają oprocentowane rzędu 2–2,5 proc., fundusze inwestycyjne starają się zarobić kilka procent w skali roku.

PPK zapewniają więc oszczędzanie z turbodoładowaniem. Jeśli zarabiałbym np. 4 tys. zł brutto, to na swój indywidualny rachunek będę odkładał 80 zł miesięcznie, 60 zł dołoży pracodawca, a 20 zł państwo. W sumie co miesiąc oszczędzam więc 160 zł, mimo że sam do PPK wpłacam jedynie połowę. W takiej sytuacji, nawet gdyby na rynek finansowy przyszło jakieś tsunami, które pociągnęłoby kursy akcji w dół o 20, 30, 40 proc., to i tak co miesiąc zyskujemy więcej, niż sami wpłacamy. A na giełdzie po tsunami przychodzą przecież wzrosty.

Dodatkowo w system PPK są wbudowane specjalne mechanizmy, które chronią nasze oszczędności emerytalne. Po pierwsze, bez względu na nasz wiek pieniądze nie trafiają do jednego koszyka inwestycyjnego, ale zawsze dzielone są na koszyk akcyjny i obligacyjny. Im jesteśmy starsi, tym większy procent naszych oszczędności inwestowany jest w obligacje czy lokaty bankowe.

Czy młody człowiek, który nie lubi ryzyka, ale z racji wieku większość jego składek trafia automatycznie do bardziej ryzykownych funduszy, musi przyglądać się temu, jak traci na giełdzie, czy może coś z tym zrobić?

Każdy może sobie zażyczyć, że chce od samego początku oszczędzać wyłącznie za pomocą bezpiecznych instrumentów finansowych, i wyrazić wolę, aby jego pieniądze były lokowane wyłącznie w obligacje oraz lokaty. Wówczas zyskuje pełną ochronę kapitału, choć traci szanse na potencjalnie wyższy zysk na inwestycjach giełdowych.

Do PPK wpłynęły już pierwsze pieniądze?

Tak. Pierwsze wpłaty wpłynęły w sierpniu, we wrześniu było ich już więcej. Są to jednak na razie niewielkie kwoty. Umowa między firmą a instytucją finansową o zarządzanie PPK to pierwszy etap, drugim jest umowa o prowadzenie PPK. Dopiero wtedy firma zgłasza listę pracowników, którzy będą w PPK odkładali. Już możemy powiedzieć, że cały ten system działa i przepływy działają sprawnie.

Tylko 3 proc. firm będzie wpłacać wyższe składki. Ponad 90 proc. firm planuje wdrożyć jedynie minimalną wymaganą przez regulacje prawne wersję pracowniczych planów kapitałowych. Będą więc wpłacać na konto pracowników w tym programie 1,5 proc. ich wynagrodzenia brutto. To rozczarowujące dane?

Absolutnie nie. To, że decydują się na standardowe dopłaty, nie jest ani rozczarowujące, ani zaskakujące. Niewykluczone, że po kilku latach więcej pracodawców zdecyduje się na wyższe składki, wykorzystując PPK jako narzędzie do prowadzenia polityki kadrowej. Łatwo sobie wyobrazić, że dany pracodawca ogłosi, iż osoby pracujące u niego do trzech lat będą otrzymać dopłaty w wysokości 1,5 proc., od trzech do sześciu – np. 2 proc., a powyżej sześciu – np. 2,5 proc. PPK mogą być instrumentem służącym budowaniu lojalności pracowników wobec firmy.

Chcę też podkreślić, że pracodawcy to cisi bohaterowie programu PPK. Wszystkie organizacje zrzeszone w Radzie Dialogu Społecznego udzieliły temu programowi poparcia, choć oczywiście dla pracodawców stwarza on dodatkowe koszty związane z administracją oraz z dopłatami do rachunków ich pracowników, którzy decydują się zostać w PPK.

Mówi pan o „cichych bohaterach", ale przecież program PPK ustawowo nakłada na pracodawców nowe obowiązki. Czy zdarzają się przypadki, gdy szefowie zniechęcają do udziału w PPK lub np. nakłaniają podwładnych do przejścia na samozatrudnienie, aby uniknąć konieczności udziału w programie?

Trudno jest mówić na tym etapie, na ile się zdarzają takie sytuacje, w których pracodawcy, łamiąc prawo, zniechęcają pracowników do udziału w programie. Jak dotąd dostaliśmy jeden sygnał dotyczący firmy, co do której mieliśmy podejrzenie, że zniechęcała pracowników do udziału w PPK. Poprosiliśmy więc inspekcję pracy o przeprowadzenie kontroli. W ustawie wprost napisane jest bowiem, że pracodawca nie może nakłaniać pracownika do rezygnacji z udziału w PPK. I za takie działania grożą dotkliwe kary finansowe, ale o tym decydują sądy.

Część firm zamiast PPK wybiera PPE, gdzie nie ma obowiązku automatycznego zapisu. Rząd zamierza zmienić przepisy i wprowadzić taki obowiązek również do PPE?

Nie. PPE to produkt finansowany wyłącznie przez pracodawcę. Cały czas powtarzamy, że to wspaniale, iż coraz więcej firm oferuje Pracownicze Programy Emerytalne. W tym roku do PPE weszło ok. 600–700 pracodawców, podczas gdy jeszcze w zeszłym w sumie firm oferujących PPE było ok. 1,5 tys. Pamiętajmy jednak, że po drugiej stronie tego równania mamy 900 tys. firm, które mają obowiązek zaoferować pracownikom PPK.

Można powiedzieć, że powiększenie grona firm oferujących PPE to pierwszy sukces PPK. Dla nas liczy się bowiem to, czy pracownicy mają dodatkowe oszczędności na jesień życia, czy nie. A to, czy gromadzą je w ramach PPE czy PPK, to już kwestia drugorzędna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

Według danych Eurostatu eksport węgla z Rosji do krajów UE niemal się podwoił z 38,5 mln ton w 2004 r. do 69,5 mln ton w 2018 r. FOT. ARTYOM GEODAKYAN/TASS/GETTY IMAGES

Polska traci, Rosja zyskuje

Tomasz Cukiernik

Beneficjentem unijnej polityki energetyczno-klimatycznej jest… Rosja

Rosnące koszty zakupu uprawnień do emisji CO_2 powodują, że energia z węgla jest coraz droższa. – Można szacować, że udział kosztu CO_2 w cenie hurtowej energii to blisko jedna trzecia – mówi Maciej Szczepaniuk, rzecznik prasowy Grupy PGE. Podobne wyliczenia prezentuje raport Instytutu Jagiellońskiego pt. „Wyniki polskich grup elektroenergetycznych za rok 2018. Co dalej?". Z wyliczeń ekspertów instytutu wynika, że koszt zakupu uprawnień do emisji CO_2 do wytworzenia jednostki energii był niemal tak wysoki jak cena węgla i na początku tego roku stanowił ok. 34–37 proc. hurtowej ceny energii elektrycznej. – W systemie ETS jest ok. 130 mln ton CO_2. To jest emisja polskiej energetyki i ciepłownictwa. Jeżeli jedno uprawnienie kosztuje 27 euro, to jest to roczne obciążenie dla polskiej gospodarki na poziomie 13–15 mld zł – mówi Marcin Roszkowski, prezes Instytutu Jagiellońskiego i ekspert z branży energetycznej. Wysoka cena tych uprawnień spowodowała, że pogorszyły się wyniki finansowe spółek energetycznych. Wysokie ceny energii wpływają też negatywnie na konkurencyjność całej gospodarki.

Co więcej, cena tony uprawnień do emisji CO_2, wynosząca w połowie 2017 r. ok. 5 euro, w lipcu biła historyczne rekordy, sięgając 30 euro za tonę. – System ETS teraz został zreformowany i co dwa lata ten rynek będzie ograniczany, czyli będzie mniej dostępnych uprawnień, i impuls do dalszego wzrostu cen energii elektrycznej niestety jest duży – ocenia prezes Roszkowski. Zespół Komunikacji Tauron Polska Energia dodaje, że „oprócz kosztów związanych z emisjami CO_2, starsze elektrownie konwencjonalne muszą ponieść koszty związane z dostosowaniem do norm środowiskowych, które zaczną obowiązywać od połowy 2021 r. Są to normy emisji substancji szkodliwych wymagane przez tzw. konkluzje BAT. Aby spełnić te normy, elektrownie muszą przejść odpowiednie modernizacje i zainstalować instalacje wychwytujące lub neutralizujące szkodliwe substancje (m.in. pyły, rtęć, SOx, NOx)". Ponadto dochodzą koszty wynikające z obowiązku zwiększania udziału OZE w miksie energetycznym.

Efektem jest pogorszenie się konkurencyjności sektora wytwarzania energii z węgla w porównaniu z energetyką gazową czy wiatrową. Jednak w związku ze zmiennością dostarczanej mocy, która zależy od siły wiatru, budowa farm wiatrowych niesie za sobą konieczność rozbudowy rezerwowych mocy w infrastrukturze gazowej. Co więcej, z uwagi na uwarunkowania techniczne muszą one działać nawet wtedy, gdy wiatr wieje i ich moc nie jest potrzebna. Obecnie gaz odpowiada za ok. 25 proc. zużycia energii brutto w UE, a głównym jego dostawcą jest Rosja.

Zresztą efektem samej polityki zamykania kopalni (np. w decyzji SA.41161 z 2016 r. UE wyraziła zgodę na dotowanie przez Polskę zamykania kopalni) jest szybko rosnący import węgla do Polski z Rosji. Skoro bowiem polskie wydobycie tego surowca z roku na rok spada (w 1990 r. w Polsce wydobywano 151,3 mln ton węgla kamiennego, w 2003 r. – 97,3 mln, a w 2018 r. – już tylko 63,4 mln), to energetyka węglowa musi szukać alternatywnego dostawcy. Podczas gdy w 2015 r. Polska kupiła za granicą 8 mln ton węgla, z czego 4,9 mln ton z Rosji, to w 2018 r. było to rekordowe 20 mln, z czego 13,4 mln ton w Rosji. Według danych Eurostatu eksport węgla z Rosji do krajów UE niemal podwoił się z 38,5 mln ton za 2 mld euro w 2004 r. do 69,5 mln ton za ponad 6,3 mld euro w 2018 r. Z krajów UE poza Polską w 2018 r. najwięcej węgla z Rosji importowały Holandia (16 mln ton) i Niemcy (11,7 mln ton).

PADAJĄ JAK MUCHY

Bruksela chce jednak dobić nie tylko polskie górnictwo i energetykę węglową. Podobne problemy mają działające w Pol-

eprasa.pl 4bfed2fe01

sce huty. Koncern ArcelorMittal Poland w maju br. oświadczył, że planuje tymczasowo wstrzymać pracę wielkiego pieca i stalowni w swoim krakowskim oddziale. – Z ciężkim sercem podjęliśmy trudną decyzję o tymczasowym wstrzymaniu pracy części surowcowej krakowskiego oddziału. Naszą pozycję konkurencyjną podważają koszty uprawnień do emisji CO_2, które są obciążeniem tylko dla producentów z Unii Europejskiej – podkreślał w maju Geert Verbeeck, prezes zarządu i dyrektor generalny ArcelorMittal Poland. Jednak w lipcu po rozmowie premiera Mateusza Morawieckiego z Lakshmim Mittalem, hinduskim właścicielem ArcelorMittal, spółka podjęła decyzję o wstrzymaniu wyłączenia pieca i stalowni. Co obiecał premier? Ile na tym stracą podatnicy? Tego nie wiadomo.

Również z powodu rosnących kosztów uprawnień do emisji CO_2, co uniemożliwia konkurencję z tanią stalą spoza UE, Huta Częstochowa zaprzestała produkcji i pod koniec czerwca br. ogłosiła upadłość. Z kolei w Hucie Łaziska w efekcie zbyt wysokich cen energii elektrycznej na co najmniej trzy miesiące wyłączono trzy piece z siedmiu. – Huty są w sensie dosłownym wygaszane, choć w 2018 r. polska gospodarka zużyła rekordową ilość stali. Koniunktura w przemyśle i duże inwestycje sprawiły, że krajowe zużycie wyrobów stalowych wzrosło o ok. 10 proc. Prawie trzy czwarte popytu zaspokoił import – napisał w liście do premiera Morawieckiego Bogusław Ziętek, przewodniczący WZZ Sierpień 80.

Jak można przeczytać w oświadczeniu ArcelorMittal, polski rynek zalewany jest stalą importowaną z krajów WNP. Tylko w 2018 r. import wyrobów gorącowalcowanych z tego kierunku zwiększył się o 500 tys. ton. To trzykrotny skok rok do roku. Zdaniem ekspertów w Polsce w najbliższych latach mogą zostać zgaszone wszystkie wielkie piece.

Mimo wzrastającego popytu na aluminium unijna polityka klimatyczna doprowadziła do zwijania także tej branży w krajach UE. Jak podaje PwC, w latach 2008–2018 liczba pieców do wytopu aluminium zmniejszyła się z 26 do 16. Produkcja spada na rzecz importu, mimo że w ciągu ostatnich trzech dekad w procesie technologicznym mocno zredukowano emisję CO_2, ponosząc przy tym olbrzymie koszty. – Generalnie to wysokie ceny energii elektrycznej i koszty środowiskowe stoją za ograniczaniem produkcji pierwotnej – mówi Jan Szafraniak z Izby Gospodarczej Metali Nieżelaznych i Recyklingu. Według danych European Aluminium w latach 2015–2018 import aluminium do krajów UE wzrósł o 19 proc. z ponad 2,73 mln do niemal 3,25 mln ton. W 2018 r. aż jedna trzecia tego importu pochodziła z Rosji.

Podobnie jest w przypadku cementu, przy którego produkcji nowoczesne instalacje w Polsce i UE emitują stosunkowo mało CO_2. – Rzeczywiście, jesteśmy niekonkurencyjni wobec przemysłów cementowych w krajach, gdzie te obciążenia związane z polityką klimatyczną nie obowiązują. Białoruś, Ukraina i Turcja – to są kraje, z których cement już pojawia się w Polsce. Jeżeli ktoś nie musi płacić za uprawnienia do emisji CO_2, to jest w uprzywilejowanej sytuacji wobec polskich producentów – mówi prof. Jan Deja, dyrektor biura Stowarzyszenia Producentów Cementu. Jak wylicza, w 2018 r. branża musiała dokupić 2,7 mln ton uprawnień, żeby wyprodukować potrzebną ilość cementu, bo darmowych uprawnień rocznie cały sektor cementowy w Polsce ma 8,6 mln ton, a wyemitowano 11,3 mln ton. W 2019 r. sytuacja będzie podobna. To oznacza, że cały sektor cementowy rocznie musi kupić uprawnienia warte ok. 70 mln euro. – To jest poważna sprawa. Bo to jest ponad 4 euro do każdej tony wyprodukowanego cementu – ocenia prof. Deja. – Walczymy o to, żeby nie dopuścić do wyprowadzenia sektora cementowego z Europy – podkreśla. Do tego dochodzą wyższe koszty energii elektrycznej związane z tym, że energetyka też musi kupować uprawnienia emisyjne.

Problem ma także polski przemysł chemiczny. Unijne rozporządzenie antykadmowe, którego vacatio legis właśnie trwa, uderza tylko w Grupę Azoty. – Ono uderza tylko w jedną firmę w UE […], w Grupę Azoty SA, polską firmę, bo tak się jakoś dziwnie złożyło, że jedyne złoża fosforytów na świecie, gdzie nie ma kadmu czy prawie wcale nie ma zawartości kadmu, to są złoża rosyjskie, czyli tak jakby legislacja brukselska, prawo UE przysłuży się świetnie Rosjanom – mówił w grudniu 2017 r. premier Morawiecki. Polska branża chemiczna alarmowała, że oznacza to monopol firm z Rosji i droższą żywność. – Wynik dzisiejszego głosowania stawia m.in. polskie zakłady chemiczne z Grupy Azoty w trudnej sytuacji, szczególnie w kontekście pozyskiwania fosforytów oraz wprowadzenia nowych, bardzo kosztownych technologii ich oczyszczania – komentował w połowie 2017 r. po głosowaniu w komisji PE europoseł Robert Jarosław Iwaszkiewicz, dodając, że lobbing firm zza wschodniej granicy oraz norweskich konkurentów Azotów jest olbrzymi.

UNIJNA POLITYKA ZWIĘKSZA EMISJĘ CO_2

Nie wiadomo, na ile silne jest rosyjskie lobby wśród eurokratów. Jednak dane jednoznacznie wskazują, że Rosja jest ewidentnym beneficjentem unijnej polityki walki z emisją CO_2. Jak pisze w swojej książce pt. „Kiedy opadły maski" były francuski europoseł Philippe de Villiers, „dzielnica Schumana w Brukseli stała się dzisiaj światową stolicą lobbingu. Uważa się, że przebywa tam około 25 000 lobbystów, lecz jedynie 11 250 jest zdeklarowanych", dodając, że na lobbing w Brukseli corocznie wydawanych jest od 1,5 do 3 mld euro. Ilu z tych lobbystów działa na rzecz Rosji i ile z tej kwoty to pieniądze pochodzące z Moskwy?

Najlepsze jest to, że polityka energetyczno-klimatyczna UE bynajmniej nie powoduje globalnego zmniejszenia emisji CO_2, ale wręcz ją powiększa. Dochodzi bowiem CO_2 emitowany w związku z transportem. Do tego trzeba jeszcze doliczyć różnicę w emisji CO_2 przy produkcji tych importowanych towarów w porównaniu z potencjalną (mniejszą) emisją w zakładach krajów UE. W przestarzałych instalacjach pozaunijnych emisja CO_2 jest zwykle wyższa.

– Ewidentnie obawiamy się tego niekonkurencyjnego położenia. Mamy problem zagrożenia produkcji cementu w Polsce w bardzo nowoczesnych instalacjach, gdzie te wskaźniki emisyjne są na bardzo dobrym poziomie. Czyli będziemy importować do Polski cement w gorszych warunkach technicznych przy wyższych parametrach emisyjnych – mówi prof. Deja.

Tak więc unijna polityka energetyczno-klimatyczna nie tylko idzie w kierunku zarżnięcia gospodarek krajów Unii Europejskiej, lecz także jest przeciwskuteczna w zwalczaniu emisji znienawidzonego CO_2! – Unia Europejska zrodziła się z węgla i stali, a teraz wyrzeka się rodziców – napisał Ziętek w swoim liście do premiera Morawieckiego. Czy kolejne polskie rządy, które zgodziły się na unijny pakiet energetyczno-klimatyczny i go realizują, nie powinny zostać oskarżone o zdradę stanu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Prezes banku czy kasyna?

Zakładam, że część osób, które zaciągnęły kredyt frankowy, dobrze, a jeszcze mniejsza część z nich doskonale zdawała sobie sprawę, skąd mogą się wziąć ewentualne związane z nim korzyści, na które zapewne liczyły. A więc osoby te równie dobrze rozumiały, jak wielkim ryzykiem taki kredyt jest obarczony. Wszelako mam przekonanie, że ludzi takich wśród kilku setek tysięcy osób, które zaciągnęły kredyt frankowy, zbyt wielu nie było. W końcu gdyby było inaczej, gdyby aż tak wielu z nich naprawdę pojmowało, na co się zamierza, co może ich spotkać po wzięciu kredytu, czy zgodziłoby się dobrowolnie sprowadzić na siebie i swe rodziny taki los, jaki stał się potem ich udziałem?

Zapewne znacznie lepiej z ogromu ryzyka, w jakie pakują swych klientów, zdawali sobie sprawę ówcześni pracownicy banków – ci, którzy te kredyty sprzedawali, a raczej – w niejednym przypadku – na które wprost naciągali klientów, którzy w żadnym razie nie powinni po taki kredyt sięgnąć. I w ich przypadku, mam wrażenie, wiedza o rozmiarach ryzyka będącego konsekwencją podpisania tak skonstruowanej umowy kredytowej nie była dostatecznie powszechna, chyba że wszyscy owi doradcy kredytowi są ucieleśnieniem zła – ludźmi potrafiącymi bez zmrużenia oka skazywać swych klientów wraz z całymi rodzinami na gigantyczne tarapaty finansowe.

Jednak już prezesi oraz wysoko postawieni i wykształceni pracownicy służb finansowych banków – ci, którzy te umowy przygotowywali, a potem szkolili podwładnych do nakłaniania ludzi do zaciągania kredytów frankowych – po prostu musieli z grożącego ich klientom finansowego armagedonu zdawać sobie sprawę. Podobnie jak liderzy partii domagający się wtedy dalszego udzielania kredytów frankowych i szefowie państwowych instytucji nadzorujących rynek usług bankowych. A jeśli nie zdawali sobie z tego sprawy, to tym gorzej o nich świadczy.

Chyba że owi prezesi banków uważają, że zarządzali, a może nadal zarządzają nie bankami, lecz kasynami – gdzie tak potężne ryzyko, jak to towarzyszące sprzedawanym przez ich instytucje kredytom frankowym, jest czymś normalnym. O tym, że tak może być, świadczy to, iż wiele z tych banków dziś bezceremonialnie wciska Polakom obarczone niewiele mniejszym ryzykiem kredyty hipoteczne o zmiennym oprocentowaniu, które pewnie – po wzroście inflacji i rat odsetkowych – wpędzą w biedę kolejne setki tysięcy naszych rodaków.

A wtedy ci prezesi kasyn udających banki znów winę za swe czyny bez skrupułów przerzucą na klientów biorących te kredyty, finansowymi konsekwencjami obarczą zaś klientów swych banków. Wzorem tego, co zrobią (a właściwie już zaczynają robić), gdy po werdykcie TSUE wzbierze fala spodziewanych, niekorzystnych dla ich banków, wyroków sądów. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Po wyborach

Gdy zostałem poproszony przez rząd jako ekspert ekonomista o wystąpienie na sesji plenarnej z oceną minionych czterech lat rządów Zjednoczonej Prawicy, po dokonaniu tej oceny sformułowałem wiele rekomendacji. Mam nadzieję, że zostaną one wzięte pod rozwagę.

Po pierwsze, okresowa, rygorystyczna pod względem naukowym, prowadzona przez niezależnych ekspertów ocena strategicznych programów rządu. Taka ocena zwiększa transparentność prowadzonej polityki i pozwala ograniczyć ryzyko złych decyzji.

Po drugie, dokonanie Oceny Zarządzania Inwestycjami Publicznymi (tzw. PIMA) w ramach programu MFW, zanim zostaną one uruchomione.

Po trzecie, międzyokresowe przesunięcia dochodów sektora finansów publicznych powinny zostać wdrożone tylko po uprzednim spełnieniu warunków określonych w rekomendacji nr 2. Jeżeli dochody z przyszłości inwestujemy dzisiaj, to musimy być przekonani o najwyższych standardach zarządzania inwestycjami publicznymi.

Po czwarte, finansowanie programów rządowych nie powinno zakładać dalszego wzrostu fiskalizmu w Polsce. O ile poziom fiskalizmu w Polsce jest jeszcze mniejszy niż przeciętnie w UE, o tyle ta luka zaczyna się powoli domykać.

Po piąte, ponieważ program „500+" nie spowodował znaczącego wzrostu dzietności, trzeba uruchomić pilotażowe, szybkie testowanie istotności barier dla wzrostu dzietności w różnych regionach i grupach docelowych, a po ich identyfikacji i neutralizacji – efektywne programy trzeba rozszerzyć na całą Polskę. Do realizacji tego postulatu prawdopodobnie potrzebne będą kolejne dwie kadencje.

Po szóste, ponieważ wzrost innowacyjności w Polsce postępuje zbyt wolno, należy wdrożyć rekomendacje zawarte w raporcie „Go Global! Raport o innowacyjności polskiej gospodarki", który został przedstawiony jeszcze w 2011 r.

W uzupełnieniu rekomendacji z pkt 6 szczególny nacisk należy położyć na rozwój kompetencji związanych z zastosowaniem sztucznej inteligencji, robotyki i Internetu rzeczy w różnych sektorach gospodarki. W tym kontekście szczególnie ważna jest zmiana programów nauczania w szkołach i na uczelniach, z naciskiem na nauczanie matematyki i informatyki.

Druga kadencja rządu będzie przebiegała w warunkach globalnego spowolnienia lub nawet recesji, wojen handlowych i w cyberprzestrzeni. Utrzymanie solidnego tempa wzrostu będzie wymagało mądrej polityki gospodarczej i społecznej. Obniżenie stóp procentowych przez zaprzyjaźniony bank centralny do zera i znaczące zwiększenie deficytu budżetowego to nie byłyby najlepsze wybory. Dlatego polecam uwadze powyższe rekomendacje. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 4bfed2fe01

Bony na innowacje i dostępność

FOT. ADOBESTOCK

Nawet 900 tys. zł dofinansowania może uzyskać przedsiębiorca na innowacyjne rozwiązania w ramach jednego z tegorocznych konkursów PARP. W tym roku uruchomiono dodatkowe konkursy – dla rozwiązań wpisujących się w rządowy program „Dostępność Plus"

Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości prowadzi w tym roku cztery konkursy w ramach „Bonów na innowacje dla małych i średnich przedsiębiorstw". To jeden z najbardziej przystępnych mechanizmów wspierania innowacyjności w Polsce. W tym roku, poza konkursami ogólnymi, równolegle prowadzone są projekty wpisujące się w realizację rządowego programu „Dostępność Plus", czyli skierowane do firm wprowadzających rozwiązania ułatwiające codzienne funkcjonowanie osobom z ograniczeniami funkcjonalnymi i poznawczymi. Całkowita kwota przeznaczona na wsparcie dla przedsiębiorców z sektora MŚP w tych konkursach to 100 mln zł.

DOSTĘPNOŚĆ TO PRIORYTET

Program „Dostępność Plus" to jeden z pięciu priorytetowych działań obecnego rządu. Jest zobowiązaniem rządzących do podejmowania takich działań, które przyczynią się do znoszenia barier infrastrukturalnych oraz prawnych utrudniających funkcjonowanie w społeczeństwie osób z czasowymi lub ze stałymi ograniczeniami.

W realizację tego ważnego zobowiązania wpisują się konkursy na dofinansowanie dla firm z sektora MŚP pod hasłem „Dostępność Plus".

– Głównym celem tych konkursów jest wsparcie przedsiębiorców wdrażających innowacyjne produkty dla osób niepełnosprawnych lub seniorów, a także osób czasowo mniej mobilnych, np. ruchowo, kobiet w ciąży lub osób z małymi dziećmi, osób z dużym bagażem – tłumaczy Anna Forin, dyrektor Departamentu Usług Proinnowacyjnych w PARP. – Cechą charakterystyczną konkursów dedykowanych programowi „Dostępność Plus", w odróżnieniu od standardowych, jest nastawienie na rezultat projektu – innowację produktową lub procesową, ułatwiającą użytkownikom końcowym, czyli potencjalnym klientom przedsiębiorców realizujących takie projekty, codzienne funkcjonowanie w społeczeństwie – dodaje.

Jednym z poddziałań w ramach wspomnianych konkursów jest poddziałanie pod nazwą „Bony na innowacje dla MŚP – Dostępność Plus". To oferta dwuetapowa. – W pierwszym etapie przedsiębiorcy mogą ubiegać się o możliwość dofinansowania proinnowacyjnych usług badawczo-rozwojowych, w wyniku których powstanie we współpracy z jednostką naukową opracowanie koncepcji przedsiębiorcy na innowacyjny wyrób lub usługę, technologię lub projekt wzorniczy. Po zakończeniu realizacji przedsięwzięcia – gdy zostanie zaakceptowany przez PARP wniosek o płatność końcową – przedsiębiorcy ci mogą aplikować, w drugim konkursie, o kolejne środki na wdrożenie rozwiązań, które były przedmiotem opracowania w pierwszym etapie konkursu – wyjaśnia Anna Forin.

ZNANA PROCEDURA

Nabór wniosków do konkursów – zarówno tych dotyczących programu „Dostępność Plus", jak i ogólnych – trwa. Jak podkreśla Anna Forin, przedsiębiorcy mający doświadczenie w aplikowaniu w konkursach ogólnych powinni bez problemu poradzić sobie z wnioskami w działaniach zwiększających dostępność, o ile zastosują się do wskazówek z instrukcji wypełniania wniosku i opiszą w swoim projekcie, jak ich innowacyjne produkty przyczynią się do poprawy codziennego życia osób z ograniczeniami funkcjonalnymi i poznawczymi, czasowymi lub trwałymi.

Gros wymagań jest podobne, a różnice dotyczą głównie m.in. brzmienia kryteriów i oczekiwanych rezultatów. – Ze względu na kluczowe znaczenie komfortu grup docelowych, będących użytkownikami końcowymi wyrobów lub usług, wypracowanych i wdrożonych w ramach poddziałania, wnioskodawcy powinni uwzględnić zaangażowanie przyszłych odbiorców usług w testowanie lub opiniowanie, np. w formie ankiety, opracowania, dotyczącego nowego lub udoskonalonego produktu, procesu lub projektu wzorniczego – podkreśla Anna Forin.

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój
Rzeczpospolita Polska
PARP Grupa PFR
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 4bfed2fe01

Polacy w ekstraklasie eksporterów

Nasz kraj jest jednym z najszybciej rosnących eksporterów na świecie. Czy możliwe jest przejście poziom wyżej i sprawienie, że nasze firmy osiągną pozycję globalnych czempionów? Najnowszy raport Banku Pekao S.A. pokazuje, że są na to spore szanse

W ciągu 15 lat od wstąpienia naszego kraju do Unii Europejskiej eksport polskich towarów i usług zwiększył się niemal czterokrotnie. Dzięki temu awansowaliśmy do elitarnego grona 25 największych globalnych eksporterów – zajęliśmy 23. miejsce wśród największych eksporterów towarów na świecie i 24. pozycję wśród największych eksporterów usług na świecie.

W wielu dziedzinach polskie firmy wywalczyły już sobie podium: Polska zajmuje trzecie miejsce na świecie w eksporcie mebli, mięsa drobiowego czy wyrobów tytoniowych.

Sprzedaż eksportowa podczas ostatniej dekady rosła tak szybko, że nasz kraj z długoletniego importera netto towarów i usług, przeistoczył się w eksportera netto: nadwyżka w handlu zagranicznym kształtowała się w ostatnich trzech latach na rekordowych poziomach 70–80 mld zł. Relacja eksportu do PKB wzrosła o ponad 20 pkt procentowych do poziomu wynoszącego aż 55 proc. Eksport stał się więc dźwignią rozwojową polskiej gospodarki.

– Sukces eksportowy Polski jest wynikiem wymiernych przewag konkurencyjnych, które pozwalają na konsekwentny wzrost znaczenia naszej gospodarki na arenie międzynarodowej. Jako jeden z największych banków korporacyjnych w Polsce wiemy, że nasze firmy chcą być aktywne poza Europą, chcą zdobywać rynki w Azji, Afryce, Ameryce Łacińskiej czy Stanach Zjednoczonych – stwierdził Michał Krupiński, prezes zarządu Banku Pekao S.A. podczas zorganizowanej w Warszawie drugiej edycji międzynarodowej konferencji CEO Summit, czyli spotkania przedstawicieli rządów, profesorów międzynarodowych uczelni, specjalistów od nowoczesnych technologii i szefów globalnych korporacji, organizowanego przez Bank Pekao S.A. oraz amerykański think tank Atlantic Council.

– Spośród blisko 90 krajów o liczbie ludności przekraczającej 10 mln mieszkańców silniejszy wzrost odnotował na całym świecie tylko Wietnam – zauważył prezes Banku Pekao S.A, podkreślając, że polska gospodarka zwłaszcza w ostatnich dwóch latach rozwijała się wyjątkowo szybko.

– W ciągu ostatnich 30 lat Polska odniosła niesamowite sukcesy. Okres tak wielkiej prosperity, który obecnie przeżywacie, ostatnio na tych terenach miał miejsce w XVI w. Słusznie więc Bank Pekao pyta o następny etap rozwoju Polski i o polskich globalnych czempionów – powiedział podczas konferencji Daniel Fried. Były ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce, przedstawiciel Atlantic Council i członek kolegium Weiser Family

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. ADOBE STOCK

zauważył również, że stosunki polsko-amerykańskie, które wcześniej koncentrowały się na kwestiach bezpieczeństwa i wolności, teraz powinny skupiać się na rozwoju relacji biznesowych.

Jednocześnie autorzy raportu „Czy Polskę stać na globalnych czempionów?" zauważają, że za wzrost eksportu odpowiadają jednak zagraniczne koncerny, które włączyły Polskę w globalne łańcuchy dostaw: aż dwie trzecie czołówki największych eksporterów w naszym kraju to lokalne spółki córki największych globalnych koncernów. Jednocześnie, 27 proc. łącznej wartości dodanej zawartej w polskim eksporcie wytwarzane jest poza granicami kraju – to więcej nie tylko od średniej dla krajów rozwiniętych, lecz także większości gospodarek rozwijających się.

Dodatkowo relatywnie małą część eksportu stanowi sprzedaż na szybko rosnące pozaunijne rynki (20 proc. w stosunku do łącznego eksportu towarów w roku 2018), co może być sporym wyzwaniem, biorąc pod uwagę fakt, że Unia Europejska należy do najsłabiej rosnących regionów globu.

Eksperci banków zwracają też uwagę na to, że polskie firmy są zbyt słabo obecne kapitałowo na zagranicznych rynkach. Ograniczona ekspansja prowadzi również do niskiej znajomości polskich marek za granicą oraz pozycjonowaniem ich w dolnych segmentach cenowych.

To wszystko sprawia, że nie mamy w Polsce zbyt wielu koncernów o skali porównywalnej z globalnymi potentatami, a w rankingu Forbes 2000 znajduje się tylko siedem polskich firm. Jak brzmi więc krótka odpowiedź na pytanie będące tytułem tego dokumentu? Czy polskie firmy mogą zostać globalnymi czempionami?

– Już dziś istnieje wiele polskich firm działających na skalę globalną, bo o wielu z nich wcale nie jest głośno. Mają one świetne modele biznesowe, oparte nie tylko na niższych kosztach pracy, lecz także na zdolnościach do innowacji.

Trudność polega na tym, jak jeszcze bardziej powiększyć rozmiar naszych spółek eksportowych i wykorzystać olbrzymi potencjał do fuzji i przejęć w Polsce i w regionie. Kluczowe jest także stworzenie bazującej na wysokiej jakości marki „Polska", a także lepszych, bardziej rozpoznawalnych marek polskich przedsiębiorstw. Chodzi na przykład o to, aby móc sprzedawać produkty bezpośrednio do Azji czy Ameryki z ominięciem pośredników, takich jak na przykład Niemcy czy Szwajcarzy – tłumaczył Michał Krupiński, zwracając uwagę, że obecnie polska produkcja eksportowa ma w dużym stopniu charakter podwykonawczy. Prezes Pekao S.A. zwrócił również uwagę na konieczność zwiększenia innowacyjności i konkurencyjności polskich firm, co ma pomóc w uniknięciu wpadnięcia przez Polskę w tzw. pułapkę średniego dochodu.

Zauważył on także, że Polska gospodarka powinna przechodzić z fazy stricte eksportowej w ekspansję kapitałową (skumulowana wartość polskich inwestycji zagranicznych wynosiła na koniec ubiegłego roku ok. 29 mld dol., czyli mniej niż firm węgierskich czy czeskich), a polskie spółki mają duże szanse, aby nie tylko nadal konsolidować krajowy i regionalny rynek, lecz także stać się aktywnymi graczami na międzynarodowej scenie fuzji oraz przejęć.

– Odważniejsze wyjście polskich przedsiębiorstw za granicę mogłoby także stanowić ważny bodziec rozwojowy polskiej gospodarki, która nadal skutecznie umacniałaby swoją pozycję w unijnym i światowym handlu – przekonywał prezes Krupiński, podkreślając, że chciałby, aby kierowany przez niego bank również odgrywał coraz większą rolę na globalnym rynku.

Bank Pekao S.A. od kilku lat pełni już funkcję asystenta polskich firm rozszerzających swoją działalność na zagraniczne rynki, w tym np. rynki azjatyckie.

Podczas konferencji CEO Summit przedstawiciele Banku Pekao S.A. podkreślali także, że aby utrzymać dotychczasową dynamikę ekspansji eksportowej, dynamika sprzedaży zagranicznej musi wynosić co najmniej 5 proc. rocznie. Nie będzie to łatwe zadanie, ponieważ międzynarodowa konkurencyjność Polski zostanie w najbliższych latach wystawiona na poważne wyzwania. Eksperci Pekao S.A. wskazują w raporcie m.in. na kurczące się zasoby pracy, rosnące ceny praw do emisji dwutlenku węgla, które będą wywierać presję na koszty energii, a także na wyzwania geopolityczne, takie jak Brexit czy wojny handlowe.

Piotr Wetmański, członek zarządu Banku Pekao S.A., podczas konferencji CEO Summit zwrócił także uwagę na niekorzystne zmiany demograficzne (według prognoz Polska znajdzie się w gronie 10 najstarszych narodów świata), a także wyzwania technologiczne, w tym rewolucję związaną z wdrażaniem sztucznej inteligencji.

Aby dalsza ekspansja eksportowa była możliwa, konieczny jest wzrost kreatywności i innowacyjności firm, a także wspólne działania prywatnych polskich spółek, polskiego państwa (np. poprzez tworzenie zachęt inwestycyjnych) oraz sektora finansowego (mogącego sfinansować innowacyjne plany polskich firm).

Mimo Brexitu, a także spodziewanego spowolnienia gospodarczego w Niemczech i innych krajach Unii Europejskiej, bliskie otoczenie geopolityczne w dłuższej perspektywie może być dla Polski sprzyjające.

– Ukraińcy chcą podążać polską drogą. Jeśli uda im się przeprowadzić niezbędne reformy, to będzie to znakomita wiadomość dla polskiego biznesu. Dzięki temu Polska zyska ważnego partnera, który będzie istotnym oparciem dla waszej gospodarki – zauważył podczas konferencji ambasador Daniel Fried.

eprasa.pl 4bfed2fe01

W „Euforii” i bez

Joanna Bojańczyk

Serial o amerykańskich nastolatkach to mocny ładunek emocji i wyraziste kostiumy. Antyglamour i brak reguł są manifestem jego bohaterów, pokolenia Z. Jak to wygląda w Polsce?

Nastolatki buntują się od zawsze. Wie to każdy, a rodzice szczególnie. Najbardziej widocznym przejawem rewolty są ubrania. Oczywiście chodzi o to, żeby było inaczej niż w starszym pokoleniu. Jeśli ojciec nosi krótkie włosy, to trzeba mieć długie, jeśli ojciec ma dłuższe, to golimy na łyso, jeśli ma buty z wąskim czubkiem, to stawiamy na szpice. Żeby zdenerwować mamę, liczy się wszystko: długość spódnicy, wysokość obcasa, kolor paznokci i włosów, piercing, tatuaże…

W kinie też to widzieliśmy. Już w zamierzchłych wczesnych latach 60. 16-letnia Pola Raksa nosiła kolorowe pończochy, czym doprowadziła do awantury w szkole i w domu. Dzisiaj jej pończochy uchodziłyby za pensjonarskie. Paweł z „Wojny domowej” toczył z ojcem starej daty wojnę o włosy itp., itd.

Tamte historie to czasy wojen punickich w porównaniu z tym, co się dzieje dzisiaj. Dzisiaj dress code'y rozsypały się jak domek z kart, dorośli nie mają odwagi skomentować zachowania swoich dzieci, żeby nie posądzono ich o przemoc psychiczną lub niezrozumienie współczesności. Kupują to, co dzieci wybiorą, jeśli tylko ich stać. Matki proszą córki o radę i wspólną wycieczkę do centrum handlowego, bo nie chcą wyglądać „obciachowo”. W serialu „39 i pół” dobiegający czterdziestki ojciec ubiera się i zachowuje bardziej wywrotowo niż jego syn nastolatek. A generalnie kryteria tego, co należy, co jest jeszcze modne, a co już obciachowe, zmieniają się teraz tak szybko, że człowiek 40-letni za nimi nie nadąża.

JAK W WIELKIM ŚWIECIE

Jednak od czegóż są seriale? Zawsze można się z nich dowiedzieć, jak się zachować w tzw. wielkim świecie. „Seks w wielkim mieście” nie opowiadał o nastolatkach, chociaż jego cztery bohaterki chętnie by za takowe uchodziły, ale jego wpływ na damską garderobę był nie do przecenienia. Grały designerskie ciuchy za tysiące dolarów, szpilki ustanowiły się jako nakaz dla kobiet w każdym wieku. Potężny product placement zachęcał do kupowania. Dzięki serialowi Manolo Blahnik z szewca stał się kreatorem. Serial „Mad Men” z kolei powołał do życia modę na lata 50., która odbiła się echem kilka sezonów później i trwa do dzisiaj jako „bourgeois look”. „Dziewczyny” prezentowały galerię typów – był to Nowy Jork (nie całkiem Ameryka) i różne typy, różne środowiska. Każda z dziewczyn miała opracowany własny zestaw w zależności od charakteru postaci i rozwoju akcji. Od biznes looku do bohemy. Bohaterki „Plotkary” ubierały się jak bogate panienki z górnego wschodniego Manhattanu. A w naszej działce: młodociani bohaterowie sympatycznej „Rodzinki”(czasem za sympatycznej) noszą wielkomiejską młodzieżową klasykę z sieciówek: bluzy dresowe z logo, sportowe buty popularnej marki... Poprawny, uładzony luz z zachowaniem wymagań telewizyjnego ekranu i z obfitym lokowaniem produktu.

TROCHĘ SZMACIARA, TROCHĘ SNOBKA

Teraz mamy serial o mocniejszym ładunku emocji. To „Euforia”, produkcja HBO. To już nie trochę niegrzeczne dziewczynki w za krótkich spódniczkach czy nawet z kolczykiem w nosie. Nie burżujki obklejone markami. To pokolenie Z – seks, narkotyki, porno, alkohol są codziennością. Niezbyt przyjemnie się to ogląda, zwłaszcza gdy jest się dorosłym, zwłaszcza jeśli ma się nastoletnie dzieci. Tyle że człowiek się cieszy, iż już nie musi być nastolatkiem i uczestniczyć w tym wszystkim. Jednak trzeba powiedzieć, że ciuchy w tym serialu są naprawdę interesujące, ponieważ są w pewnym sensie metaforą rzeczywistości.

Nie należy ich traktować w kategoriach nakazowych, tak jak to było w „Seksie w wielkim mieście” – „noś taką torebkę”. Należy docenić, jak autorka kostiumów Heidi Bivens głęboko wczuła się w mentalność bohaterów i jak udało się jej wszystkie ich rozhuśtane emocje wyrazić ubraniami. No i naturalnie już teraz można się domyślać, że ciuchy z „Euforii” wywrą wpływ na modę. Najpierw na biura trendów, potem na pokazy, w końcu na ulicę.

Zapomnijmy o kostiumografie demiurgu, który ubiera bohaterki jak festiwalowe lale, w suknie kreatorów. „Euforia” to antyglamour, antymoda. Na to zresztą nie zgodziłaby się główna bohaterka Zindaya, która gra w serialu

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. HBO

dziewczynę o imieniu Rue. Rue wyszła z odwyku, ale nie ma zamiaru wrócić do „czystego" trybu życia. To przerysowana przedstawicielka pokolenia Z, dziewczyna szukająca swojej drogi. Ma styl trochę chłopczycy, trochę szmaciary, trochę snobki. Niby na luzie, ale uwaga – wszystko jest wystudiowane. Teoretycznie ma chodzić o styl vintage, o niedrogie marki, ale najlepiej określa to angielskie słowo „scumbro".

Scumbro pierwotnie odnosiło się do mody męskiej, tutaj przenosi się na damską. To rodzaj snobizmu à rebours – styl kogoś, kto nosi drogie ciuchy, ale chce sprawiać wrażenie, że to tanie szmaty. Zasada – nic do niczego nie pasuje. Ufarbowane w pralce T-shirty, za duże spodnie bojówki, trampki Converse (conversy bohaterka nosi w każdej scenie – trudno o bardziej agresywny product placement). Rue nosi hawajskie koszule z męskimi szortami, przezroczystą mikrosukienkę, a do niej martensy i dresową bluzę na suwak. Za dużą bluzę z kapturem, w której można się schować. Na wierzch sukienki zakłada atłasowy biustonosz albo siatkę. Wszystko wygląda, jakby zostało przypadkowo wyłowione w działach męskim, damskim i dziecięcym, a dodatkowo w second-handzie. Albo wzięte z wypożyczalni kostiumów. Na imprezę zamiast sukienki za wielka marynara świadomie ukrywająca kobiece kształty. Osobliwa mieszanka grunge'u, punka, geeku, retro. Do tego Supreme – czołowa przedstawicielka scumbro, marka tylko dla tych, którzy potrafią zrozumieć, o co chodzi. Byle jaka bejsbolówka Supreme kosztuje 400 dol., o ile w ogóle można ją zdobyć.

No i makijaże. Przede wszystkim: kontrast. Do stylu „zaniedbana chłopczyca" powieki i policzki oklejone cekinami albo złotym pudrem. Dziewczyny noszą sceniczne makijaże, kolorowe jak z mangi. Są tu i rozchodzące się promieniście od oka czarne kreski, i tęczowe cienie na powiekach, i fantazyjne rysunki wokół oka, i czerwone kreski à la samuraj – to wszystko wyraz pomysłowości makijażystki Donielli Davy.

KONSUMPCJA TO OBCIACH

To wszystko jest amerykańskie – co to ma wspólnego z polską rzeczywistością? Mam nadzieję, że narkotyki, alkohol i przypadkowy seks nie są rzeczywistością naszych nastolatków (podobnie jak są tylko fragmentem rzeczywistości amerykańskiej), ale sposób ubierania wielu z nich niewiele różni się od tego, co widzimy w „Euforii". Nie mówię tu o dzieciach z zamożnych rodzin, które mogą wyduszać z rodziców obowiązujące w szkole markowe buty, bluzy czy kurtki i szpanują bluzami Gucciego, tak jak synowie Małgorzaty Rozenek. Nie o nich tu chodzi.

W polskich szkołach widać też podejście bardziej realistyczne finansowo, a zarazem bardziej ambitne, prospołeczne. Dla kilkunastolatków lata 60. i 70. są starożytnością, lata 80. i 90. to uroczy vintage. Second-handy są kopalnią możliwości. I oni, tak samo jak ich amerykańscy rówieśnicy, odrzucają zasady – co do czego pasuje, co „wypada". Niepasujące do siebie rzeczy, łączenie starych i nowych to zabawa. Uwielbiają hybrydy, są antymodowi i antysystemowi. Za tym stoi coraz silniejsza świadomość ekologiczna. Konsumpcja ma opinię obciachowej, kupowanie w lumpeksach i wymiana ubrań zasługują na podziw.

Kilka lat temu Allegro zleciło raport „Polska strojna", mający zbadać zainteresowania ubraniowe nastolatków. Wynikało z niego, że polskie nastolatki nie są specjalnie zainteresowane modą. Do trendów podchodzą krytycznie, chcą czuć się częścią grupy, nie odstawać od rówieśników. Wiadomo – silna w tym wieku potrzeba akceptacji. Ich styl kształtują dwa sprzeczne dążenia: zaznaczyć swoją indywidualność, ale też wpisać się w stado. Tak samo, ale inaczej. W ramy szkolnego munduru – dżinsy rurki, T-shirt, bluza dresowa – należy wpisać pomysł, fantazję, inwencję. To wszystko łatwiej znaleźć w Internecie. 61 proc. kupuje ciuchy mobilnie, tak jest taniej.

– Nikt nie chce mieć butów, które mają już inni – powiedziała mi 17-letnia licealistka Julia.

To jeszcze nie scumbro. I oby nie nadeszło, bo drogie ubrania, które wyglądają na tanie, to już perwersja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. PONTUS LUNDAHL/TT NEWSAGENCY/FORUM

Nobel potrzebny jak tlen

Katarzyna Pinkosz

Tegoroczna Nagroda Nobla w dziedzinie medycyny była zaskoczeniem, bo dotyczyła badań przeprowadzonych ponad 20 lat temu. Dzięki nim udało się opisać, jak funkcjonują komórki, gdy mają niedobór tlenu. Może to pomóc w skuteczniejszym leczeniu nowotworów, zawału serca, miażdżycy

Żeby sprawdzić, jak niezbędny jest tlen, wystarczy zanurzyć głowę pod wodę. Przetestujemy, jak długo damy radę wytrzymać bez oddychania. Czasem tak czują się chorzy podczas ciężkiego ataku astmy. Tlen jest niezbędny każdej komórce, a gdy go brakuje, zaczyna ona umierać. W normalnych warunkach, gdy jesteśmy zdrowi, dostaje tyle tlenu, ile potrzebuje. Gdy jednak szybko biegniemy albo wykonujemy inny wysiłek fizyczny, tlenu potrzeba więcej. Organizm radzi sobie z taką sytuacją, przyspieszając oddech i tętno. W wysokich górach, gdy zawartość tlenu w powietrzu jest mniejsza, nie tylko trudniej jest jednak iść, lecz także mózg potrafi popełnić błędy w ocenie sytuacji na skutek niedoboru tlenu.

PRZYZWYCZAJENIE DO NIEDOTLENIENIA

Tegoroczni laureaci Nagrody Nobla z fizjologii i medycyny (Gregg L. Semenza, William G. Kaelin, Peter J. Ratcliffe) opisali mechanizm funkcjonowania organizmu, gdy jest odpowiednia ilość tlenu oraz kiedy pojawia się niedotlenienie. – Komórki muszą zacząć wtedy inaczej funkcjonować, by nadal pełnić swoje najważniejsze funkcje. Te zmiany mogą być zarówno krótkoterminowe, np. przy wysiłku fizycznym, jak i długoterminowe, np. gdy idziemy na dłużej w góry albo mamy miażdżycę, chorobę niedokrwienną serca lub inną, której towarzyszy niedotlenienie – tłumaczy prof. Marcin Ufnal, kierownik Zakładu Fizjologii i Patofizjologii Eksperymentalnej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego (WUM).

Przy dłuższym niedotlenieniu pojawia się wysoka ekspresja białka HIF1 (Hypoxia Inducible Factor, czyli czynnika indukowanego hipoksją, to znaczy obniżonym poziomem tlenu). To z kolei powoduje przestrojenie ponad 300 genów, m.in. odpowiedzialnych za tworzenie nowych czerwonych krwinek. Pobudzane są również geny odpowiedzialne za wytwarzanie nowych naczyń krwionośnych (to tzw. proces angiogenezy), by dać szansę na poprawę ukrwienia i efektywniejsze dostarczenie tlenu do komórek.

Dzięki tym mechanizmom organizm potrafi przystosować się do warunków w wysokich górach (jeśli jesteśmy rozsądni i pamiętamy o aklimatyzacji). Po takim wyjeździe przybywa nam czerwonych krwinek (a więc można poprawić wydolność organizmu). Podobnie

eprasa.pl 4bfed2fe01

organizm próbuje się zaadaptować w przypadku chorób powodujących niedotlenienie (takich jak przewlekła obturacyjna choroba płuc, choroba niedokrwienna serca czy miażdżyca). Oczywiście nasze zdolności przystosowawcze są ograniczone, jednak ich mechanizmy, opisane przez tegorocznych noblistów, są już wykorzystywane w leczeniu. Na razie w przypadku niedokrwistości (anemii), jednak w przyszłości mogą być zastosowane np. do leczenia choroby niedokrwiennej serca, miażdżycy, zawału serca, POChP czy nowotworów.

– W próbach przedklinicznych pojawiają się w kardiologii leki, które podwyższają ekspresję HIF1. Mogłyby poprawić ukrwienie mięśnia sercowego, wpłynąć na angiogenezę, czyli tworzenie nowych naczyń krwionośnych. Być może będą nową metodą leczenia choroby wieńcowej, niewydolności serca i innych schorzeń, przy których dochodzi do niedokrwienia – potwierdza prof. Krzysztof J. Filipiak, kardiolog i hipertensjolog z I Katedry i Kliniki Kardiologii WUM. Zwraca jednak uwagę, że to, co cieszy kardiologa, czyli szansa na poprawienie ukrwienia mięśnia sercowego, może z kolei martwić onkologa, gdyż mechanizm angiogenezy świetnie wykorzystują komórki nowotworowe. Wysyłają one sygnały, które zmuszają organizm do wytwarzania naczyń krwionośnych w stronę guza nowotworowego. Oplata się on siatką naczyń krwionośnych, które go odżywiają i zaopatrują w tlen. – W badaniach na zwierzętach okazywało się, że leki, które wpływały na angiogenezę i były dobre dla serca, często działały kancerogennie. Właśnie dlatego musimy dowiedzieć się jeszcze więcej na temat mechanizmów przystosowania się organizmu do niedoboru tlenu, by powstały leki, które spowodują lepsze ukrwienie serca, ale nie poprawią ukrwienia guza nowotworowego – wyjaśnia prof. Filipiak.

W leczeniu wielu typów nowotworów wykorzystywane są leki działające odwrotnie: hamujące powstawanie nowych naczyń krwionośnych. Mają za zadanie „odciąć" od nich nowotwór, a tym samym „zdusić" guza, jak mówi obrazowo doc. Anna Wójcicka, genetyk z Laboratorium Genetyki Nowotworów Człowieka w Centrum Nowych Technologii UW.
– W leczeniu wielu nowotworów są już leki ukierunkowane na to, żeby komórki raka nie mogły wytworzyć wokół siebie siatki naczyń krwionośnych. Takie leki mogłyby szczególnie sprawdzić się w raku nerki, a jest to nowotwór, który słabo odpowiada na klasyczne terapie – dodaje doc. Wójcicka. Na razie tylko jedna terapia antynowotworowa wykorzystuje w leczeniu szlak odkryty przez tegorocznych noblistów, jednak kolejne leki znajdują się w badaniach klinicznych.

NAGRODA DLA POLAKÓW?

Tegoroczni nobliści pracują w renomowanych uniwersytetach, z których wywodziło się wielu wcześniejszych laureatów tej nagrody. Gregg Semenza pracuje w John Hopkins University, William G. Kaelin w Instytucie Dana Farber oraz na Uniwersytecie Harvarda, a Peter Ratcliffe na uniwersytecie w Oksfordzie.

Przy przyznawaniu każdej Nagrody Nobla pada pytanie: Czy w tej rywalizacji Polacy mają szansę? – Nigdy nie można niczego wykluczyć, ale raczej byłby to naukowiec z polskimi korzeniami pracujący za granicą, gdzie nauka jest lepiej finansowana. Środki finansowe na naukę w Polsce rosną, ale cały czas to zaledwie połowa średniej unijnej – zaznacza prof. Mirosław Wielgoś, rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Oprócz mniejszego finansowania problemem naukowców są też procedury administracyjno-biurokratyczne.
– Przykład? W Stanach, gdy prowadzi się badania, w ciągu 24 godzin dostaje się niezbędne odczynniki, a sprzęt kupuje się w ciągu dwóch–trzech tygodni, negocjując jak najlepszą cenę. W Polsce często na odczynnik trzeba czekać sześć–siedem tygodni, a na sprzęt w najlepszym przypadku pół roku. To jest ten czas, w którym naukowcy z USA czy Chin, z którymi konkurujemy, już zdążyli wykonać badania i piszą publikacje do prestiżowych czasopism. W Polsce jest wiele ośrodków wykonujących badania na światowym poziomie, niestety po pewnym czasie naukowcy wyjeżdżają na Zachód. I to nie pieniądze, tylko warunki pracy są najbardziej winne – dodaje prof. Ufnal.

W przeszłości wielu polskich naukowców i lekarzy ocierało się o Nobla. Najwięcej nominacji miał Rudolf Weigl – polski biolog i parazytolog, który jako pierwszy na świecie wykorzystał wszy jako zwierzęta laboratoryjne i wytworzył skuteczną szczepionkę przeciwko tyfusowi plamistemu, ocalając życie setek tysięcy osób, zarówno przed II wojną światową, jak i w jej trakcie. Pochodził z rodziny austriackiej, jednak po przedwczesnej śmierci ojca wychowywał się w rodzinie polskiej i zawsze przyznawał się do polskiego pochodzenia, mimo że ryzykował życie odmową podpisania wniosku o wpisanie na niemiecką listę narodowościową. Jego nominacji do Nagrody Nobla sprzeciwili się w 1942 r. Niemcy, a w 1948 r. – polskie władze komunistyczne, które oskarżały go… o kolaborację z Niemcami. Do Nobla nominowany był też prof. Ludwik Hirszfeld, wybitny polski immunolog, odkrywca grup krwi. O nagrodę otarł się też prof. Hilary Koprowski, immunolog i wirusolog, przez wiele lat pracujący w USA, twórca pierwszej na świecie szczepionki przeciw polio. – Był idealnym kandydatem, dzięki tej szczepionce udało się ocalić wiele milionów osób. Innym naukowcem, który był blisko Nobla, był prof. Ryszard Gryglewski, który prowadził badania m.in. nad śródbłonkiem naczyń, ważne w kardiologii – przypomina prof. Wielgoś.

W ostatnich latach jednym z wymienianych polskich kandydatów jest prof. Wacław Szybalski, biotechnolog, genetyk i onkolog pracujący w USA. Jednak również w Polsce nie brakuje zespołów prowadzących badania, które mogłyby zapisać się na trwałe w historii medycyny. Profesor Wielgoś podkreśla osiągnięcia polskiej nauki, zwłaszcza w zakresie immunologii, immunoterapii, medycyny regeneracyjnej. Profesor Filipiak do tych dziedzin dodaje genetykę kliniczną, sekwencjonowanie genów, określanie ryzyka chorób na podstawie genomu, a także osiągnięcia kliniczne, takie jak choćby wykonaną przed kilkoma laty przez zespół pod kierunkiem prof. Włodzimierza Jarmundowicza pierwszą na świecie operację uszkodzonego rdzenia kręgowego, z użyciem komórek glejowych, które „odbudowały" zniszczone komórki rdzenia. Pacjent, do końca życia skazany na wózek inwalidzki i brak czucia połowy ciała, zaczął po tej operacji chodzić.

Będzie kiedyś „polski Nobel"?
– Trzeba być realistą: liczba naukowców zajmujących się badaniami podstawowymi i wysokość finansowania w Polsce są nieporównywalne z tymi z USA. Jednak Komitet Noblowski często podejmuje decyzje nieoczywiste. Trzeba próbować – mówi prof. Ufnal.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4bfed2fe01

TEST „DO RZECZY": SAMSUNG GALAXY FOLD

Takiej recenzji jeszcze na tych łamach nie było. Nie będzie to bowiem test z prawdziwego zdarzenia, lecz jedynie opis pierwszych wrażeń po dwóch godzinach spędzonych z pierwszym na rynku telefonem z elastycznym ekranem, czyli „tabletem" ukrytym w stosunkowo niewielkim smartfonie.

Galaxy Fold ma dwa ekrany o świetnej jakości: kolory są nasycone, czerń czarna, a kontrast wysoki. Pierwszy, na zewnątrz, to AMOLED o przekątnej 4,6 cala. To niewiele jak na dzisiejsze standardy, ale wystarczy, aby wygodnie wykonać telefon, napisać SMS-a czy przeczytać newsy na stronie internetowej. Złożony Fold jest smukły i choć jest ciężki (263 g) oraz gruby jak na dzisiejsze smartfony, to nieźle leży w ręku. Bez problemu można go też obsługiwać jedną ręką.

Gadżet wygląda solidnie. Naprawdę imponujące wrażenie robi jednak dopiero rozłożenie urządzenia: wówczas smartfon zamienia się w tablet. Ekran AMOLED o przekątnej 7,3 cala docenią miłośnicy wielozadaniowości – jednocześnie można pracować na trzech aplikacjach. Rewelacyjnie przegląda się na nim zdjęcia oraz strony internetowe. Bardzo dobrze czyta się też artykuły.

Nieźle na Foldzie prezentują się multimedia. Produkcje Netflixa obejrzymy na pełnym ekranie, ale już przy oglądaniu filmu w formacie kinowym 21:9 sporą część wyświetlacza zajmują czarne pasy.

Jak wygląda przejście z ekranu na ekran? Rozłożony duży wyświetlacz automatycznie

wyświetla treści oglądane wcześniej na ekranie zewnętrznym bez zatrzymywania (jeśli chcemy, to podobnie działa to też w drugą stronę). Nieźle grają głośniczki stereo. Dobrze działa czytnik biometryczny. Miłośnicy cyfrowej fotografii mają zaś do dyspozycji aż sześć obiektywów (w tym teleobiektyw, obiektyw szerokokątny i ultraszerokokątny).

We wnętrzu Galaxy Fold południowokoreańscy projektanci umieścili 12 GB pamięci RAM i aż 512 GB pamięci wbudowanej. Bateria – a tak naprawdę dwie, równomiernie rozłożone baterie, które rozładowują się i ładują równolegle – ma łączną pojemność 4380 mAh. Na ile wystarcza, dowiemy się już po prawdziwym teście.

Wady? Obudowa nie jest odporna ani na kurz, ani na wodę. Mnie brakuje też rysika znanego z serii Note, który pozwalałby lepiej wykorzystać ten model nie tylko do oglądania multimediów, ale do mobilnej pracy. Niestety, nie tylko go nie ma, ale przypuszczalnie szybko nie będzie, bo jego używanie mogłoby zwiększyć ryzyko uszkodzenia elastycznego ekranu. Z punktu widzenia Kowalskiego olbrzymią wadą Folda będzie kosmiczna cena. Składany smartfon kosztować ma w Polsce równe 9 tys. zł (słownie: dziewięć tysięcy). Premierę w Polsce zapowiedziano na 18 października br. W pudełku znajdą się też bezprzewodowe słuchawki Galaxy Buds oraz specjalne etui wykonane z kevlaru. Do wyboru są tylko dwa kolory: czarny (według mnie ładniejszy) oraz srebrny.

Fold będzie dostępny w ponad 30 punktach sprzedaży. Można go też będzie zamówić przez Internet, ale odebrać sprzęt i tak będzie trzeba w punkcie sprzedaży. Samsung zakłada bowiem, że klient powinien przejść bezpłatne kilkunastominutowe szkolenie z obsługi swojego superdrogiego gadżetu. ©℗

Jacek Przybylski

ACH, ŚPIJ KOCHANIE...

Żeby dobrze spać, trzeba nauczyć się swojego snu? Tak przekonują producenci Respio Sleep Coach – specjalnej opaski zakładanej jednak nie na rękę, ale na prześcieradło i sparowanej z nią aplikacji pozwalającej na bardzo dokładne monitorowanie snu.

Program aplikacji pozwala na analizę problemów z bezdechem, nocnych przebudzeń, głębokości snu, łącząc je również z pomiarem wilgotności w sypialni, temperatury powietrza i ciała oraz kilkoma innymi istotnymi czynnikami, np. wypitym przez nas alkoholem bądź kofeiną, wypalonymi papierosami, odbytymi treningami, kąpielą wziętą przed snem, ekspozycją na światło słoneczne etc.

Gadżet analizuje nasz sen przez blisko dwa tygodnie. Po tym czasie urządzenie na podstawie zebranych danych ustala – za pomocą aplikacji – jakie mogą być przyczyny, że wstajemy rano niewyspani, śpimy za krótko lub że nasz sen jest niewystarczająco relaksujący, i przedstawia zestaw zaleceń, np. ćwiczeń oddechowych, które nasz nocny relaks mają korzystnie zmienić.

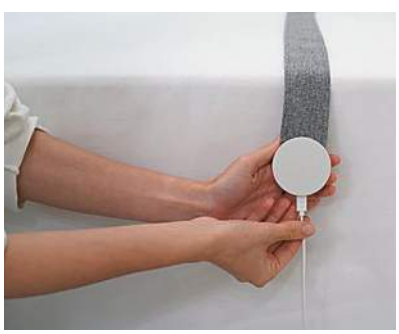

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Respio Sleep Coach można zamawiać na Indiegogo w cenie ok. 380 zł, a planowana dostawa gadżetu ma nastąpić w listopadzie.

PRAWIE JAK KOSTKA RUBIKA

Prawie czyni różnicę. W rzeczywistości eX-Mars to koreańskiej produkcji inteligentny robot w kształcie kostki... Rubika, pozwalający się zrelaksować, pomyśleć i zintensyfikować pracę mózgu. A to wszystko przy dźwiękach muzyki, podpowiedziach najlepszych rozwiązań, błyskających diodach ponoć wpływających relaksująco. eX-Mars to bowiem inteligentna kostka-robot z sześcioma zmotoryzowanymi kółkami, opcją samoszyfrowania „klocków", wyzwalania, ucząca logicznego myślenia. Ta zautomatyzowana „kostka Rubika" pozwala na rejestrację wyników, zapisanie „gry", wybór stopnia trudności i pomieszania „kafelków".

Fajna elektroniczna zabawka nie tylko dla dzieci na... zająca. Jeśli ktoś pomyślałby o niej jako prezencie świątecznym, to musi poczekać do Wielkanocy. Data premiery wyznaczona jest bowiem na marzec przyszłego roku, a cena produktu – który zamawiać można na Kickstarterze – to ok. 300 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 4bfed2fe01

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

7 LISTOPADA 2019
GALA WRĘCZENIA NAGRÓD

Tytuł **STRAŻNIK PAMIĘCI** przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN

PARTNER GŁÓWNY: PGNiG

PARTNERZY: KGHM POLSKA MIEDŹ, GRUPA CEDROB, PZU, TOTALIZATOR SPORTOWY, Poczta Polska, HM Inwest S.A., Lagardère TRAVEL RETAIL

eprasa.pl 4bfed2fe01

NIE TYLKO DLA BONDA

Aston Martin ujawnił, że w najnowszym filmie o przygodach agenta 007 – którego premiera zapowiadana jest na luty 2020 r. – ważne role zagrają cztery modele tego brytyjskiego producenta samochodów luksusowych. Będą to piękne klasyki: srebrny DB5 i V8 Vantage oraz nowiusieńkie DBS Superleggera (z silnikiem V12 o mocy ponad 720 KM) oraz Valhalla (z napędem hybrydowym o łącznej mocy przekraczającej 1000 KM).

W przyszłym roku fanów marki czeka jeszcze jedna ważna premiera: wiosną na rynku zadebiutuje Vantage Roadster. Brytyjczycy opublikowali już pierwsze zdjęcia tego modelu, który ma stanowić silną konkurencję dla kabrioletu Porsche 911 Carrera S. Cena nie jest jeszcze znana, ale prawdopodobnie oscylować będzie w okolicach 700 tys. zł.

WSZYSTKIE AUTA SYNA DYKTATORA

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aston Martin One 77, Bugatti Veyron, Ferrari LaFerrari, Koenigsegg One:1, Lamborghini Veneno Roadster czy McLaren P1. To tylko kilka z 26 supersamochodów, które należały do syna pochodzącego z Gwinei Równikowej dyktatora Teodorína Obianga. Dyktator został aresztowany przez szwajcarskie służby dwa lata temu. Kolekcja aut w październiku obecnego roku trafiła zaś pod młotek szwajcarskiego domu aukcyjnego Bonhams. Najwyższą cenę uzyskało Lamborghini Veneno Roadster z 2014 r. Auto sprzedano za 8,4 mln dol. (równowartość 33 mln zł). W sumie za wszystkie licytowane samochody uzyskano niemal 27 mln dol. (ponad 106 mln zł).

NOWY SAMOCHODZIK ZLATANA

Ferrari Monza SP 2. Tak nazywa się supersamochód, który na swoje 38. urodziny sam sobie kupił Zlatan Ibrahimović. Napastnik Los Angeles Galaxy wydał na swój nowy samochodzik 1,25 mln dol. Auto od zera do pierwszej setki przyspiesza w niecałe 3 s, a jego prędkość maksymalna przekracza 300 km/godz. Były kapitan piłkarskiej reprezentacji Szwecji w garażu trzyma też kilkanaście innych superaut, w tym lamborghini oraz maserati.

OSTATNIA DEKADA AUT SPALINOWYCH?

Władze Danii zaapelowały do pozostałych rządów państw Unii Europejskiej, aby wprowadzić wspólną unijną strategię, której celem będzie całkowite wycofanie ze sprzedaży samochodów z silnikami Diesla oraz benzynowymi najpóźniej do roku 2030. Jeśli nie uda się przyjąć wspólnego zakazu dla całej Unii, wówczas Duńczycy chcą, aby UE zgodziła się chociaż na to, by zakazy takie mogły legalnie przyjmować poszczególne kraje członkowskie. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 4bfed2fe01

REKLAMA

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY

TYGODNIK „DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE KSIĄŻKA:

T. KOWALIK i P. SŁOWIŃSKI „DRAGI I WOJNA”

~~633~~ ZŁ > 242,00 ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 242 ZŁ

ZAMÓW JUŻ TERAZ: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

REKLAMA

eprasa.pl 4bfed2fe01

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Ludzki płacz Pocieja

Zdawać by się mogło, że między członkami konfederacji olkienickiej, zawiązanej w listopadzie 1700 r. przeciwko rodowi Sapiehów, który rządził Wielkim Księstwem Litewskim jak własnym folwarkiem, znalazło się wielu światłych i szczerych patriotów. Nic bardziej mylnego. Wśród przywódców stronnictwa, które pod Olkienikami pobiło armię sapieżyńską, byli ludzie, którzy niewiele różnili się od okrutnego hetmana Kazimierza Jana Sapiehy i jego braci. Chociaż dowódca sił szlacheckich Michał Serwacy Wiśniowiecki miewał jeszcze szlachetne odruchy, to jego prawa ręka Ludwik Konstanty Pociej był człowiekiem wyzutym z wszelkiego honoru i moralności. Pamiętajmy jednak, że za chwilę zacznie się przeklęty wiek XVIII, w którym uczciwość, męstwo i wierność będą raczej przeszkadzać w karierze, a Rzeczpospolitą zaczną rządzić niebywałe kreatury, doprowadzając powoli do jej upadku.

Ludwik Konstanty Pociej herbu Waga praktycznie całą swoją pozycję i siłę zbudował dzięki zniszczeniu Sapiehów w bitwie pod Olkienikami, gdzie dowodził lewym skrzydłem wojsk konfederatów. Za zasługi wojskowe wzbogacił się, uzyskując dobra po pokonanych, które spustoszył i zniszczył wybieraniem danin i podatków tak bardzo, że wybuchł w nich bunt chłopski, który został stłumiony za pomocą wojska. W 1703 r. wyrobił sobie stanowisko podskarbiego litewskiego, co pozwoliło mu dokonać wielu machinacji skarbowych. Wybijane przez niego pieniądze były z tak słabego kruszcu, że widniejące na nich inicjały podskarbiego – L.P. – tłumaczono jako „ludzki płacz". Dość szybko także związał się z agentami

FOT. WIKIPEDIA

rosyjskiego cara Piotra I, a jego ruble niekończącym się strumieniem zasilały chudą kasę Pocieja.

W okresie wielkiej wojny północnej popierał Augusta II Sasa, dołączając do konfederacji sandomierskiej. I trzeba przyznać, że był jednym z nielicznych, którzy zdecydowali się na walkę ze Szwedami i z popieranym przez nich królem Stanisławem Leszczyńskim. Usiłował odbić Wilno, a w 1708 r. pobił pod Koniecpolem wojska Józefa Potockiego wspierającego wspomnianego władcę. Aż do bitwy pod Połtawą i klęski Szwedów Pociej był chyba najwierniejszym jurgieltnikiem cara i króla Augusta. Co opłaciło mu się sowicie – w nagrodę został hetmanem wielkim litewskim. I teraz mając ogromną władzę – a był też kasztelanem wileńskim – zwrócił się przeciwko królowi i stał się posłusznym wykonawcą woli Piotra I, niwecząc wszelkie próby reform i wzmocnienia Rzeczypospolitej. Za moskiewskie ruble jego zausznicy, członkowie stronnictwa hetmańskiego, zerwali trzy ważne sejmy – w latach: 1719, 1720 i 1722. Głównym powodem była chęć zniszczenia rysującego się antyrosyjskiego przymierza Habsburgów i Rzeczypospolitej. A także akcja przeciwko królewskim planom zmniejszenia władzy hetmanów litewskich i koronnych.

Pierwszą żoną Ludwika Pocieja była Aniela Zahorowska, drugą – od 1717 r. – Emercjanna Warszycka, kobieta lekka, uwikłana w liczne romanse i przyprawiająca Pociejowi rogi długie jak jego klejnot herbowy. Szybko stała się kochanką króla Augusta II Sasa i uczestniczyła w dworskich intrygach. Niektórzy, tak jak Katarzyna Bielińska, żona posła francuskiego, uważali, że była niespełna rozumu. Z Emercjanną Pociej doczekał się tylko jednej córki – Ludwiki Marianny, pozostałe dzieci zmarły w dzieciństwie.

Ludwik Pociej zmarł w 1730 r., pozostając przez całe życie nikczemnym człowiekiem; jego charakter i namiętności dobrze oddaje mało udany portret z początku XVIII w. Rok później jego córka Marianna wyszła za mąż za Franciszka Borzęckiego. Spowodowało to niemal wojnę z matką i innymi krewnymi, wśród których był np. wychowanek hetmana Antoni Pociej. Ostatecznie otrzymał on Włodawę, gdzie w klasztorze Paulinów pochowano po śmierci Ludwika Pocieja. Sprowadzenie zakonników do miasteczka stanowi jedną z nielicznych jasnych kart z żywota bohatera. Według legendy miało związek z zamachem, który zorganizował na niego hetman Kazimierz Jan Sapieha. Ludwik Pociej uniknął śmierci i schronił się w warszawskim konwencie wspomnianych zakonników. Ich reguła spodobała mu się tak bardzo, że postanowił sprowadzić ich do Włodawy. ©℗

eprasa.pl 4bfed2fe01

Rozmowy o przyszłości polskiej gospodarki

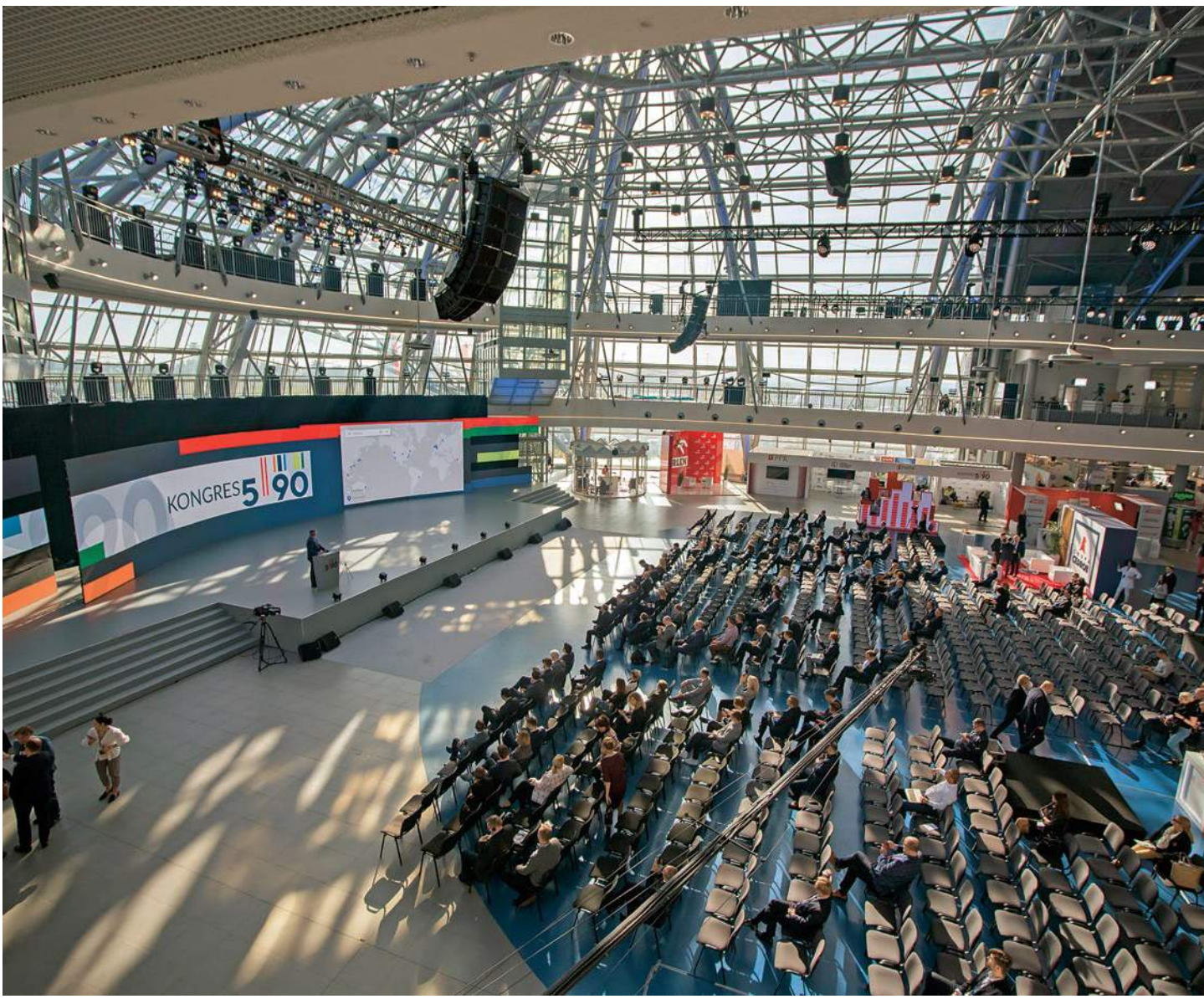

PARTNERZY DODATKU

ORLEN

TOTALIZATOR SPORTOWY

KGHM POLSKA MIEDŹ

95 lat BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

NASK SA secure and safe data

eprasa.pl 4bfed2fe01

Cyfrowa rewolucja

Polska, podobnie jak cały świat, dynamicznie rozwija infrastrukturę cyfrową. Nowoczesna technologia już dziś jest nieodzowną częścią naszego życia. Co dalej?

Technologie umilają nam życie, niektórzy mówią nawet, że uratują świat, choć jeszcze inni twierdzą, że to właśnie one te świat zniszczą. Jak jest naprawdę? Jakie projekty są szczególnie istotne dla Polski? O stojących przed nami szansach, ale i zagrożeniach rozmawiali uczestnicy debaty: Cyfryzacja w służbie zrównoważonego rozwoju, podczas Kongresu 590. W dyskusji spotkali się: minister cyfryzacji Marek Zagórski, zastępca dyrektora NASK ds. projektów administracyjnych i edukacyjnych Bartłomiej Klinger, p.o. prezes Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej Janusz Janiszewski, dyrektor Instytutu Łączności Jerzy Żurek i prezes zarządu ORLEN Paliwa Łukasz Hołubowski.

DOKĄD ZMIERZAMY

Dynamiczny rozwój sieci 5G, coraz doskonalsze rozwiązania w pracach nad sztuczną inteligencją. Podstawowe pytanie brzmi: Co czeka nas w przyszłości? – Kierunek rozwoju technologii możemy przewidzieć na podstawie widocznych dziś trendów. Przyszłość? Moim zdaniem możliwie najszybsza wymiana danych – przekonuje Bartłomiej Klinger z NASK. 5G to będzie zupełnie nowa rzeczywistość. Strumień informacji, który przepuści dane niemal w czasie rzeczywistym. Z rozwojem tej sieci wiążą się także inne aspekty rozwoju technologii, np. pojawienie się na naszych drogach pojazdów autonomicznych, dla których szybka sieć jest czynnikiem absolutnie niezbędnym. – Szybka wymiana danych, znacznie szybsza niż do tej pory, odkryje przed nami nowe możliwości, nowe obszary rozwoju – przewiduje Bartłomiej Klinger. Co dalej? Śmiały rozwój sztucznej inteligencji i dalsza automatyzacja procesów. – Rozwiązania, które uwolnią ludzkie ręce od rzeczy szablonowych

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. MATERIAŁY ORGANIZATORA

i machinalnych – tłumaczy przedstawiciel NASK.

MONOPOL INNOWACJI

A zagrożenia? Jednym z nich może być np. pozycja monopolistów w dziedzinie innowacji, którą na światowych rynkach zdobywają informatyczne giganty, np. Google. – Każda epoka ma swoje monopole i specyficzne problemy z nimi związane. Nie wpadajmy w panikę, że kilka monopoli nas zdominuje – uspokaja minister Zagórski. Przykład? Sieci telefonii komórkowej i kwestia przenoszenia numeru. Kiedyś było to niemożliwe. Dziś to już nie problem. – W wielu obszarach dochodzimy wreszcie do momentu, kiedy monopolista zgadza się na ingerencje, a państwo okazuje się skuteczne – dowodził Zagórski. Podobnie można usankcjonować działanie portali społecznościowych. – Myślę, że należy doprowadzić do uznania użytkowników mediów społecznościowych za konsumentów. To będzie regulować dużą część spornych dziś kwestii, np. tę dotyczącą zgromadzonych na koncie danych – proponuje minister Zagórski.

POLSKA CYFROWA

Świat inwestuje w technologię cyfrową. Jak na tym tle wygląda Polska? – Już dziś jesteśmy np. liderem w zarządzaniu cyfrowym przestrzenią powietrzną – zdradza Janusz Janiszewski. A na ziemi? Dzięki wprowadzeniu cyfrowych rozwiązań do administracji coraz więcej spraw możemy załatwić, nie wychodząc z domu. Według ministra Zagórskiego kluczowe jest upowszechnienie się rozwiązań cyfrowych w świadomości jak największej części społeczeństwa. Bartłomiej Klinger z NASK wskazuje zaś na szczególną rolę, którą w Polsce odgrywa OSE, czyli Ogólnopolska Sieć Edukacyjna, na dużą skalę wprowadzająca do szkół pracownie komputerowe i Internet. – Do końca przyszłego roku chcemy podłączenia wszystkich szkół do szerokopasmowego Internetu – deklaruje Klinger i dodaje, że tam, gdzie dotarła już OSE, widać wielkie zmiany. Nad rozwojem technologii pracuje też sektor prywatny. Na zakończenie debaty zaprezentowano start-upy m.in. z dziedziny ekologii, bezpieczeństwa i komunikacji. Za najciekawszy uznano MIGAM.PL, usługę wideotłumacza języka migowego. Marek Zagórski przekonywał, że projekt jest ważny, bo pozwala na przełamywanie barier, a to w rozwoju nowoczesnych technologii jest szczególnie istotne.

Olga Kowalska

eprasa.pl 4bfed2fe01

Świat pokochał pojazdy elektryczne, ale odnawialne źródła energii mają różne oblicza. Na arenę zmagań o tytuł paliwowego bohatera wkracza też wodór. To może być prawdziwa rewolucja

Wodór paliwem przyszłości

Samochody zasilane wodorem? Czemu nie! Jak skutecznie wykorzystać technologie wodorowe w Polsce? Odpowiedzi szukali uczestnicy debaty: „Wodór – polska energia przyszłości", z udziałem m.in. Tomoho Umedy z Komitetu ds. Technologii Wodorowych Krajowej Izby Gospodarczej i Józefa Węgreckiego, członka zarządu ds. operacyjnych PKN ORLEN. W rozmowie uczestniczyli także: Marcin Roszkowski, prezes zarządu Instytutu Jagiellońskiego, Aleksander Popończyk z Polskiego Towarzystwa Gospodarczego oraz Jarosław Seńko z Politechniki Warszawskiej.

DLACZEGO POWINNIŚMY ZAJMOWAĆ SIĘ WODOREM?

– Pytanie brzmi raczej, dlaczego się nim nie zajmujemy! – przekonuje Tomoho Umeda. Jeszcze niedawno rozmowy o wodorze dotyczyły samej technologii, dziś to już rozmowy o wykorzystaniu go jako elementu długotrwałej strategii rozwoju firm. Technologia wodorowa jest kluczowa dla rozwoju niektórych państw azjatyckich, np. Japonii. A Polska? Jak tłumaczy członek Komitetu ds. Technologii Wodorowych, Polska jest dziś jednym z największych producentów wodoru, ale jeśli chodzi o jego wykorzystanie, to wciąż pozostaje białą plamą na mapie Europy. – O wodorze

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. MATERIAŁY ORGANIZATORA

powinniśmy dyskutować dziś równie poważnie jak o atomie – przekonuje Umeda. No dobrze, ale jak to działa? Skupmy się na samochodach. Czy to skomplikowane? Niekoniecznie. Wodór stosuje się jako paliwo, które ulega spalaniu w tradycyjnej komorze silnika. Można wykorzystać go także w ogniwach paliwowych. Wtedy, wytwarzana przez niego energia napędza silnik elektryczny. Czy wodór wkrótce pojawi się na stacjach benzynowych?

TANKOWANIE WODORU

Okazuje się, że o takim rozwiązaniu myśli PKN ORLEN. – Analizujemy i planujemy budowę stacji wodorowych również w Polsce – zaznacza Józef Węgrecki, członek zarządu ds. operacyjnych PKN ORLEN. W najbliższej przyszłości stacje mogą powstać w dużych miastach. Nie muszą być rozsiane gęsto. Na jednym „baku" wodoru można przejechać 300 km. – Widzimy potencjał do rozwoju tej technologii. W przyszłości chcielibyśmy produkować wodór i na szeroką skalę go sprzedawać – deklaruje Węgrecki. Już teraz PKN ORLEN testuje stanowiska wodorowe na swoich niemieckich stacjach. Niedługo powstaną one także na rynku czeskim. – Przyglądamy się aktualnym trendom, tak aby móc na nie skutecznie odpowiadać. Paliwa tradycyjne będą traciły na znaczeniu, dlatego szukamy różnych rozwiązań, aby odpowiadać na potrzeby naszych klientów – podkreśla.

OCEANY PEŁNE AKUMULATORÓW

Rozwiązania wodorowe chwali także Jarosław Seńko z Politechniki Warszawskiej. – Dzięki ogniwom paliwowym będzie można zmniejszyć liczbę akumulatorów w pojazdach. Pojazdy elektryczne są ciekawe, ale jak tak dalej pójdzie, za kilkanaście lat nasze dzieci będą miały oceany pełne akumulatorów – tłumaczy. Dodaje, że wodór stosunkowo prosto można pozyskać, łatwe też jest jego magazynowanie. Marcin Roszkowski z Instytutu Jagiellońskiego deklaruje, że potrzebę pracy nad sposobami magazynowania wodoru dostrzegł już dwa lata temu. Konkurs na technologię, która pozwoli na zmagazynowanie jak największej ilości wodoru, ogłoszono w 2017 r. Dzisiaj dysponujemy już trzema różnymi technologiami, zaproponowanymi przez kilku różnych wykonawców.

CZARNA LEGENDA

Krótko? LZ 129 Hindenburg. Największy w historii niemiecki sterowiec, wypełniony wodorem… spłonął 6 maja 1937 r. Abstrahując od przyczyn, trzeba przyznać, że katastrofa długo pozostanie w świadomości świata. – Wodór ma złą famę. Panuje nieusprawiedliwione przekonanie, że jest on niebezpieczny – przyznaje Marcin Roszkowski. – My staramy się przekonywać, że można go magazynować bezpiecznie – dodaje. Co zrobić, by technologia wodorowa upowszechniła się np. w Polsce? – Trzeba pokazać, że jest bezpieczna i że wodór może być wykorzystywany jako paliwo – przekonuje Roszkowski. Przeciwnego zdania jest Tomoho Umeda. – To, że technologia jest bezpieczna, pokazano już dawno – przekonuje. Według niego wszystko jest kwestią wiedzy o tej metodzie, także o tym, że jest ona subsydiowana przez KE. Według Józefa Węgreckiego z PKN ORLEN dobrym krokiem na drodze upowszechniania wodoru w Polsce byłoby przekonanie włodarzy miast do zastosowania go w komunikacji miejskiej. – Najlepiej zacząć od transportu publicznego – twierdzi.

WŁOCŁAWEK PRZETRZE SZLAKI

Według Tomoho Umedy czeka nas rozwiązanie jeszcze jednej kwestii. Tym razem prawnej. – Wodór jako paliwo nie występuje w ustawodawstwie polskim. Jeśli chcemy używać go w tej roli, to czeka nas ogromna praca regulacyjna. To wszystkie kwestie homologacji, certyfikacji. Opisania tego, czym wodór może być w naszej gospodarce – tłumaczy. – To, że tego jeszcze nie zrobiliśmy, odsuwa w czasie nasze włączenie się w strumień rozwoju technologii wodorowych na świecie. Józef Węgrecki z PKN ORLEN dodaje: – Ja od początku podkreślam, że sprzedaż wodoru ma przyszłość. Jeśli chcemy odchodzić od paliw kopalnych, to wodór będzie dla nas jedną z opcji rozwoju. Podjęliśmy już decyzję o budowie instalacji do oczyszczania wodoru, który zostanie wykorzystany do napędu aut czy autobusów elektrycznych. Powstanie ona w naszym zakładzie w Trzebini i planujemy, że produkcja czystego paliwa wodorowego nastąpi w 2021 r. – podkreśla.

ZAKOCHAĆ SIĘ W AMONIAKU

Na koniec pytanie, które właściwie powinniśmy zadać już na początku. Pytanie szczególnej wagi i bardzo proste. Jeśli zatankujemy wodór, to ile będzie kosztować nas przejechanie 100 km? – Trzy dolary, ale w UE szacuje się, że ten koszt można z czasem, w drodze dalszego rozwoju technologii, zmniejszyć nawet do 50 centów – mówi Tomoho Umeda z Komitetu ds. Technologii Wodorowych. Aleksander Popończyk z PTG przekonuje, że najtańszą metodą produkcji wodoru jest wytwarzanie go z amoniaku. – Koncentrujemy się na samochodach, ale czym palimy w piecach? Czemu nie zasilać ich wodorem! Zrobiliśmy symulację. Cena instalacji takiego pieca to mogłoby być już 40–50 tys. zł. Czemu nie idziemy w tym kierunku? – pyta. Trzeba przyznać, że zarówno w przypadku samochodów, jak i pieców bilans kosztów zastosowania wodoru wygląda zachęcająco.

Olga Kowalska

eprasa.pl 4bfed2fe01

FOT. MATERIAŁY ORGANIZATORA

Liderzy współczesności

Kiedyś przywództwo wynikało z siły mięśni. Dzisiaj oznacza dogadywanie się z ludźmi – twierdził Mahatma Gandhi. Odpowiedzi na pytanie, czym jest nowoczesne przywództwo, szukali uczestnicy zorganizowanego przez KGHM Polska Miedź S.A. panelu: „W poszukiwaniu współczesnych liderów". Dyskusja miała miejsce podczas 4. edycji Kongresu 590 w podrzeszowskiej Jesionce

W debacie udział wzięli: Jerzy Kwieciński, minister finansów, inwestycji i rozwoju, Marcin Chludziński, prezes zarządu, KGHM Polska Miedź, Patrycja Klarecka, członek zarządu PKN ORLEN, a także goście specjalni KGHM Polska Miedź S.A.: blisko związany z gabinetem prezydenta Donalda Trumpa gen. U.S. Army John F. Kelly, amerykański kongresmen Tom Reed, a także wybitny analityk, współzałożyciel Fundstrat Global Advisors Thomas J. Lee.

NA FALI ZMIAN

Cecha immanentna dzisiejszego świata? Niespotykane tempo zachodzących w nim zmian. Brexit, wojna handlowa USA z Chinami, wciąż zmieniające się czynniki makroekonomiczne i geopolityczne. – Pracownikom i akcjonariuszom zawsze powtarzam, że tylko zmienność jest niezmienna. Wszystko zależy od warunków geopolitycznych. Zwłaszcza w naszej branży – przekonywał Marcin Chludziński z KGHM Polska Miedź S.A. Co robi lider? Sprawnie identyfikuje czynniki, na które ma wpływ i te, które są od niego niezależne. Te pierwsze wykorzystuje do budowania sukcesu. – Lider dostrzega szanse, a zachodzące zmiany zaprzęga do pracy na własną korzyść – przekonywał Chludziński. – Analizujemy warianty, rozważamy alternatywy. Jeśli zamyka się jeden rynek, to szukamy pola na innym – tłumaczył, dodając jednocześnie, że elastyczność, podstawa sukcesu w każdej branży, to narodowa cecha Polaków, która pomaga im w funkcjonowaniu na światowych rynkach. – Polska gospodarka jest coraz bardzie globalna. W USA doskonale to widzimy – przyznawał gen. John Kelly. O wykorzystaniu potencjału Polaków mówił także Thomas Lee z Fundstrat Global Advisors. – Bardzo wielu Polaków żyje dziś poza granicami kraju. To rewolucja, która się dokonała – tłumaczył, dodając, że ludzie ci to potencjał, który umiejętnie wykorzystany może być ważnym składnikiem rozwoju gospodarczego Polski.

TECHNOLOGIA W SŁUŻBIE CZŁOWIEKA

Kolejna cecha współczesnego świata? Dynamiczny rozwój technologii – sojusznika sukcesu. – To kwestia obserwacji trendów – tłumaczyła Patrycja Klarecka z PKN ORLEN. Przykład? Wegetariańskie hot dogi wprowadzone na stacjach firmy. Doskonale przyjęty przez klientów pomysł, efekt analizy zapytań w wyszukiwarkach internetowych. – Nowe technologie, skrupulatna analiza big data, drony, które pokazujemy na Kongresie, automatyzacja dla hutnictwa czy choćby setki światłowodów w naszych kopalniach. KGHM w pełni korzysta z rewolucji przemysłowej – tłumaczył Marcin Chludziński, dając za przykład testowany przez jego firmę, unikatowy w skali światowej, poruszający się pod ziemią dron. – Tam, gdzie działają wysokie temperatury, coraz częściej staramy się wykorzystywać maszyny zamiast ludzi. To kwestia wydajności, ale i bezpieczeństwa – tłumaczył, dodając, że wykorzystanie nowoczesnych technologii musi przekładać się nie tylko na zyski. Na ten aspekt zwracał także uwagę kongresmen Tom Reed, tłumacząc, jak ważne jest, by zrozumieć, że beneficjentami rewolucji technologicznej muszą być zawsze zwykli ludzie.

Lider nie może zapominać także o tym, że pracuje dla społeczeństwa. – Polska rozwija się dziś trzy, cztery razy szybciej niż strefa euro. Świat nam zazdrości, także tego, że pożytki płynące z tego wzrostu idą do całego społeczeństwa – przekonywał minister Jerzy Kwieciński. Lider stoi za sukcesem grupy, ale sukces osiąga dzięki niej i dla niej.

Olga Kowalska

eprasa.pl 4bfed2fe01

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com

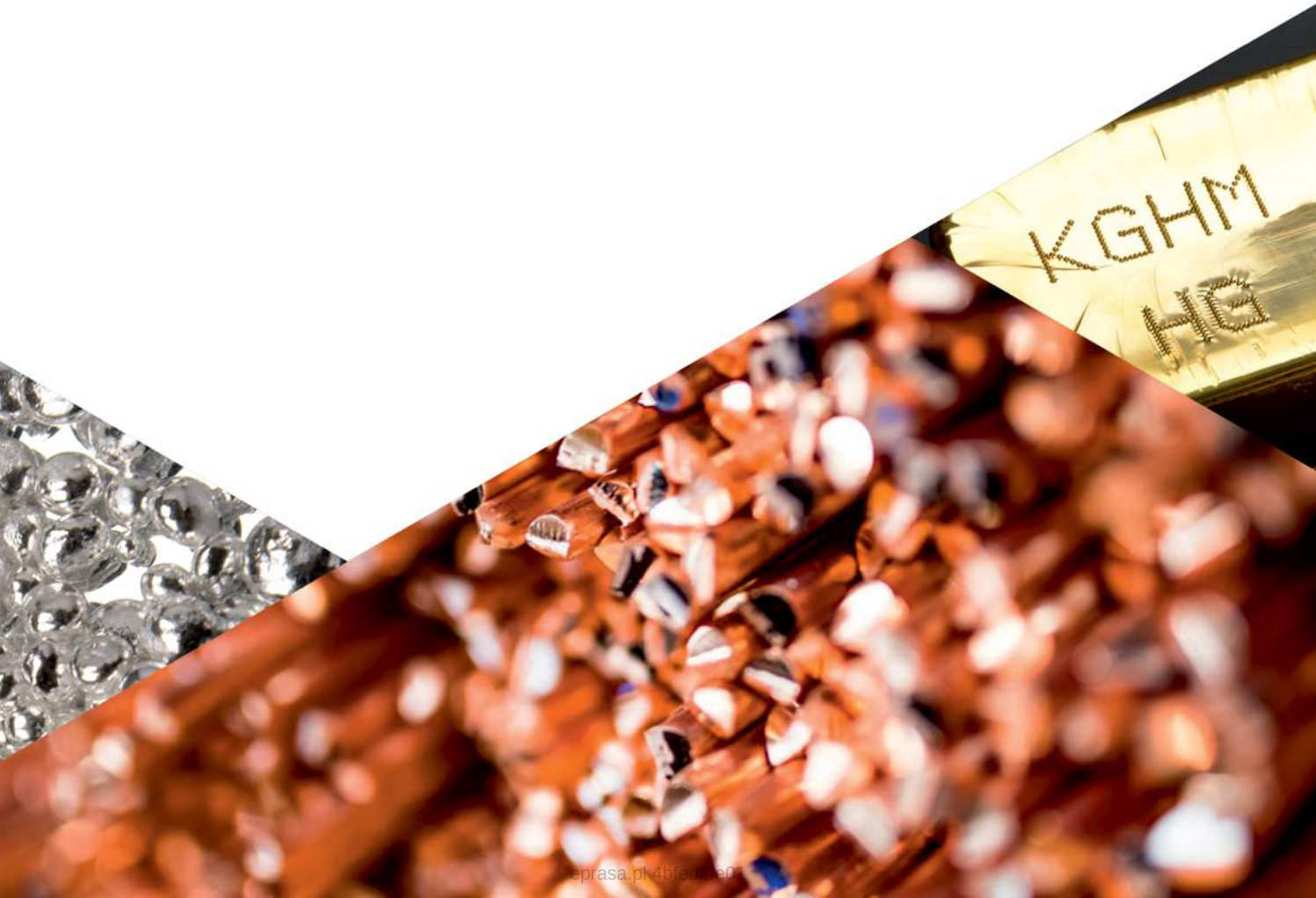

eprasa.pl/4bfedzie01

FOT. MATERIAŁY ORGANIZATORA

Czas na polski gaming

O tym, jakie perspektywy rozwoju ma branża gamingowa w Polsce i na świecie, rozmawiano w trakcie debaty poświęconej temu sektorowi branży rozrywkowej na Kongresie 590 w Rzeszowie

Wartość rynku gier losowych na świecie jest na poziomie 390 mld euro, a do 2024 r. będzie to już 460 mld euro. Największe skoki notuje część związana z on-linem: to 8–9 proc. rocznie, przy wzroście całego rynku o 3–4 proc. Idąc dalej: mamy branżę gier wideo, o wartości 135–170 mld dol. I esport z szacunkami na poziomie 870 mln dol. To tu są największe wzrosty, nawet 30 proc. rocznie – powiedział Olgierd Cieślik, prezes zarządu Totalizatora Sportowego, rozpoczynając debatę „Branża gamingowa w Polsce – znaczenie dla świata i perspektywy rozwoju". Jej uczestnikami były osoby próbujące połączyć i znaleźć wspólne obszary światów gier losowych i zręcznościowych.

Bo gaming – rozumiany zarówno jako gry losowe, jak i zręcznościowe – jest dziś najszybciej rozwijającym się sektorem branży rozrywkowej, a sama tylko sprzedaż gier wideo przynosi prawie trzy razy więcej przychodów niż globalny przemysł filmowy, napędzany hitami prosto z hollywoodzkich wytwórni. W Polsce jesteśmy już czwartym rynkiem zbytu sprzętu gamingowego w Europie, chociaż mamy tak mocno konsumencko rozwiniętych sąsiadów, jak np. Niemcy.

PRZYSZŁOŚĆ GAMINGU

– Jako przedstawiciel firmy, która dostarcza oprogramowanie dla loterii na całym świecie, nie mam wątpliwości, że rynek gamingu jest dojrzały. Portfolio Totalizatora Sportowego jest zapełnione, ze szczególnym uwzględnieniem zdrapek. To produkt, który Totalizator Sportowy świetnie prowadzi, a wzrosty z ostatnich kilku lat są na światowym poziomie – mówił Wojciech Włodarczyk, prezes IGT Poland, która ma ponad 80 klientów i świadczy usługi programistyczne dla loterii na całym świecie, w tym dla Totalizatora Sportowego.

W trakcie debaty dyskutowano też o drodze, którą w ostatnich latach przeszedł rynek gier wideo w Polsce. Zdaniem Mateusza Wcześniaka, prezesa Movie Games, producenta gier, branża gamingowa miała w swojej historii kilka momentów przełomowych, jak wyjście do świata z CD Projektem i „Wiedźminem".

– To pokazało, że Polacy mogą mieć swojego jednorożca, który powstaje w ramach działu IT – przekonywał Wcześniak. Inny krok milowy dla branży to według niego obniżenie progu wstępu. – Kiedyś, gdy się chciało robić gry, trzeba było mieć środki na pozyskanie silnika do gry albo środki na zakup lub jego utworzenie. Teraz mam dostęp do niego na wyciągnięcie ręki, w zasadzie bezkosztowo. Przełomem była też rewolucja cyfrowa w dystrybucji gier komputerowych – dodał prezes Movie Games.

BEZPIECZNA ROZRYWKA

Nie sposób mówić o gamingu bez esportu, który rośnie w siłę wyjątkowo dynamicznie. – Esport w Polsce rozwijał się dwuetapowo. Za pierwszym razem były to inicjatywy oddolne. Prawdziwy boom zaczął się w 2013 r. YouTube już wtedy mocno zarabiał, pojawiają się organizacje sportowe i zaczyna wszystko pędzić – wzrosty po kilkaset procent w Polsce. Aż przychodzi przełom lat 2018 i 2019, gdy Totalizator Sportowy wchodzi do Internetu ze swoimi produktami i pierwsze, co robi, to rozwija esport, szukając swojego konsumenta. Więc jeżeli tak duży gracz na rynku docenił polski esport, to trzeba zacząć go poważnie traktować – opowiadał Kamil Górecki, prezes agencji gamingowej Fantasyexpo.

Uczestnicy debaty poruszyli też wątek uzależnień młodocianych od gier zarówno losowych, jak i zręcznościowych, które są ciemną stroną gamingu. Jak zapewnił prezes Cieślik, Totalizator Sportowy posiada mechanizmy do odpowiedzialnego grania. Gdyby je wdrożyć w całej branży tradycyjnego gamingu, mogłoby to znacznie pomóc w ograniczeniu ryzyka uzależnienia się od gier.

– W grach, gdzie pojawia się element finansowy i losowy, wprowadzamy wymóg ukończenia 18 lat. Są też ograniczenia związane z wysokością zaangażowanych środków w daną rozrywkę. To świetnie działa – mówił Cieślik. Prezes Totalizatora Sportowego podsumował też debatę, mówiąc, że w najbliższych latach branża gamingowa będzie się rozwijać, a w Polsce, dzięki nowym technologiom, będzie rósł nie tylko gaming internetowy, lecz także stacjonarny, przez co rynek będzie jeszcze ciekawszy. A Kamil Górecki dodał: – Gaming należy rozwijać w sposób odpowiedzialny i to dzisiejsze spotkanie jest tego przykładem. Merytoryczna rozmowa, ciekawe pomysły – oby tak było zawsze i w każdym kraju.

Marta Szuma

eprasa.pl 4bfed2fe01

Rozwijamy się dla Ciebie!

Każda złotówka, którą przeznaczasz na gry liczbowe LOTTO, **to 19 groszy dla sportu i kultury**

TOTALIZATOR SPORTOWY

12 PONAD MLD

Przekazane na Fundusz Rozwoju Kultury Fizycznej
od 1994 roku

#WygrywamyRazem

#GramydlaSportu | #GramydlaKultury

2 PONAD MLD

Przekazane na Fundusz Promocji Kultury
od 2003 roku

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

LOTTO · Lotto · EURO JACKPOT · Ekstra Pensja · Multi Multi · Mini Lotto · KASKADA · Super Szansa · Zdrapki · Keno

eprasa.pl 4bfed2fe01

Nowy początek i wielka szansa

Projekt Trójmorza to jedna z najważniejszych inicjatyw społeczno-gospodarczych ostatnich lat. O szansach, ale i o stojących przed nim wyzwaniach rozmawiali podczas Kongresu 590 uczestnicy debaty „Współpraca w ramach projektu Trójmorza – rola Polski: lider i partner"

W dyskusji udział wzięli: minister finansów, inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński, prezes zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego Beata Daszyńska-Muzyczka, wiceprezes Krajowej Izby Gospodarczej Wojciech Konecki i Izabela Olszewska, członek zarządu Giełdy Papierów Wartościowych.

NIEBAGATELNA ROLA POLSKI

Grupę krajów Inicjatywy Trójmorza, w skład której wchodzi 12 państw, powołano staraniem prezydentów Polski i Chorwacji w 2015 r. Jej zadanie to koordynowanie współpracy politycznej i wspieranie rozwoju krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Minister Jerzy Kwieciński przekonywał, że Inicjatywa Trójmorza odgrywa wielką rolę jako czynnik integrujący kraje naszego regionu. Jest też ważna dla Polski, postrzeganej jako lidera grupy. – Polska to dziś kraj, z którym trzeba się liczyć. To ona koordynuje działania grupy i wychodzi z inicjatywą – tłumaczył. Drugi szczyt Inicjatywy Trójmorza odbył się dwa lata temu w Warszawie, a jego gościem specjalnym był prezydent USA Donald Trump. – Byłem na początku lipca w USA. Proszę mi wierzyć, wszyscy chcieli rozmawiać przede wszystkim o Trójmorzu. W USA zainteresowanie jest olbrzymie. Oni rozumieją, jaki ten projekt będzie miał wpływ na rozwój gospodarek naszego regionu – stwierdził.

PRZEŁOMOWE DECYZJE

W 2018 r., podczas szczytu Inicjatywy Trójmorza w Bukareszcie, banki rozwoju podpisały list intencyjny o powołaniu Funduszu Inwestycyjnego Inicjatywy Trójmorza (Funduszu Trójmorza). W maju tego roku polski bank rozwoju BGK i EximBank z Rumunii podpisały akt założycielski Funduszu, który ma finansować projekty tworzące infra-

eprasa.pl 4bfed2fe01

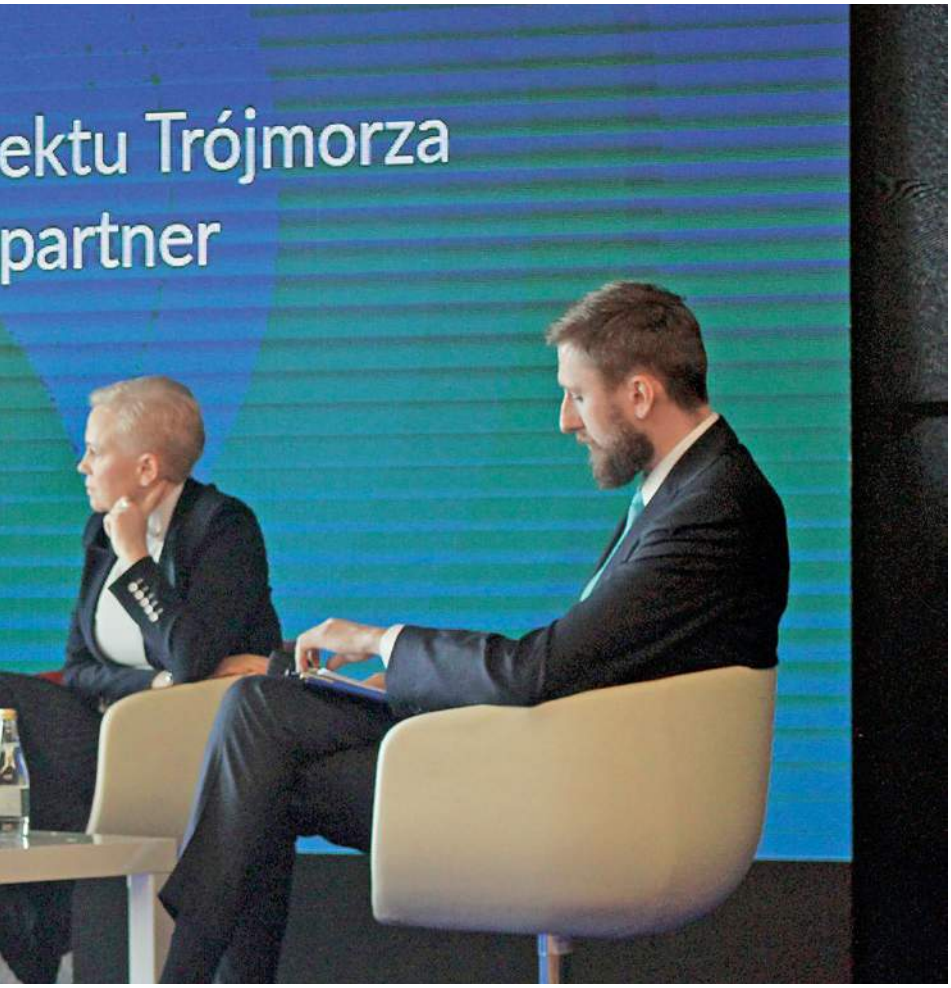

FOT. MATERIAŁY ORGANIZATORA

strukturę transportową, energetyczną i cyfrową w regionie. Rolę tego przedsięwzięcia szczególnie podkreślał minister Kwieciński. – Inne kraje oczekują od nas proaktywnego działania i ono wyszło od nas, z Polski, od BGK. To dobrze. Nie wystarczy powiedzieć, że nam się chce, trzeba to pokazać – przekonywał.

FUNDUSZ TRÓJMORZA

– Kiedy ktoś stoi w miejscu, to tak jakby się cofał – przekonywała prezes zarządu BGK, Beata Daszyńska-Muzyczka, dodając, że właśnie dlatego decyzja o powołaniu Funduszu Trójmorza jest sprawą absolutnie kluczową. – Zastanawialiśmy się, co możemy zrobić jako instytucja finansowa i państwowy bank rozwoju, by wesprzeć gospodarczy wymiar inicjatywy. Stąd decyzja o powołaniu Funduszu Trójmorza, który ma działać na zasadach komercyjnych, a jego rolą jest mobilizowanie kapitału na inwestycje infrastrukturalne w regionie. Fundusz Trójmorza ma być uzupełnieniem funduszy europejskich i środków państwowych – tłumaczyła Daszyńska-Muzyczka. Prezes BGK podkreślała także, że tak szybkie uruchomienie Funduszu Trójmorza to efekt sprawnej współpracy banków rozwoju z krajów regionu i przekonania o wspólnych celach. – Spośród państw Inicjatywy Trójmorza tylko Austria powiedziała, że nie przystąpi do Funduszu, bo nie ma aż takich potrzeb. Wszystkie inne państwa regularnie się spotykają, wszystkie są zaangażowane. Lata komunizmu to dla naszych krajów doświadczenie niszczenia gospodarki i braku możliwości rozwoju. Jeśli teraz sami nie będziemy o siebie walczyć, jeśli nie będziemy starać się o środki na realizację inwestycji, nikt o nas nie zawalczy – tłumaczyła Daszyńska-Muzyczka. Współpraca gospodarcza krajów Trójmorza leży w interesie nie tylko poszczególnych krajów. – Bez potężnych inwestycji w naszą część Europy możemy zapomnieć o silnej UE – przekonywała szefowa BGK, podczas Kongresu 590 w podrzeszowskiej Jasionce. BGK, jako państwowy bank rozwoju, od 95 lat dba o rozwój społeczny i gospodarczy Polski.

KOSZTY

Uczestnicy debaty zgodzili się co do tego, że mimo rosnących potrzeb z czasem wsparcie UE dla naszego regionu będzie coraz mniejsze. Z kolei koszty, które musimy ponieść, by nadrobić dzielący nas od krajów Europy Zachodniej dystans, są ogromne. W jaki sposób Fundusz Trójmorza może przyczynić się do zwiększenia finansowania kluczowych inwestycji infrastrukturalnych? – Przewidywana wielkość Funduszu to 3–5 mld euro – deklarowała Daszyńska-Muzyczka. Zbyt mało? Prezes BGK tłumaczy, że to jedynie podstawa. Wiele projektów może być realizowanych w formule PPP, dzięki połączeniu środków pochodzących z funduszy unijnych z kapitałem podmiotów prywatnych. Jak przekonać inwestorów? – Dziś kraje Trójmorza tworzą mniej więcej 11 proc. PKB Unii Europejskiej. Do 2030 r. to może być skok do 13 proc. Oczywiście przy konsekwentnym realizowaniu inwestycji – przekonuje prezes BGK. Zainteresowani inwestowaniem w Fundusz są także inwestorzy w Australii, Japonii, Kanadzie, Holandii czy Izraelu. – Gdyby nie było zainteresowania, rozmowy dawno byłyby skończone, a one trwają, i to w wielu miejscach, co pokazuje, że rejon Trójmorza ma olbrzymi potencjał – przekonywała Daszyńska-Muzyczka.

BUDOWANIE EFEKTU SYNERGII

Inicjatywą Trójmorza interesuje się także giełda. – Jesteśmy bardzo zainteresowani, by wpisać się w Inicjatywę Trójmorza w sensie kapitałowym i towarowym – przekonuje Izabela Olszewska, członek zarządu Giełdy Papierów Wartościowych. Planowane jest stworzenie wspólnego indeksu giełdowego Trójmorza. Giełdy regionu podpisały list intencyjny w tej sprawie we wrześniu 2019 r. – Giełda podejmuje się roli koordynatora. Chodzi o to, by nie konkurować, lecz wspólnie budować produkty skupiające region w jedną całość, wydobywając w ten sposób efekt synergii – tłumaczyła Izabela Olszewska. Szanse gospodarcze płynące ze współpracy państw Trójmorza dostrzega także wiceprezes KIG, Wojciech Konecki. – Ważne, żebyśmy nie zagadali się na śmierć, ważne też, żeby nie utopić dobrych projektów w biurokracji – przekonywał.

Olga Kowalska

eprasa.pl 4bfed2fe01

Hotel Holiday Inn Express Rzeszów Airport już otwarty!

Polski Holding Hotelowy otworzył właśnie pierwszy hotel położony w bezpośrednim sąsiedztwie portu lotniczego Rzeszów-Jasionka: Holiday Inn Express Rzeszów Airport. Hotel, który oferuje 120 pokoi najnowszej, czwartej generacji marki, w standardzie trzech gwiazdek stanowił doskonałą bazę noclegową dla uczestników Kongresu 590

W hotelu znajdują się także restauracja i dwie sale konferencyjne. Ekonomiczna marka Holiday Inn Express należy do portfolio IHG i jest skierowana przede wszystkim do gościa biznesowego.

– To otwarcie jest kolejnym osiągnięciem Polskiego Holdingu Hotelowego: wszystkie nasze działania przebiegały zgodnie z harmonogramem i projekt został zrealizowany w ciągu 14 miesięcy. Holiday Inn Express Rzeszów Airport to hotel najnowszej, czwartej generacji i jednocześnie pierwszy tego typu obiekt w naszym kraju. Działamy jako lider, wprowadzając innowacje na polski rynek. Dzięki naszym konsekwentnym działaniom pokazujemy, że realizujemy plany i osiągamy wysokie wyniki – mówił Gheorghe Marian Cristescu, prezes PHH, podczas zorganizowanej 1 października konferencji prasowej.

Niecałe dwa lata temu, podczas Kongresu 590, w obecności premiera Mateusza Morawieckiego, Polski Holding Hotelowy podpisał umowę franczyzową z siecią IHG na budowę hotelu przy lotnisku Rzeszów-Jasionka. – Nie ukrywam zadowolenia, że taki nowoczesny obiekt powstał właśnie na Podkarpaciu, co w konsekwencji przyczyni się do wsparcia rozwoju naszego regionu – mówił Władysław Ortyl, marszałek województwa podkarpackiego, obecny na konferencji otwarcia hotelu.

– Holiday Inn Express otworzył się w idealnym czasie dla rozwoju portu lotniczego w Rzeszowie. Z każdym rokiem lotnisko obsługuje coraz większą liczbę pasażerów oraz otwiera coraz więcej międzynarodowych połączeń. Rozwój lotniska wiąże się z dodatkowym zapotrzebowaniem na zaplecze noclegowe zarówno dla podróżnych, jak i dla załóg czy pracowników obsługi technicznej. Jestem przekonany, że już wkrótce ten hotel stanie się dla nich niezbędnym elementem podróży – powiedział Adam Hamryszczak, prezes zarządu Portu Lotniczego Rzeszów-Jasionka. Hotel ma służyć nie tylko pasażerom portu, lecz także klientom pobliskiej G2A Areny oraz licznym firmom ulokowanym w sąsiedztwie podrzeszowskiego lotniska. Najlepszym potwierdzeniem zapotrzebowania na hotel w tej lokalizacji był Kongres 590, który odbył się 7–8 października br. Holiday Inn Express Rzeszów Airport miał pełne obłożenie i stanowił doskonałą bazę noclegową dla uczestników Kongresu.

Premier Mateusz Morawiecki i dyrektor hotelu Wojciech Dobrowolski

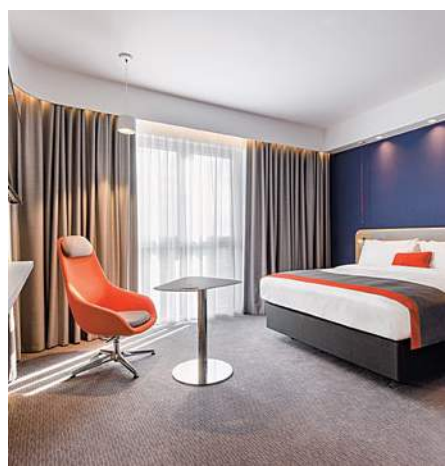

Prezes Polskiego Holdingu Hotelowego dodaje również, że jednym z priorytetów zarządzanej przez niego spółki jest inwestowanie w kapitał polski, także pod kątem kadry menedżerskiej. – Cieszymy się, że zatrudniamy menedżerów i pracowników z regionu Podkarpacia, którzy są bardzo dobrze przygotowani do zawodu – dodał prezes PHH.

Holiday Inn Express jest marką ekonomiczną stworzoną przez sieć IHG w odpowiedzi na potrzeby ludzi biznesu wychowanych w świecie nowych technologii. Hotel dysponuje nowoczesnymi rozwiązaniami technologicznymi oraz przestrzenią, która pozwoli na integrację gości. Strefy wspólne zaprojektowano zgodnie z wytycznymi ostatniej generacji sieci hotelowej Holiday Inn Express. 120-pokojowy obiekt jest jednym z najnowocześniejszych hoteli tej klasy w Europie. Architekci zestawili materiałowo i kolorystycznie całość stref odpoczynku, konsumpcji i pracy konferencyjnej. Na piętrach i korytarzach konsekwentnie użyto tej samej kolorystyki, stosując też na ścianach miękkie mozaiki tłumiące dźwięki. Wnętrza pokoi są stonowane i spokojne. A elewacja budynku w 30 proc. została wykonana ze szkła.

eprasa.pl 4bfed2fe01

ZAPALASZ SILNIK GASISZ POŻAR

#DobryKierowca

Kupując na stacjach ORLEN, wspierasz
ORLEN DLA STRAŻAKÓW

Fundacja ORLEN, od blisko 20 lat, przekazuje środki na zakup sprzętu dla komend Państwowej Straży Pożarnej oraz jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej.

Dowiedz się więcej na:
www.dobrykierowca.orlen.pl

ORLEN

eprasa.pl 4bfed2fe01

ANETA ZAJĄC ZAPRASZA NA TAJSKĄ ZUPĘ

Kuchnia tajska jest jedną z oryginalniejszych, najbardziej zaskakujących i najlepszych kuchni świata. Ja ją uwielbiam za ogromną ilość mleczka kokosowego, imbiru, limonki, aromatycznych przypraw oraz bogatą paletę kolorów na talerzu. Wbrew pozorom dania nie wymagają dużej ilości czasu oraz pracy. Zapraszam na przepyszną, dosyć pikantną zupę z pieczarkami oraz krewetkami.

Składniki:

- 400 ml mleka kokosowego (najlepiej wybrać te tłuste, z największą ilością ekstraktu kokosowego)
- 30 dag krewetek lub mięsa kurzego
- 20 dag pieczarek
- świeża kolendra
- pasta tajska (do kupienia w polskich marketach lub kuchniach świata)

Przygotowanie:

Do garnka wlewamy 200 ml mleka kokosowego i 200 ml wody. Wrzucamy mięso lub krewetki i gotujemy ok. 15 min.

Następnie dodajemy ponownie 200 ml mleka kokosowego, pastę tajską oraz obrane i pokrojone pieczarki. Gotujemy pod przykryciem ok. 5 min.

Gotową zupę podajemy ze świeżą kolendrą. ©℗ ***oprac. raw***

Aneta Zając jest aktorką, prowadzi bloga m.in. z przepisami kulinarnymi: zajackicawkuchni.pl.

FOT. ARCHIWUM ANETY ZAJĄC

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Trudny klient

JOANNA BOJAŃCZYK

Poprosiłbym o kopytka zamiast kartofli... Zamiast frytek chciałbym kaszę, a zamiast surówki z kapusty – ogórka… No i bez papryki... A ciastko bez bitej śmietany... Ileż razy słyszałam takie rozmowy w restauracjach? Kelnerzy zdziwieni, ale cóż, klient – nasz pan, trzeba przymknąć oko na wybrzydzaczy, którzy do wszystkiego mają zastrzeżenia i zawsze mają swoje pomysły na jedzenie. Tutaj dosolą, tu dopieprzą, tu doleją wody. Lepiej by sobie ugotowali w domu.

Mam takiego w rodzinie i muszę przyznać, że kolacja poza domem jest zawsze wyzwaniem nie tylko dla obsługi lokalu (która być może jest przyzwyczajona do grymasów), lecz także dla osób wybrzydzaczowi towarzyszących. Jeśli bowiem ktoś nie je 80 proc. warzyw, ma konkretne i bardzo szczegółowe wytyczne co do konsystencji zup i obecności w nich śmietany, to naprawdę zasługuje na wywieszkę ze zdjęciem i napisem: „Tego klienta nie obsługujemy".

Niedawno uczestniczyłam w służbowej (poniekąd) kolacji w restauracji we Francji. Lokal nie był ani fastfoodowy, ani specjalnie ogwiazdkowany – po prostu miła regionalna knajpa, gdzie znają się na kuchni i szanują swoje zwyczaje. Zamawiając dania, jedna z pań poprosiła, żeby sery podać na początku. Każdy, kto choćby minimalnie zna kuchnię francuską albo nawet tylko o niej słyszał, wie, że sery we Francji jada się na deser, nie przed rozpoczęciem posiłku. No ale nic, my, Polacy, wiemy lepiej. Kelnerka jako osoba profesjonalna oczywiście grzecznie się zgodziła. Bo i cóż miała robić?

„Gdy we Włoszech po dwunastej zamawiasz cappuccino, to tak, jakbyś w nocnym klubie o drugiej w nocy poprosiła o owsiankę" – powiedział mi kiedyś pewien Włoch. Dla nich to szczyt kulinarnej grafomanii, obraza świętego espresso, które zezwala się pić przez cały dzień. Cappuccino pije się rano i potem koniec. Ale cóż to dla Amerykanów? Jacqueline Kennedy przyprawiała

FOT. ADOBE STOCK

o wściekłość kucharzy na przyjęciach, bo tam, gdzie oni się namęczyli, ona dodawała keczup.

To wszystko zaczyna się w dzieciństwie. Dzisiaj dzieci nie jedzą tego, co podano, tylko najpierw odbywa się konsultacja w sprawie tego, co kto będzie łaskaw zjeść. Przerabiam to z wnukami. One są zadowolone, kucharka gorzej, bo zamiast mieć jedną potrawę w garnku, musi mieć tyle, ilu konsumentów. No, ale trudno. O gustach przecież się nie dyskutuje. ©℗

eprasa.pl 4bfed2fe01

Warszawa: **101 FM, DAB+**
Ostrołęka: **100,8 FM**
Płock: **101,9 FM**
Ostrów Maz.: **87,6 FM**
Radom: **89,1 FM**
Siedlce: **103,4 FM**

POLSKIE RADIO RDC

Radio dla Ciebie

25 lat

www.rdc.pl

facebook.com/radiordc

instagram.com/radiodlaciebie

twitter.com/rdcpolskieradio

Posłuchaj nas: **101 FM**

www.rdc.pl/rdcplayer

Aplikacja **Radio RDC**

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

eprasa.pl 4bfed2fe01

SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Znieczuleni Wałęsą

I znów jest tak jak zawsze. Lech Wałęsa został zaproszony na konwencję wyborczą Platformy Obywatelskiej i walnął mowę o „zdrajcy", czyli zmarłym w ostatnich dniach Kornelu Morawieckim. I mamy powszechne oburzenie. Od lewa do prawa lecą gromy, że tak nie wolno, że dzień po pogrzebie Kornela się nie godzi, że Wałęsa teraz właśnie przekroczył już wszelkie granice, słychać wezwania do przeprosin… A on tam w Gdańsku, wyalienowany od najbliższych, zamknięty w swojej kanciapie z komputerem, rechocze i dostaje setki listów poparcia od podobnych sobie nienawistników. Kurz opadnie, będzie rocznica Sierpnia '80 czy Nobla '83, a my znów zobaczymy Wałęsę otoczonego wianuszkiem klakierów, wśród których będą politycy i publicyści, którzy dzisiaj przeżywają występ Wałęsy na konwencji PO.

To rytuał, który znamy od lat. Chuligaństwo Wałęsy nigdy nie napotyka stanowczego oporo lub jeśli napotyka, to dla zasady, że „tak nie wolno", z tą charakterystyczną wobec niego empatią – że prosty, że sporo przeżył, że musi się jakoś bronić po wielu latach „walki z nim Kaczyńskich, Cenckiewicza i IPN", że mu to „nie zawsze wychodzi tak, jak byśmy chcieli". I zawsze Wałęsa chwyta własnych klakierów i obrońców – którymi szczerze gardzi – na tym samym: na ich amnezji i ślepocie, która każe im puścić w niepamięć niezliczone objawy chamstwa i nienawiści z jego strony.

To efekt publicznego kłamstwa, którym został Wałęsa obudowany i do którego się przyzwyczaił. Kiedy mówił o ściąganiu spodni, by udowodnić, że jest Polakiem, podczas kampanii wyborczej 1990 r., kiedy „wypożyczał" swoje akta podczas prezydentury, kiedy bredził o fałszerstwie swoich agenturalnych akt…, kiedy mówił o getcie dla homoseksualistów, kiedy…

No właśnie, nieprzebierający w środkach agresywny laureat Pokojowej Nagrody Nobla był latami reklamowany przez prezydentów, premierów, rządy, polityków, samorządowców, prorządowych edukatorów i pseudohistoryków oraz przemożne lobby medialne jako „nasza ikona" i „dobro narodowe". Owo „dobro narodowe" co jakiś czas pokrzykuje na wszystkich Polaków, poucza, naucza i obwieszcza kolejne życiowe mądrości jako wszechwiedzący ekspert. A dominujące media niemal codziennie przywołują lub przywoływały postać Wałęsy, dawnego ulubieńca i „mędrca Europy", jako człowieka powszechnego zaufania i autorytet moralno-polityczny. Oglądając TVN lub czytając „Gazetę Wyborczą", można było odnieść wrażenie, że noblista jest dobry na wszystko. Na pogodę i niepogodę, na huragany i powodzie polityczne, na wzrost w sondażach i na dramatyczny spadek preferencji, na Tuska zwycięskiego i na okulawionego…

Laureat Pokojowej Nagrody Nobla, były związkowiec, w 2012 r. proponował pałowanie strajkujących i strzelanie do nich. W epoce – jak ją określa – „globalizacji, intelektu i Internetu" straszy wojną domową, upadkiem Polski, powszechną nędzą i totalnym rozpadem. Klaszczą mu nawet wtedy, kiedy wygaduje głupstwa o podrzuceniu przez Kaczyńskiego, Wyszkowskiego i Cenckiewicza „spreparowanych" teczek „Bolka" do mieszkania Marii Kiszczak. Nie ma takiej głupoty i takiej bredni, której by nie oklaskiwali i której by nie starali się wytłumaczyć. Nie ma!

Lech Bądkowski już w 1981 r. napisał o Wałęsie profetyczny tekst „Człowiek z czego?". Bądkowski był wobec niego krytyczny, ale nie uprzedzony. Otwarcie pisał o jego wadach i brakach, o niezdolności do podjęcia pracy nad sobą, o pysze, politycznym cwaniactwie i nieznoszeniu jakiejkolwiek krytyki. Pisał o tym, zastanawiając się, do czego to wszystko doprowadzi Wałęsę i sprawę, której na skutek zbiegu przypadków stał się reprezentantem. Dostrzegał w nim wielkość, a zarazem zapowiedź tragedii: „Wałęsa jest postacią historycznie przypadkową, to jest przykład płatania figlów przez historię.

Dylemat polega na tym, że głód moralnego przywództwa w Polsce spowodował to niesłychane wyniesienie Wałęsy. I w tym wypadku nawet nie można działać otrzeźwiająco na ludzi, ponieważ pozbawi się ich tego, co z takim trudem uzyskali i z taką radością przyjęli. A zarazem wiadomo, że ten człowiek, chociaż jest symbolem przełomu, nie jest oczekiwanym przywódcą. Przeskoku z represjonowanego bezrobotnego na człowieka roku kreowanego na Zachodzie, na okładki ilustrowanych pism o milionowych nakładach, udzielającego największym na świecie agencjom, tygodnikom i dziennikom, mógłby dokonać tylko człowiek o ogromnej kulturze wewnętrznej, by nie ulec zepsuciu".

Uległ zepsuciu. Strasznemu zepsuciu. Porzućcie nadzieję. I ten zakłamany rytuał amnezji. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 4bfed2fe01

OKIEM JASTRZĘBIA

Żeby psy miały dłuższe łańcuchy

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

To było jej przekleństwo, więc się zastanówcie, choć nie wiem, czy nie jest za późno! Być może dokonało się właśnie, a ja widzę te wasze powątpiewające uśmieszki. Głos wołającej na Internecie był słyszalny, lecz chyba za słabo.

Aktorka wybitna oraz zaangażowana Maja Ostaszewska (ta, która przez tych złośliwych jest kojarzona, że kartki trzyma w proteście przeciw akurat tam czemuś, a na kartkach, żeby jej zrobić na złość, głupoty wypisują) w chłodnej rzeczowej rozmowie z bardzo znanym dziennikarzem powiedziała do nas, do Polaków, od serca, niestety: „Ludzie coraz bardziej zaczynają sobie uświadamiać, że jeżeli chcą mieć nawet wolny dostęp do Internetu, do social mediów, to to jest też polityka. Kiedy PiS zacznie się rozpędzać, to najprawdopodobniej zabierze ten dostęp. Zabierze dostęp do wolności słowa". I czy ktoś jej uwierzył? Jak po prostu Kasandra. Nie ta Kasandra od tej Dżesiki w tym białym kozaczku z wyeksponowanym tym push-upem, tylko ta córka od tego Priama z Troi, króla. Jej to przecież poświęciła swój przejmujący wiersz Wisława Noblistka Szymborska. To znaczy Kasandrze poświęciła, nie Ostaszewskiej, chociaż moim zdaniem Ostaszewska też zasługuje, jak najbardziej.

Ten wiersz nosi sobie tytuł „Monolog Kasandry". No i jak to w monologu trochę takiego przynudzania do samej siebie, lecz jest parę wersów niezwykle porażających. No choćby ten: „To prawda, tryumfuję / Moja racja aż łuną uderzyła w niebo / Tylko prorocy, którym się nie wierzy/ mają takie widoki" (nie, nie patrzyła na oczyszczalnię Czajka!). I jeszcze to: „Wyszło na moje / tylko że z tego nie wynika nic". Tak właśnie czuła się Kasandra, córka Priama, dotknięta przez Apolla darem jasnowidzenia i dotknięta przez niego klątwą braku zrozumienia u współczesnych. A gdyby jej słuchali...

Może posłuchajmy jeszcze Kasandry Ostaszewskiej, to znaczy Mai Ostaszewskiej: „Poza tym, co jest związane z mediami, sądami, ale również te obietnice w sprawie ochrony praw zwierząt. Nic nie zostało z tych obietnic dotrzymane. Nawet taki prosty zabieg, żeby psy miały dłuższe łańcuchy". To słowa pani Mai. Bo jeśli chodzi o psy, to im czasem chodzi tylko o to, żeby mieć dłuższe łańcuchy. Czasem to wycie, to ujadanie, to rzucenie się na ręce niosące michę ma tylko jedno podłoże i jedno marzenie – odrobinę dłuższy łańcuch. Warto pamiętać przy zarządzaniu mikro- i makrospołecznościami.

PS W związku z niepewnością co do tego, czy zabiorą Internet, czy też nie, warto zrobić jakieś zapasy chyba. Napełnić bukłaki, wiadra czy coś. Pięknego tygodnia państwu życzę. ©℗

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Świadectwo Daviesa

MARCIN MAKOWSKI

Czy istnieje coś takiego jak jedna, dominująca narracja o Holokauście, w której z Polaków – celowo i wbrew faktom – robi się naród sprawców? Tuszuje kolektywne winy Niemców, a przejaskrawia indywidualne grzechy naszych rodaków? Zestawia katów z oprawcami, aby następnie zamienić ich rolami? I czy za mówienie o tym na głos można było pożegnać się ze światową karierą naukową? Wyobraźmy sobie, że w poczytnym medium podobną teorię wygłasza jeden z „prawicowych historyków". Jak państwo zgadują, ile godzin minęłoby od wywiadu do momentu, w którym okrzyknięto by go mianem „zaczadzonego w antysemickich uprzedzeniach"? A jednak podobną historię w „Dzienniku Gazecie Prawnej" opowiada nie kto inny jak prof. Norman Davies. Badacz, którego ostatniego można posądzić o granie pod melodie polityki historycznej obecnego rządu.

Bez względu jednak na to, jakie poglądy posiada, nie one są istotne. Daviesowi jednej rzeczy bowiem odmówić nie można – uczciwości intelektualnej. Jak rozumiem, to właśnie ona każe profesorowi opowiedzieć o zdarzeniach, o których po raz pierwszy tak obszernie poinformował w opublikowanej właśnie autobiografii oraz we wspomnianym wywiadzie. Sprawa dotyczy zwłaszcza spotkania w ambasadzie Izraela w Londynie w 1974 r. i jego następstw. To właśnie tam, na zamkniętym seminarium dla młodych historyków prowadzonym przez Yehudę Bauera, wyłożono panującą na Zachodzie po dziś dzień narrację o roli Polaków podczas II wojny światowej. – Profesor Bauer jasno przedstawił schemat historyczny. Opierał się on na tym, że w czasie wojny, w Polsce, bo to wszystko odbyło się przecież w Polsce, byli wykonawcy, były ofiary i byli ci, którzy na to wszystko biernie patrzyli, tzw. bystanders. Wykonawcy to hitlerowcy... – stwierdził Norman Davies, dodając, że celowo nie użył terminu „Niemcy", bo na warsztatach unikano przypisania do Holokaustu innej afiliacji narodowej niż tylko polska. A za próbę zgłoszenia sprzeciwu został na miejscu zakrzyczany i nazwany „polonofilem".

Jednak to, co najbardziej wstrząsa, profesor zachowuje na koniec. Chodzi o propozycję objęcia Katedry Historii Europy Wschodniej na Uniwersytecie Stanforda w USA w latach 80. – Prawie dwa lata trwał proces aplikacyjny. Zostałem wybrany jednogłośnie przez komisję kwalifikacyjną. I zaczęło się coś, co trudno zrozumieć. Było jak u Kafki – stwierdził Davies, określając ten stan mianem „zmowy milczenia". Co było jej źródłem? – Dowiedziałem się po kilku tygodniach, że moja sprawa powiązana jest z opisywanymi przeze mnie stosunkami polsko-żydowskimi. [...] Jestem przekonany, że mój grzech w ich oczach był taki, iż nie pisałem, że Polacy są antysemitami. Wszyscy Polacy – powiedział historyk. Czy trzeba tu coś dodawać? ©℗

eprasa.pl 4bfed2fe01

OKIEM BLOGERKI

Kto Lechem wojuje...

KATARYNA

LECH WAŁĘSA: ***Kiedy ja prowadzę wielki bój was do wolności, kiedy mam najcięższe sprawy, najciężej pracuję, komuna przeciwko mnie, to Schetyna, Morawiecki i inni zakładają Solidarność Walczącą. Wybaczyłem im...Przecież my wtedy, jakby rodacy myśleli mądrze, toby wiedzieli, że ja potrzebuję być partnerem generałów nie dla swojej kariery, tylko potrzebuję poprowadzić bój do zwycięstwa, to nie wolno mi robić takich numerów.***

Kilka dni po głośnym wystąpieniu na konwencji Platformy Obywatelskiej, podczas którego nazwał śp. Kornela Morawieckiego zdrajcą, Lech Wałęsa został zaproszony do radia, gdzie miał okazję wytłumaczyć się ze swoich coraz dziwniejszych wypowiedzi Beacie Lubeckiej. To z tej rozmowy pochodzi powyższy cytat, ale polecam odsłuchanie jej w całości, bo dobrze oddaje stan umysłu „mędrca Europy". Już nie tylko sam Kornel Morawiecki został wpisany na jego coraz dłuższą listę zdrajców, lecz także nawet sam Grzegorz Schetyna.

Argumentowanie, że przez wzgląd na jego rolę w historii powinniśmy pokornie milczeć wobec kolejnych świństw, na które sobie pozwala, mnie wyjątkowo irytuje

I jakoś wcale mi go nie żal, bo przecież Wałęsa jest zapraszany właśnie po to, żeby popluł na wrogów Platformy. No więc popluł, ale tym razem przesadził i zapraszający musieli się z zaproszenia plwacza tłumaczyć, a im bardziej się tłumaczyli, tym większego focha plwacz miał, aż wreszcie nie wytrzymał i odwinął się samej Platformie, najpierw na chwilę wycofując poparcie dla niej (dopóty, dopóki się okazało, że ten, komu miał zamiar je przekazać, wcale go nie chce), a potem ostatecznie topiąc Platformę wywiadem, w którym nie tylko nikogo nie przeprosił, lecz także rozszerzył oskarżenie na Schetynę.

Karma wraca, trzeba było hejtera nie zapraszać. Albo chociaż nie oklaskiwać z takim entuzjazmem haniebnego przemówienia. Ostatecznie za niego zwyczajnie przeprosić, a nie tłumaczyć, że to autorytet, któremu się wszystko i zawsze wybacza.

Nie pamiętam już, kiedy ostatnio Wałęsa powiedział coś mądrego lub ważnego, coś, co prowokowałoby do myślenia i wzbogacało debatę publiczną. I nie spodziewam się już niczego takiego od niego usłyszeć, bo też nie do tego jest najmowany. To tylko bardziej utytułowany zawodnik z ligi, w której grają Krystyna Pawłowicz i Stefan Niesiołowski. Łatwiejszy od nich w obsłudze, bo ma mocniejsze nazwisko, a co się z tym wiąże – większą cytowalność, ale odgrywający dokładnie taką samą rolę. I owszem, Wałęsa ma prawo robić ze sobą, co chce, także dawać się wykorzystywać cynikom w politycznych rozgrywkach, ale argumentowanie, że przez wzgląd na jego rolę w historii powinniśmy pokornie milczeć wobec kolejnych świństw, na które sobie pozwala, mnie wyjątkowo irytuje.

Jeśli rola w historii nie chroniła przed krytyką za bieżącą aktywność Kornela Morawieckiego czy Antoniego Macierewicza, to nie może chronić Lecha Wałęsy. Trzeba sobie wreszcie powiedzieć – król jest hejterem. I przestać mu podsuwać mikrofon, bo nic ważnego ani mądrego już raczej nie powie. ©℗

PODSŁUCHANE

Deprecha

Grzesiek, mam wieści z exit polli...
Nie, nie, Sławek, nic mi nie mów. Nie chcę wiedzieć. Cokolwiek tam wychodzi, ty też jesteś winny.

Przepraszam cię, nie ja kierowałem kampanią, nie ja jestem przewodniczącym i nie ja jestem kandydatem na premiera.
Ale byłeś szefem klubu. I mogłeś, do cholery, się pilnować w tym Tczewie!

A ty się niby pilnujesz? Nigdy nie wiesz, czy cię ktoś nie nagrywa.
Nie szkodzi, u siebie mam szumidła, a gdzie nie mam, nie przeklinam. Ludzie najbardziej to zapamiętują. A w Tczewie mamy przeje... przechlapane, chciałem powiedzieć.

Grzesiek, ty byłeś kiedyś w tym całym Tczewie?
No... nie byłem, jakoś się nie złożyło.

To pojedź i sam zobacz. Park mają. Dworzec. Starą parowozownię. Tyle. Człowieku, tam nawet porządnego rynku nie ma. Wjeżdżasz i od razu masz deprechę. Sprawdź, jak mi nie wierzysz.
A wiesz, że pojadę? Tylko bez ciebie, bo by nas zlinczowali.

A pewnie! Bo tam same poje...
Sławek! Nigdy nie wiesz, czy ktoś nie nagrywa. Potem nas jeszcze w jakiejś rubryce zacytują w jakimś tygodniku. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Jarosław Kaczyński jest w naszym kraju takim paradyktatorem".

CEZARY TOMCZYK, *poseł PO, w rozmowie dla Gazeta.pl.*

eprasa.pl 4bfed2fe01

Teatr

fot. Jerzy Gumowski

Kulturalni ludzie chodzą do teatru. Ja nie jestem kulturalny — nie chodzę do teatru. Dawno temu, gdy przez 23 lata prowadziłem życie małżeńskie, regularnie nawiedzałem teatry u boku madame. Potem coraz rzadziej, wreszcie nul. Z tamtych lat — spomiędzy tamtych spektakli — najwyżej oceniam Axerowskie **„Tango”** Mrożka we Współczesnym (Edka grał wyborny Czechowicz). Dziś jestem ateatralny, więc podpadam pod *„kultową”* kwestię prymitywa z filmu **„Miś”**: *„ — W życiu bym do teatru nie poszedł”*, lecz mam dobre towarzystwo. Exemplum wzięty pisarz Andrzej Pilipiuk: *„Nie chodzę do teatru. Nie byłem na żadnej sztuce już całe lata, choć zachęcano mnie wielokrotnie. Nie odczuwam potrzeby. Wieści o kolejnych eksperymentach, «nowych odczytaniach» i «przesuwaniu granic sztuki» — po prostu mnie irytują”* (2018). Mnie również, o czym niżej będzie jeszcze mowa, lecz zanim dojdziemy do estetycznych przyczyn mojego teatralnego abnegactwa, warto wspomnieć i o psychicznych. Czyli o tym, że patrząc na scenę widzę nie grane postacie, lecz wyłącznie aktorów popisujących się swoim kunsztem lub kompromitujących brakiem kunsztu. Zupełnie jak znany amerykański pisarz/poeta John Updike: *„Nie cierpię teatru, bo widok ludzi, którzy łażą na scenie i sztucznie się zachowują, deklamując kwestie te same od miesiąca — to ponad moje siły”* (2008).

Dzisiejszy *„uwspółcześniony”* vel *„nowoczesny”* vel *„awangardowy”* (pseudoawangardowy) teatr jest ponad siły nawet wielbicieli teatru (w tradycyjnym sensie tego słowa i tego artystycznego zjawiska). Felieton to zbyt krótka forma, bym mógł zacytować wielu *„ludzi z branży”*, którym teatr obrzydza się; dam wybór cytatów. Świetny krytyk literacki Krzysztof Masłoń, wspominając dawne wzniosłe chwile teatrów rodzimych, puentuje: *„A co nie ma nic wspólnego z tym co się dzieje obecnie w tych teatrach, gdzie barbarzyńsko niszczy się nie tylko dorobek polskiej sceny, lecz także w ogóle kulturę”* (2018). Elżbieta Morawiec (renomowana teatrolog, krytyk teatralny i literacki) również używa terminu *„barbarzyństwo”* piętnując pseudoawangardowy teatr, który jest *„pełen świętokradczego, bolszewickiego barbarzyństwa, broniący prawa do bluźnierstwa pod pozorem obrony wolności sztuki, dążący do anihilacji kultury narodowej, nie mający nic do zaproponowania oprócz nihilizmu”* (2017). Skrytykowała też *„aktorstwo wyzbyte jakiegokolwiek poczucia odpowiedzialności zawodowej i etycznej, wartości języka, ulegające pseudoinscenizatorom, którzy szerzą nihilizm”*.

Padło wyżej słowo *„bolszewizm”*, tyczące zlewaczenia dzisiejszego teatru. O tym samym mówi znany komentator (i juror teatralny) Piotr Zaremba: *„Teatry należą w praktyce do mocno lewicowej korporacji artystów (i zarazem cały czas słyszymy krzyki o zagrożonej wolności). W wielu z nich przeważają ideologiczne przeróbki klasyki w jednorodnym, lewicowym duchu (...) Wkładanie Edkowi w usta frazesu «Bóg, honor, ojczyzna» — w toruńskim przedstawieniu **«Tanga»** — jest zamachem na dobry smak i zdrowy rozsądek (...) W dzisiejszym polskim teatrze rozmowa o polskości sprowadza się do ruchów frykcyjnych (...) Proszę mi wskazać spektakl z ostatnich miesięcy, w którym Polacy jako zbiorowość to ktoś więcej niż podsądni oskarżani o zbrodnie lub o cały wachlarz słabości czy grzechów (...) Źródłem jest zresztą także kryzys dramaturgii w ogóle, znużenie dawną formą przy braku pomysłu na «nowe»”* (2018). Ów *„kryzys dramaturgii”* i *„brak pomysłu”* dręczy teatry całego globu — irlandzki reżyser oraz dramaturg Martin McDonagh: *„Nie znoszę teatru. Dzisiejsi dramaturdzy ćwiczą głównie zdolność opowiadania na scenie o niczym przez trzy godziny”* (2018).

∞

Józef Narzymski
(„Niekomiczna komedia”):
„Ach! te teatra! te teatra!
Jak to ludzie tolerować mogą?”

∞

Dlaczego publika chodzi oglądać te głupoty do teatrów? Dlatego, że duża jej część jest równie lewacka i zdeprawowana wszechobecną doktryną politpoprawności, a reszta to ludzie pchani socjoterrorem (*„socjetowym”* imperatywem, że człowiek kulturalny chodzi do teatru) plus ci przywabieni entuzjastycznymi (apologetyzującymi/hagiograficznymi) recenzjami w mediach, które są później powielane w *„towarzystwie”* kawiarnianym, biurowym czy domowym z bezmyślnością tyleż półinteligencką co szpanerską. Takie medialne werdykty, czyli zachęcające publikę sądy o spektaklach, mają dwa źródła: interesowność lub (to dużo częściej) eunuchowość intelektualną. Czytając bądź słysząc tego rodzaju pełne braw recenzje z rozmaitych mniej lub bardziej miałkich albo hucpiarskich przedstawień przypominam sobie Twainowskie **„Przygody Hucka”**, a konkretnie finał występu grandziarskiej trupy teatralnej w pewnej mieścinie:

„Gdy spektakl się skończył, rozczarowana widownia sarkała i klęła aktorów, uważając, że to, co zobaczyła, to było oszustwo. Wtedy jeden postawny elegancki mężczyzna wskoczył na ławę i zawołał:

— Chwileczkę, drodzy państwo! Macie rację, zostaliśmy paskudnie nabrani przez tych niewydarzonych komediantów. Zrobiliśmy z siebie głupców kupując bilety. Ale chyba nie chcemy, żeby teraz całe miasto z nas się śmiało. By tego uniknąć, możemy zrobić tylko jedną rzecz: wrócić spokojnie do domów i jutro chwalić przedstawienie jako wyborne, a wtedy inni obywatele także nawiedzą ów teatr i zrobią z siebie durniów, przez co nie będą mogli traktować nas kpiarsko.

Nie było sprzeciwu, cała sala się zgodziła, i ów mężczyzna zakonkludował:

— A więc zgoda. Nikomu pary z gęby, że nas tu okpiono. Radzimy wszystkim, by obejrzeli tę sztukę”.

Owszem, zdarzają się jeszcze uczciwi recenzenci, którzy radzą publice nie oglądać *„tej sztuki”*. Wybitny krytyk teatralny doby obecnej, Jan Bończa–Szabłowski: *„Nazwy teatrów potrafią być przewrotne. Wdrapałem się na szóste piętro, by obejrzeć «wyższy poziom teatru». I zobaczyłem coś bardzo bliskiego parteru. Aktorzy grający Czechowa zgrywali się w taki sposób, że aż bolały zęby. Nie zdziwiłem się, iż Rosjanin prowadzący tę scenę z aktorem serialowym (kiedyś ponoć nadzieją teatru) niechętnie zaprasza tam recenzentów”* (2018). Aktualny ogólny stan polskiego teatru Bończa–Szabłowski ocenił przy użyciu cytatu z Szekspirowskiego **„Makbeta”**: *„Szkoda, że jego codzienność przypomina «powieść idioty», głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą”* (2018). Inny recenzent, Jacek Marczyński: *„Z premiery w Teatrze Wielkim w Poznaniu wyszedłem z głębokim przekonaniem, że reżyser potraktował widzów i wykonawców jak idiotów (...) Ten spektakl uświadomił mi jak naprawdę wygląda klęska, gdy reżyser nie ma nic do powiedzenia”* (2018). Te klęski mnożą się niczym tsunami miażdżące polską sferę teatralną, stąd także wśród środowisk artystycznych parających się teatrem narasta gniew; znany aktor Jerzy Zelnik: *„Coraz gorzej jest niestety z teatrem. Zmierza on ciemną doliną, jest po prostu słaby. Od dawna nie trafiłem na sztukę, którą warto obejrzeć. Obecnie boję się chodzić do teatru. Boję się, że ogarnie mnie tam straszliwa nuda. Nie potrafię znieść nudy, a jedynym miejscem, gdzie ją właśnie przeżywam, jest teatr...”* (2018).

Wszystko, co było powiedziane i zacytowane wyżej, tyczy również telewizyjnego teatru. Nie chodzę — jako rzekłem — do teatru, ale czasami oglądam teatr poniedziałkowy TVP. Straszna miałkość. Exemplum zeszłoroczne **„Pożegnania”** według Dygata. Porównując z pyszną filmową adaptacją Hasa (1958) — masakra, szydercze określenie *„szkolny teatr”* byłoby tutaj nadmiernym komplementem. Czyli zupełnie jak w życiu (politycznym, kulturowym lub obyczajowym). Oscar Wilde: *„Świat tak naprawdę jest sceną, tylko sztuka jest bardzo kiepsko obsadzona”*. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 4bfed2fe01

GINTROWSKI

X

JUBILEUSZOWY KONCERT

TEATR POLSKI

im. ARNOLDA SZYFMANA W WARSZAWIE

BILETY BĘDĄ DOSTĘPNE W KASIE TEATRU OD **7 PAŹDZIERNIKA**

PRZEMYSŁAW GINTROWSKI
FOT. JERZY KOŚNIK

MECENASI KONCERTU:

PGNiG ORLEN Enea

PARTNERZY:

LOTTO Poczta Polska fundacja arp żabka

PATRONAT MEDIALNY: Do Rzeczy wprost

eprasa.pl 4bfed2fe01